Nr. 3. Poznań, dnia 21 Stycznia 1906 r. Rok X.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 3-go.

Nie chódźcie!

W niedzielę dnia 21 bm. odbędą się w całych Niemczech zebrania socyalistów. Czemu? — Socyaliści głoszą, że chcą wnieść protest przeciwko trójklasowemu systemowi wyborczemu w Prusiech.

I my Polacy cierpimy pod tym systemem. Ile, niech tego dowiedzie komisya kolonizacyjna, szykany po urzędach i w szkole.

Mielibyśmy więc racyę również protestować przeciwko temu systemowi.

A jednak nawolujemy gorąco do wstrzymania się od udziału w tych zebraniach.

Dla czego? — Zapowiedziano na 21 i 22 stycznia jako w rocznicę mordów petersburskich — manifestacye w Rosyi.

Zatem zebrania socyalistów prusko-niemieckich — sami do tego się przyznają — to objaw solidarności *międzynarodówki socyalistycznej*.

Polacy w takiej demonstracyi udziału brać nie mogą.

Zapowiedziane wprawdzie są tylko spokojne zebrania — ale nie mogą socyaliści zaręczyć, czy nie zajdą także i demonstracye uliczne.

Udział w takich demonstracyach nie tylko grozi karą więzienną tym osobom, które podczas demonstracyi przychwytane zostaną — lecz, jeżeli to będą Polacy, rząd i hakatyści uknują z tego nowy zarzut, że — Polacy biorą czynny udział w każdej robocie zagrażającej całości Prus i Niemiec.

Zarzutu takiego lękkomyślnie nam na siebie ściągać nie wolno, zwlaszcza gdy w danym wypadku nie bronimy wprost naszych interesów narodowych — wyłącznie i sami własnemi siłami.

Zatem — powtarzamy „nie chódźcie" na socyalistyczne zebrania, nie bierzcie udziału w pochodach ulicznych, bo tego wymaga od nas *dobro narodu!*

Redakcya.

Kotowiecko.

Prawie rok cały trzymała sprawa Kotowiecka na uwięzi naszą opinię publiczną.

W pewien czas po śmierci śp. Józefa Morawskiego, pojawiły się pogłoski o nieporozumieniach rodzinnych co do działów spadkowych. Jak zmora zawisło nad nami pytanie: pogodzą się czy nie?

Przechodziliśmy wszelkie złudzenia. Już, już zdawała się bliską chwila zakończenia tej sprawy na naszą korzyść. Zapowiadano przyjazd jakiejś „wpływowej" przyjaciółki z Królestwa, która zwaśnioną rodzinę miała pogodzić.

Czy była owa przyjaciółka, czy poczyniła jakieś kroki — o tem społeczeństwo się nie dowiedziało. Pozostało to tajemnicą po za kulisami, po za któremi rozgrywał się nietylko dramat rodzinny pp. Morawskich, ale smutny epizod walki naszej narodowej o każdą piędź ziemi.

Zamiast tego jak grom z pogodnego nieba spadla na społeczeństwo nasze w grudniu r. ub. wiadomość o nieodwolalnem postanowieniu oddania Katowiecka pod młotek subhastacyjny.

I znowu zawisło złowrogie w powietrzu pytanie: kto kupi? Polak czy — komisya kolonizacyjna?

O tem, by kupno dokonane zostało przez kogoś innego, przez uczciwego np. jakiego Niemca, nie wolno było nam pomyśleć. Jest to fakt, na który szczególnie zwracamy uwagę, a który potrójnie większą jeszcze hańbą obciąża rodzinę Morawskich.

Kiedy bowiem tak daleko kwestya się wyjaśniła, kiedy nikt już nie wątpił, że do licytacyi stanąć może tylko Polak, albo najsroższy wróg polskości — komisya kolonizacyjna, wtenczas świętym było rodziny Morawskich obowiązkiem *pogodzić się*, by nie zaprzepaścić tej ziemi, odzie-

Stało się inaczej. Nadszedł ter-

dziczonej po pradziadach.

min. Do licytacyi staje rodzina i pierwsza podaje cenę — 900,000 mk. Rozpoczyna się podbijanie. Możliwie najwyższą cenę podaje drugi Polak, dający gwarancyę, że Kotowiecko w polskiem pozostałoby ręku — tj. p. *Marcin Biedermann*, reprezentant firmy Drwęski i Langner — i to 1,053,000 marek. Podsunięta figura agenta komisyi kolonizacyjnej — Kronheima z Bydgoszczy, niejakiś Kamieński, rzekomo z Gniezna, choć go tam nikt nie zna, jak „Lech“ donosi, — podbija p. Biedermanna i otrzymuje Kotowiecko. Kamieński znika bez śladu, a Kronheim okazuje gotowy akt notaryalny, mocą którego Kamieński prawa swoje do Kotowiecka jemu już naprzód odstąpił. Dramat z góry był — przygotowany. Kotowiecko — dla polskiego społeczeństwa na wieki przepadło.

Taki jest ostateczny wynik tej sprawy, taki jej smutny koniec, na który wszystkie warstwy społeczeństwa naszego z zapartym czekały oddechem.

Ale nie tu jej koniec prawdziwy, nie tu jeszcze zamknięte akta dla niej. Tłoczyła ona jak zmora nas rok cały, obarczyła dusze nasze ciężkim smutkiem, rozdarla serca, to też słusznie, że zastanowimy się nad wszelkiemi jej przyczynami i przejawami.

Co właściwie — spytajmy się — spowodowało subhastę?

Na pytanie to w pierwszej chwili odpowie każdy, że — niezgoda w rodzinie.

Odpowiedź słuszna. Pozostaje atoli jeszcze jedno pytanie: co wobec niezgody w rodzinie i znajdujących się pośród niej szumowin — mogłoby było zapobiedz tak dla społeczeństwa przykremu zakończeniu sprawy Kotowiecka?

Otóż — *testament!* Gdyby niebożczyk Józef Morawski był zrobił testament, gdyby był przed śmiercią majątkiem rozporządził — Kotowiecko by dziś było jeszcze w rękach polskich.

Jest to rzecz tak prosta i jasna, iż niema o niej wiele co mówić. A jeżeli jej dotąd publicznie nie podnoszono, to przez cześć dla prochów śp. ojca tych, którzy przez niezgodę swoją stali się drugiem ogniwem w smutnej historyi Kotowiecka.

I my nie chcemy ujmować czci ani kalać grobu śp. Józefa Morawskiego, ale uważamy sobie za święty obowiązek, wskazać na pierwszą właściwą przyczynę, która pozostawiła rodzinie drzwi otwarte do niezgody, a tą przyczyną jest — brak testamentu. Tego zaprzeczyć nikt nie może — a inni powinni tę stąd wyciągnąć naukę, że — koniecznie należy majątkiem swoim przed śmiercią rozporządzać, by nie narażać społeczeństwa swego na tak dotkliwą stratę.

Oby sprawa kotowiecka stała się dla innych cenną nauką w przyszłości, cenną bo niezwykle drogo opłaconą, i nie tylko drogo utratą ziemi, ale drogo łzami całego naszego społeczeństwa zroszoną, temi serdecznemi prośbami, które tysiące śledząc sprawę tę przez rok cały prawie zanosiły do Boga, by ziemię tę ocalić raczył.

Niestety, stało się inaczej. A winni temu *Olschowkowie i rodzina p. Suffczyńskiej jacyś Puławscy* — na nich też wieczna za ten ohydny czyn zdrady — ciążyć będzie hańba. Dla społeczeństwa polskiego są oni od chwili zaprzepaszczenia Kotowiecka — wyrzutkami.

MIELŻYN.

Grom po gromie uderza w biedne społeczeństwo nasze. Nie przebrzmiała jeszcze wieść o Kotowiecku, nie uspokoiło się serdeczne łkanie, łza nie obeschła, westchnienie żalu nie ucichło

Czarna księga

czyli

szkody wyrządzone polskości przez komisyę kolonizacyjną.

(Ciąg dalszy.)

Przypatrzmy się teraz, kochani bracia, podrożeniu ceny ziemi przez kolonizacyą. Dawniej przed 20-tu i 30-tu laty można było nabyć ziemię po 40, 50 i 60 talarów morgę, a jeżeli wówczas płacił kto po 80 talarów za morgę to musiała to już być ziemia pszenna lub buraczana pierwszej klasy. Małe gospodarstwa droższe były jak wielkie obszary i ten objaw jako bardzo naturalny do dzisiaj się jeszcze utrzymał. Kiedy komisya kolonizacyjna zaczęła przed 20 laty skupować ziemię, wówczas płaciła gospodarzom Niemcom po 200 marek przeciętnie za morgę. Polacy gospodarze prawie wcale wtenczas nie sprzedawali ziemi i twardo trzymali ją w garści. Wsie rycerskie i większe majątki kupowała kolonizacya tamej, bo po 140 mrk. przeciętnie za morgę.

Były to błogie czasy, gdzie każdy włościanin Polak łatwo mógł ziemię tanio nabyć i łacno się na niej wyżywić z rodziną. Jaki taki mający 500, 800 lub 1000 talarów, kupował sobie kilka mórg z małym lub bez inwentarza, a pracą oszczędnością i skromnem umiarkowanem życiem dochowywał się pięknego inwentarza i jeszcze sąsiednie morgi powoli skupywał. Znam osobiście gospodarzy, którzy zaczynali na 16 morgach, a dziś mają po 80 i 100; niejeden co dawniej rozpoczął 100 morgami ma dziś 500 i 800 mórg, bo pracował i oszczędzał, a kupować mógł bo ziemia była tania. Lud żądał ziemi by na niej żyć, pracować i umierać, a włościanie, robotnicy i górnicy powracający do ojczyzny łatwo spełniali swe kilkoletnie marzenia, aby za oszczędzony pieniądz kupić sobie gospodarstwo i żyć na ojczystej ziemi. Panowie parcelowali, banki pośredniczyły raźnie i z małymi wyjątkami rzetelnie, a na ziemię był ciągły popyt; chociaż już wtenczas ceny zaczęły iść w górę, to jednak można było jeszcze piękny kawał ziemi bądź to na parcelacyi, bądź na subhaście, lub przez okazyą i znajomość po stosunkowo taniej kupić cenie.

Dziś się czasy zmieniły. Ziemia droga; nie można już rozpoczynać kilkuset talarami jak ongi, boby się je w krótkim czasie straciło. A kto głównie się do tego przyczynił? Otóż znowu kolonizacya.

Ta chciwość nabywania ziemi za każdą bądź cenę, to lisie wyrachowanie dziedziców Niemców, którzy umyślnie handlowali z Polakami o swe wsie, aby przez narobienie hałasu po gazetach nakłonić komisyę do kupowania od nich po wysokich cenach, oto powody, dla których ziemia tak bardzo podrożała. Kilka cyfr zaraz nam to udowodni.

Komisya kolonizacyjna kupiła

				przeciętnie M. za hektar	
w roku	majątków	gospodarstw	zapłaciła	na majątku	na gospodarstwie
1886	16	3	6,762,995	568	802
1890	12	2	5,104,620	656	1174
1896	7	—	2,282,610	648	—
1898	29	9	11,478,100	760	1365
1900	29	10	13,486,432	809	999
1902	39	41	19,094,530	842	1035
1903	74	39	43,344,113	996	1150
1804	60	49	33,943,457	1010	1205

Tablica powyższa uczy nas:

1) że od roku 1902-go począwszy rzuciła się kolonizacya z całym rozmachem do wykupywania mniejszych gospodarstw, bo kiedy dawniej kupowała 3,2 i 10 na rok to cyfra ta wzrosła do 49;

2) że nie mogąc nabyć ziemi od dziedziców Polaków (tylko 6-ciu Polaków sprzedało w roku 1904-tym, a 54 Niemców!) zwróciła kolonizacya swe oczko na gospodarzy polskich!

3) że hektar kosztował kolonizacyą w roku 1896-tym 648 mrk., a dziś 1010 za ziemię z majątku ryc., a 1205 mrk. za ziemię gospodarską!

4) że wielu gospodarzy Polaków pozwoliło się skusić ceną 300 marek za morgę,

— a nowy ból, nowa rana, nowa strata rozdziera pierś naszą. Tuż po przybiciu Kotowiecka telegramy obwieściły nam smutną wieść — sprzedaży *Mielżyna* komisyi kolonizacyjnej.

Mielżyn jest to wioska rycerska, w pow. witkowskim, obejmuje 1480 mórg obszaru dobrej ziemi. Zaprzedał ją jakiś p. Stanisław *Dobrogoyski*, ten sam, który z oburzeniem zaprzeczał jeszcze niedawno wieściom, jakoby układał się z kolonizacyą. Zaprzeczenie jego zmusiło na razie prasę do milczenia, tymczasem dokonał się smutny akt frymarki. Pouczony pierwszemi pogłoskami, p. D. urządził się tak, że już miał pieniądze w kieszeni, zanim pogłoski o istotnych układach dotarły do czyjejkolwiek wiadomości.

Dobrogoyski nie miał potrzeby sprzedania Mielżyna. Otrzymał bowiem znaczny spadek po babce i Mielżyn objął przed kilku laty za połowę tej ceny, jaką dziś otrzymał. To też postępek jego tem więcej oburza i na tem ostrzejszą zasługuje naganę i potępienie.

Jakkolwiek zresztą rzeczy się miały, choćby nawet były jakieśkolwiek okoliczności łagodzące — w tym wypadku ich nie ma — to sprzedaż choćby kawałka ziemi na rzecz komisyi kolonizacyjnej nadaje sprzedającym hańbiące miano sprzedawczyka i piętnem zdrajcy na całe cechuje go życie.

Oprócz Kotowiecka i Suffczyńskiej, Puławskich i Olschowków do „czarnej księgi" wpisaliśmy nazwisko Dobrogoyskiego i Mielżyna.

Polska — ciężarem
dla Rosyi i Prus.

Obecna zawierucha w Rosyi wydała jeden plon dodatni dla nas, to że nieomal świat cały zajmuje się sprawą Polski.

Najwięcej uderza tutaj znamienny w historyi naszej od lat czterdziestu fakt, że właśnie przeciwnicy i najzawziętsi wrogowie Polski, tj. Rosya i Prusy bezpośrednio do rozgłosu naszej sprawy się przyczyniają.

Fakt ten stoi w jaskrawej sprzeczności do dotychczasowego postępowania obu tych państw, które nie szczędziły zabiegów i trudów, by na arenie wysokiej polityki kwestyę polską — ubijano milczeniem.

Kiedy jednak siłą dziejowych wypadków sprawa polska stała się głośną, kiedy zainteresował się nią świat cały nieomal — ubić jej milczeniem już nie było można. Trzeba było się wypowiedzieć, *co zrobić z Polską w przyszłości.*

Dziwnym zbiegiem okoliczności, a być może za poduszczeniem dyplomatycznych sfer obu państw pojawiły się w urzędowych organach w Petersburgu i w Berlinie te same względem Polski głosy. Brzmią one w słowach inaczej, ale w istocie zmierzają do jednego i tego samego celu.

Podaliśmy już znaną przez petersburskie „Słowo", organ pierwszego ministra w kraju hr. Wittego, myśl, zawartą w słowach: *pozbyć się Polski!*

W komentarzu do tych słów powiedziano, że należy wycofać z Król. Polskiego wojsko, zburzyć fortece — i zostawić Polaków na łasce losu i Boga. Myśl ta zdaje się już nawet zakiełkowała w kołach rosyjskich. Potwierdza ją świeżo wielka powaga naukowa, badacz języka cerkiewno-słowiańskiego, członek akademii nauk, nazwiskiem A. J. Sobolewski.

Powiada on: „Jeżeli istotnie kochamy naród rosyjski i życzymy mu dobrze, powinniśmy wypełnić jawnie wypowiedziane życzenie Polaków, pragnących wolności."

Ciekawe p. A. J. S. dodaje do tych słów objaśnienie. Ofiaruje nam zupełną niezawisłość, ale jako człowiek

---

5) że ziemia w Księstwie i Prusach królewskich stale drożeje i to w bardzo stosunkowo szybkim czasie.

Kto więc, kochani rodacy sprzedaje dzisiaj ziemię lekkomyślnie komisyi kolonizacyjnej ten

popełnia *podwójny* grzech:

1) *zaprzepaszcza ziemię ojczystą w ręce obce,*

2) *krzywdzi siebie i swą rodzinę, bo gdyby nie sprzedawał lekkomyślnie, jeno spokojnie pracował i czekał, to za parę lat dostałby za ziemię swą — nawet od rodaków — kilkadziesiąt marek za morgę więcej!!*

Pewien ksiądz w katolicko-polskiej wsi gospodarskiej nad Wartą, zapytywany był przez gospodarza M. przed laty, czy radzi mu sprzedać swe gospodarstwo po 200 marek za morgę. Ksiądz znał gospodarza, że jest pracowity, młody i zdrów, że ma dzieci małe, i że grosze umie w banku ciułać. Odradził mu sprzedaży, a przekonał go, że powinien ziemi coraz więcej kupować, bo ziemia będzie co rok droższa. Nasz gospodarz usłuchał rady księdza, wykupił przez te 12 lat jeszcze dwa gospodarstwa jedno mniejsze od rodaka, drugie większe od Niemca i dziś niesprzedałby swej ziemi chociażby mu 500 marek za morgę dawano. Dla czego? Bo wie dokumentnie, że ziemia jest z każdym rokiem droższa, że majątek jego się podwoił i potroił, a jeszcze znacznie powiększyć się może.

Otóż kochani bracia, tak postępujcie jak ów gospodarz z nad Warty, który chociaż nie ma kujawskiej, czarnej gleby buraczanej, równak swoją żytnią obrabia i kocha! On wie, że jego glinka i jego łąki z każdym rokiem więcej są warte, on lekkomyślnie rodakowi ziemi swej nie sprzeda, a cóż dopiero kolonizacyi! Takich gospodarzy, takich dzielnych synów Ojczyzny i takich mądrze myślących nam więcej!

Rzućmy jeszcze raz okiem na powyżej umieszczoną tabliczkę. Widzimy, że od roku 1902-go, a więc od trzech lat rząd pruski zarzucił sidła na polskiego chłopa. Rząd myśli: „Chłop polski ciemny, a chciwy talarów. Jak mu agent żydek podszepnie, że pracować tak ciężko nie warto, skoro mu zdrajca rodak zacznie wyliczać wiele to stówek niebieskich zbierze za ojcowiznę — wtenczas chłop polski zmięknie — baba przywtórzy i na pierwszym lepszym targu w mieście po paru kieliszkach wódki — prast do notaryusza — już po gospodarstwie!"

Tak myśli rząd pruski i tak już niejednego złapał, a żydki i zdrajcy-agenci napychają sobie złotem judaszowskiem kieszenie i brzuchy.

Rząd wie, iż ziemia w obszarze gospodarskim droższą jest i coraz to będzie od ziemi w większym obszarze. I dla tego rząd kusi wszelkiemi sposobami gospodarzy, aby już teraz mu taniej ziemie swe sprzedawali bo za rok, pięć lub dziesięć musiałby znacznie drożej kupić. A dziedzice coraz bardziej ziemię trzymają — bo liczą się ze sromem i wiedzą jako uczeni i oczytani, że ziemia droższą być musi i będzie.

Czyż cyfry nasze tego nie dowodzą? Czy nie czytamy co tydzień prawie po gazetach, że ten i ów gospodarz polski znowu się dał skusić i wygłupić, że sprzedał zamiast oddać synowi ziemię w spuściźnie?!

Prawda, że w ostatnim czasie znowu dwa większe majątki poszły na kolonizacyą Kotowiecko i Mielżyn. Ale przy Kotowiecku zawiniły chciwe na grosz kobiety, z których jedna wyszła za Niemca, a druga stała pod wpływem złota chciwych dzieci.

Za to dziedzic Mielżyna postąpił sobie jako prawdziwy targowiczanin, który zdradził świadomie ojczyznę. Nocą szampanował z . . . . a za dnia handlował z żydami o cenę swej zdrady. Od takiego moralnie zgniłego Judasza, ani pies kawałka chleba nie weźmie. Hańba temu potomkowi szlachty, który odebrawszy majątek z wielkim mozołem i trudem banku polskiego uregulowany, w tak wstrętny się go pozbył sposób.

Niechaj lud polski pokaże, że nie wzoruje się na takich indywiduach.

Niechaj gospodarz polski nie idzie śladem tej szlachty co stawszy się kolonizatorami zmarniała. Niechaj ręka w rękę idzie z tymi, którzy ziemię kochają, w niej pracują i jej Niemcom nie dadzą, niechaj sumienie odezwie się w nas bracia! Pamiętajcie, nie kurczyć Ojczyzny!

K. R.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

praktyczny, czujący wraz z całą sforą urzędniczą rosyjską pustki w kasie państwowej — żąda, byśmy odkupili od Rosyi twierdze w Królestwie, rządowe koleje, gmachy publiczne — wszystko, co rząd rosyjski w czasie stuletniego panowania na polskiej ziemi za polskie pieniądze pobudował. Nadto powiada, że granicę celną należy przenieść na Białoruś.

Chce nam więc p. A. S. dać niezależność, chce byśmy tę niezależność grubemi prawdopodobnie sumami okupili, chce nadto pomiędzy Polską i Rosyą postawić komory celne — to znaczy: zbyt przemysłu polskiego ograniczyć na same Królestwo, innemi słowy, podwiązać mu byt i cały kraj zubożyć.

Kiedy nadto p. A. S. wysłał urzędników Rosyan z Królestwa do Rosyi, a urzędników Polaków z Rosyi do Królestwa, kończy swoją ofiarę zapowiedzią: „A potem — niech będzie, co będzie!“

Rosya więc, a raczej politycy rosyjscy chcą się pozbyć Polski. Dalej jeszcze idą politycy niemieccy w Berlinie. Oni nie pozbyć się nas chcą, ale wręcz powiadają, że trzeba *odbudować Polskę*.

Dla czego? Nie bądźmy zbyt naiwni, żeby Niemcy w jednej dobie mieli zmienić się z wrogów na przyjaciół naszych. To nie. Ale chodzi im o interes Niemiec samych.

Dowodzi tego w berlińskiem piśmie „Der Tag“ znany wszech-Niemiec dr. K. Peters. Odbudowanie Polski nazywa on koniecznością, bo — „Niemcy nie zjedzą Polaków,“ nie zniemczą ich. Idzie on zdaje się nawet tak daleko, że żąda złączenia wszystkich dzielnic polskich, chce bowiem osłabić żywioł słowiański w Austryi, na którą Niemcy ostrzą sobie apetyt.

Będzie to zysk podwójny, bo oprócz żywiołu słowiańskiego osłabi się i Austrya sama i prędzej skłoni się ku połączeniu z Niemcami. A po nadto ubytkiem Królestwa osłabi się Rosya.

Zatem — zamiast jednego silnego wroga Niemiec — tj. Rosyi, będzie na wschodzie dwóch jej wrogów, ale słabych — widocznie łatwiej z osobna do pokonania.

Przewiduje oczywiście p. dr. Peters, że Polska i Rosya przymierza wiecznej przyjaźni ze sobą nie zawrą, że prędzej czy później staną się dla siebie wrogami — i w ten sposób zniknie z powierzchni świata wieczny straszak niemiecki: wschodnie niebezpieczeństwo.

Pan dr. Peters nie ukrywa jednak *celu* — w jakim to czyni.

Przyznał na początku, że Niemcy Polaków nie zjedzą, to znaczy, że kultura nasza okazała się dostatecznie odporną na germańskie zakusy. Nie warto zatem więcej się w tym kierunku łudzić i trudzić. To nie znaczy, że wogóle zapędów na wschód się — wyrzec należy.

Przeciwnie, p. Peters ma już gotowy plan: Niemcy zabiorą Austryę — Węgry — Słowiańszczyznę południową, a potem zabiorą się do krajów dziś rosyjskich na południu — hen ku Odesie, Krymowi.

„Południowa Rosya — powiada — dziś kraj źle uprawiany, zaniedbany, dla pracowitego kolonisty niemieckiego więcej jest wart aniżeli cała Afryka i Indye pospołu. Tej ziemi urodzajnej potrzeba teraz Niemcom tak jak światła lub powietrza. Jeżeli jej nie otrzymają, muszą się z nadmiaru ludności udusić.“ —

Takie oto są fantazye polityczne nad Newą i Hawelą, w obu stolicach państw, które tak nienawistną w dziejach polskich odegrały rolę.

W ocenę tych fantazyi uważamy za zbyteczne się wdawać, choć zaznaczyć musimy, że Niemcy wszyscy, gdy mówią o południowej Rosyi, wpadają w zachwyt formalny. Kraj to istotnie o glebie nieomal w całej Europie najwięcej urodzajny — kraj — marzenie dla pracowitego rolnika, kraj obiecany i miodem i mlekiem płynący. Nie dziw, że wzbudza apetyt w pracowitym Michałku.

Nam to tylko wydaje się podkreślenia godnem, że tę samą myśl co do „pozbycia“ względnie „odbudowania“ Polski tak *równocześnie* podniesiono. Możemy nawet wierzyć, że głosy te szczerze zostały wypowiedziane. Możemy nawet pójść dalej i upatrywać w nich sprawdzenie się zapowiedzi tych polityków, którzy prorokowali, że Polska rozebrana stanie się kiedyś dla zaborców samych — *ciężarem*, którego nie będą wiedzieli, jak się pozbyć.

Byłby to zatem sprawiedliwy sąd nemezys dziejowej za zbrodnię dokonaną na polskiem państwie przed sto kilkudziesięciu laty. Tak — Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Gdzie się córki nasze niemczą?

II.

Poruszając sprawę zakładów wychowawczych, w których dziewczęta polskie się rzekomo kształcą pod opieką cudzoziemek, pragnęliśmy wykazać przedewszystkiem, że w jednym z klasztorów podobnych, w Rokitnie, pow. międzyrzeckim, trzy czwarte części wychowanek stanowią Polki, które w poczuciu samowiedzy i swoich praw przyrodzonych jednego przynajmniej przedmiotu naukowego — i to prawd wiary katolickiej — uczyć się chciały w języku ojczystym.

Objaw ten pocieszający poniekąd zaćmił jednakże fakt późniejszy, że młodzież żeńska — mimo przyznanego jej prawa i częściowego zaspokojenia żądań, dobrowolnie na niemiecki wykład religii wyemigrowała.

To napiętnować musieliśmy mianem smutnego zaprzaństwa ze strony dziewcząt, zaprzaństwa, które nie wypłynęło wprawdzie z własnej inicyatywy dziewcząt, ale nastąpiło pod wpływem namowy i obietnic rozmaitych. — Pozostaje nam jednak do rozstrzygnięcia, jakim się to stało sposobem, że kierowniczka zakładu ze swej strony uznała, iż polskim dziewczętom polski wykład się należy. Przypuszczamy, że jako osoba światła a pobożna, przełożona zakładu rozumie, iż jej samej n. p. przykrem by było i bolesnem, gdyby ją samą kto zmuszał do modlenia się lub rozmyślania w obcym dla niej języku, gdyby np. pacierze zakonnej reguły w polskim odmawiać musiała języku.

Dla czego te objawy sprawiedliwości czy sympatyi tak odrębnemi są od tego, co się przez ten rok w zakładzie odbyło, w to głębiej zajrzeć warto i zbadać, co było sprężyną tej dwoistości: czy to system pruski szkolny wprost taką presyą wywierał — czy też działał tu może wpływ inny, uboczny.

Zanim do wniosku swojego dojdziemy, skreślić musimy tutaj jeszcze stanowisko, jakie wogóle w zakładzie zajmowała *mowa polska*. I tu zaznaczyć musimy znowu dwie rzeczy:

plan nauki szkolnej, wykładowy, zostający pod opieką pruskiej władzy szkolnej,

życie wychowanek pozaszkolne, tak zwane życie w internacie.

Co się tyczy wykładu religii wogóle, to ten według ostatnich ukazów rządu i w innych zakładach żeńskich obecnie także odbywa się w języku niemieckim. — Którzy Polacy czują obowiązek szkolnego nauczania dzieci prawd wiary w języku ojczystym, czynią to w domu poza szkołą i cel swój osięgają. — Ale te dziewczęta polskie, które po za domem są dwa lub trzy lata, a w internacie po za szkolną nauką *nie mogą* uczyć się religii w języku ojczystym, czy te niemczyć się nie muszą?

Przekonajmy się tedy, czy owe

córki nasze w Rokitnie się kształcące po za innemi obowiązkami szkolnemi mogły choćby — jak *samouki* — pielęgnować język ojczysty o tyle, żeby przynajmniej władać nim nie zapomniały.

Faktem jest, że za śp. ks. dziekana Garskego, który wobec wszystkich wychowanek był sprawiedliwym, uczenicom Polkom nie stawiano zapór, by się obok innych polskiego języka uczyć mogły u nauczycielki zawodowej, która w zakładzie stale przemieszkiwała.

Faktem i to, że dziewczęta czytywać mogły i polskie książki, których w domu był dobór pewien acz skromny.

Faktem dalej, że i do nauczania gry na fortepianie zatrudniano nauczycielkę polskiej narodowości.

Faktem i to, że wśród sióstr zakonnych było kilka Polek, które z panienkami rozmawiały po polsku.

Tymczasem od pewnego czasu wszystko z gruntu się zmieniło.

Nauczycielka Polka, osoba z całego zakładu niewątpliwie najinteligentniejsza zakład opuściła, bo uznała się za zupełnie zbyteczną wtedy — gdy

1) znikły naraz z domu książki polskie, które po za lekcyami uczenice czytywały. Dalej

2) zniesiono związek Dzieci Maryi, istniejący od dawna,

3) zakazano uczenicom siostry Polki w polskim pozdrawiać języku,

4) zakazano im rozmawiać do siebie po polsku podczas uprzątania pokojów,

5) obietnicą polskiego wykładu religii zobowiązano je do wyrzeczenia się mowy ojczystej na wycieczce do Międzyrzecza.

6) przeniesiono z klasztoru w Rokitnie do Trzebnicy wszystkie siostry Polki, a ostatnią siostrę Polkę usunięto z pensyonatu,

7) częstowano uczenice zapowiedzią, że wkrótce „niczego polskiego“ w zakładzie już nie będzie.

Oto fakta niczem niezbite. Szukać nam tedy należy sprężyny, która całą tą akcyą kierowała?

Nie trudno ją wskazać, bo każdy się jej łatwo domyśli. Na razie jeszcze jednak nie wymieniamy nikogo po nazwisku, bo wypadki te mają związek ze sprawą ściśle *zakonno-kościelną*, której my na razie roztrząsać nie zaczynamy.

Informacye nasze dzisiaj kończymy tylko ostrzeżeniem, żeby rodzice dobrowolnie córek swoich na łup niemczyzny nie wydawali. Dość już młodzieży żeńskiej wynaradawia się w szkołach ludowych. — A nieraz los tych dziewcząt godnym pożałowania.

I tak jedna z panienek w zakładzie Rokitnickim przebywająca — sierota z Królestwa — spędzając tamże wielkie wakacye, — mimowoli dowiedziała się o owych zajściach natury zakonno-kościelnej, które siostry tamtejsze były zaniepokoiły.

Na tę to dziewczynkę padło podejrzenie, iż ona koleżanki swoje *podburzyła* do domagania się wykładu polskiego religii. Aby ten domniemany zły element z domu usunąć, trzy siostry Niemki — pod nieobecność przełożonej — panienkę tę wysłały z zakładu do ciotki niemając nawet pewności, czy znajduje się ona w domu.

Strach ma wielkie oczy, to prawda, ale czyż taką to procedurą owe siostry miłosierdzia cel swój osięgną?

Jeżeli miłosierdzie chrześciańskie skłania je do tego, aby się i wychowywaniu młodzieży poświęciły, to społeczeństwu polskiemu, któremu córki chcą chować, niechżeby szczerze i wyraźnie powiedziały, że im polskiego katechizmu i polskiej literatury do ręki dać nie mogą, bo im tego już system pruski już inne uboczne wpływy nie pozwalają, ale niechaj nie uprawiają hakatyzmu w domu, a dziewczętom naszym nie mącą pojęć moralnych.

Wtedy my sobie z naszemi córkami sami radę damy — sami będziemy wiedzieli, gdzie się one nauczyć będą miały mówienia językiem niemieckim, a gdzie pracy domowej, gdzie języka ojczystego, gdzie przystojnego zachowania się w towarzystwie, a to wszystko bez uszczerbku dla ich ducha polskiego i przeznaczenia mężnej niewiasty chrześciańskiej zarazem.

Szczerość ta ze strony owych sióstr zakonnych wieleby była warta.

Arcybiskup — prawdziwy Polak.

Historya Polski zna dużo postaci wybitnych ze wszystkich stanów. Niemałą liczbą szczyci się pod tym względem — stan duchowny.

I nasz nieszczęśliwy czas dał nam dwóch księży, wysokich dostojników Kościoła, do których z prawdziwą, szczerą i głęboką spoglądamy czcią.

Pierwszy z nich, to ks. arcybiskup *Bilczewski* we Lwowie, a drugi, to biskup *Jaczewski* z Lublina.

Szczęśliwa Galicya — szczęśliwe Królestwo.

Ks .biskup Jarczewski — wiadomo — zajął się z chwilą wydania ukazu o swobodzie wyznania w Rosyi i Królestwie gorliwym objazdem swej rozległej dyecezyi. Objazd jego, to pochód tryumfalny, a w ślad za nim szła wiara wzmocniona, ufność w Boga większa, zwiększała się liczba wiernych przez przechodzenie unitów na katolicyzm.

Ks. arcybiskup Bilczewski znany nam z gorliwego udziału we wszystkich pracach narodowych. Głośniej imię jego rozbrzmiało podczas ukoronowania obrazu Matki Boskiej we Lwowie — głośniej jeszcze i milej dla narodu, gdy zebrawszy młodzież polską, dążył jednać nam u stóp nowego papieża, Piusa X-go nową sympatyę i miłość.

Nowy do szeregu tych czynów wchodzi dowód patryotyzmu i głębokiego poczucia polskiego tego na prawdę czcigodnego dostojnika Kościoła.

Ks. arybiskup *Bilczewski* zarządził z powodu ciężkiego położenia narodu polsko-katolickiego *we wszystkich trzech zaborach,* ażeby kapłani archidyecezyi lwowskiej wraz z ludem następującą odmawiali modlitwę:

„Panie Jezu Chryste; przypadamy do stóp Twoich, błagając, niech ustąpi z pośród nas wszelka nienawiść i niezgoda i niech zapanuje sprawiedliwość i miłość święta, ze sprawiedliwością zaś i miłością pokój w duchu Twoim — pokój między owieczkami a pasterzami, pokój i między dziećmi a rodzicami, pokój między uboższymi a bogatszymi, pokój między pojedyńczemi stanami a narodami, pokój w każdej rodzinie i całem społeczeństwie. Daj też narodowi naszemu obfitość łask Twoich i lepszą dolę...“

Oprócz tego wydał arcybiskup *Bilczewski* drugie pismo, i to z okazyi 250 rocznicy zakończenia oblężenia klasztoru jasnogórskiego przez Szwedów. Pisze w niem tak:

„Obchodzimy różne rocznice. Tej rocznicy oswobodzenia Częstochowy, która jest jedną z najważniejszych w politycznem, a nawet religijnem życiu naszego narodu, milczeniem pominąć nam nie wolno. Nie dość jest umieć prosić Pana Boga i Matkę Najświętszą o łaski. Trzeba nam też umieć okazać wdzięczność za otrzymane dobrodziejstwa, a to tem bardziej, że nad całym narodem groźne nagromadziły się niebezpieczeństwa. Zarządzamy więc, aby we wszystkich kościołach naszej archidyecezyi przy kazaniu w dzień Bożego Narodzenia przypomniano wiernym tę wielką rocznicę zmiłowania Bożego nad naszym grodem, a po sumie przed Najświętszym Sakramentem, wystawionym w monstrancyi, odmówiono litanią do Matki Bożej, po litanii zaś odśpiewano uroczysty hymn dziękczynienia „Te deum laudamus“ — Ciebie

Boże chwalimy — z zwykłemi oracyami".

Dwa to różne pisma, a jedno dyktowało je serce — to serce polskie, które kapłanom i ludowi każe się modlić i zapewne samo modli się o „obfitość łask i lepszą dolę" dla narodu naszego, które wznosi dziękczynny i pochwalny hymn do Boga i Maryi za to, że przed 250 laty łaską swoją uratowała Częstochowę od Szwedów i dała początek do oswobodzenia Polski z pod cudzego jarzma.

Czyż to nie piękny przykład — dla innych!!

Zbrodnie socyalistów
w Królestwie.

Znane powszechnie są klęski, sprowadzone na Król. Polskie postępowaniem socyalistów w tak niesłychanie burzliwych czasach. Oni to wszędzie wszczynali strejki i nakazywali je wtenczas i tam, gdzie one najmniej szkodziły rządowi rosyjskiemu, a samym robotnikom polskim i całemu krajowi najwięcej.

Zrozumiało to wreszcie społeczeństwo polskie w Królestwie. Czynnie w obronie narodowej wystąpiła zaledwie tylko część, zrozumiawszy, że dalszemu wikłaniu stosunków polskich i szkodzeniu sprawie narodowej należy — zapobiedz.

Zawrzała straszna walka między socyalistami i demokratami — narodowymi (wszechpolakami), bo oni to właśnie wystąpili przeciwko rujnującej kraj robocie socyalistów. Z początku była to walka na słowa, zmaganie się wzajemnych wpływów podczas urządzania demonstracyi. Nie było bratniego krwi przelewu.

Nadszedł jednak i ten smutny czas. Brat podniósł rękę na brata — socyaliści zamordowali już kilka niewinnych ofiar, a otrzymają za to w nagrodzie od całego narodu polskiego smutne piętno — Kaina.

Oto dowody i fakta.

W Warszawie padł ofiarą mordu z rąk socyalistów Karol Piotrowski. Czemu? za co?

Socyaliści oddawna mieli na Piotrowskiego oko: ten człowiek zwalczał alkoholizm, nawoływał do jedności, prowadził robotników pod polski sztandar narodowy, a więc oczywiście musiał zginąć. Socyal-demokraci specyalnie nań się odgrażali; w ciągu ubiegłego półrocza z ich ręki P. otrzymał aż dwa wyroki śmierci, których jednak nie wykonano. Ale teraz, gdy robotnicy warsztatowi wrócili na kolei do pracy, a nie było wcale tajnem, że śp. Piotrowski w myśl swych zasad gorąco ich do przerwania strejku namawiał, socyal-demokracya skazała go ostatecznie na śmierć. Albowiem godzien jest teraz śmierci każdy, kto w Polsce chce iść drogą polityki polskiej. Tym razem P. nie wręczono żadnego wyroku, tak pilno było socyal-demokracyi sprzątnąć ze swej drogi żywego człowieka.

W samo południe, gdy P. w gronie rodziny spożywał skromny obiad w swej izdebce na IV piętrze, do domu wbiegło pięciu uzbrojonych ludzi. Dwaj zostali u bramy domu na straży, trzej zaś uzbrojeni w rewolwery wbiegli szybko na IV piętro.

— Czy tu mieszka Karol Piotrowski, robotnik z warsztatów kolejowych?- — spytano z proga.

— Tak tutaj — odpowiedział spokojnie P., — to ja nim jestem.

Padły trzy strzały z rewolweru i Piotrowski, ranny śmiertelnie, runął na ziemię bez życia.

Mord ten wywołał w Warszawie głębokie wrażenie. Piotrowski bowiem wiele w organizacyi narodowej robotników działał, poświęcił się dla sprawy polskiej, dla niej został zamordowany. Warszawskie pisma poświęciły wypadkowi temu naczelne artykuły. Podpada, że donoszą, że „między innemi" i Piotrowski padł. Ma to zapewno oznaczać, że socyaliści więcej „ofiar" zgładzili z tego świata.

Teraz dopiero przedziera się z za osłon tajemnic druga zbrodnia dokonana w *Mińsku* mazowieckim na śp. Piotrze Ryniewiczu przez jednę z partyi socyalistycznych. Donosi o tem brat zamordowanego, ks. Ryniewicz. Z pisma jego wyjmujemy doniesienie samego faktu:

„W noc ciemną, dżdżystą, w dniu 15-go grudnia, zamordowano brata mego z ukrycia, z za węgla tuż pod oknami jego, gdy wracał z Warszawy z zajęcia. Gdy ojciec, stryj i żona zabierali ciało zamordowanego z ulicy, mordercy, czy ich wspólnicy nie chcieli pozwolić na to, tłomacząc, iż ciało powinno pozostać na miejscu.

„Na drugi dzień po dokonanym mordzie, gdy przy ciele zamordowanego czuwały same tylko kobiety, wpadło do mieszkania dwóch ludzi, uzbrojonych w pałki i, nie pytając nikogo o pozwolenie, rzucili się oni do ciała zmarłego, zdarli prześcieradło, rozwarli koszulę i przyglądali się ranom, poczem zwrócili się brutalnie do zrozpaczonej wdowy z żądaniem, aby wydała im kule, jakiemi został zamordowany śp. brat mój. Nieszczęśliwa odrzekła, iż są one u sędziego śledczego...

„To chyba szakale, a nie ludzie!

„Socyaliści nie kryją się, iż są sprawcami mordu, sami twierdzą, że nieboszczyk brat mój zginął za to, iż walczył z socyalistami.

„Zdradzili się oni również, że już na drugiego brata mego Jana, dwa razy zamachy czynili, lecz ręka Boska uchroniła go od śmierci.

„Grożą i mnie także...

W Łodzi z tych samych powodów zamordowano robotnika Bezingera. Zaczęło się — donoszą pisma łódzkie — w restauracyi od sprzeczki politycznej, w czasie której socyal-demokrata Orłowski strzelił z rewolweru i zranił narodowca Adamczewskiego, poczem ze współwyznawcami uciekł. Kiedy przenoszono rannego do domu, padły na ulicy strzały rewolwerowe, które zabiły na miejscu Bezingera i zraniły przechodzącego robotnika Nowaka. Narodowcy otaczają kołem trupa i w tej chwili dwaj socyaliści, usiłują im zadać ciosy nożem. Narodowcy odpierają napastników i socyaliści, pokrajawszy nożem ubranie dwom broniącym się, uciekają znowu.

Tak wyglądają w świetle własnych uczynków „dobroczyńcy", „obrońcy", „opiekunowie" ludu roboczego. Śpiewają oni w „sztandarze czerwonym", że nowe drogi wyznaczą dla świata. Wypadki, jakie zapisaliśmy z Król. Polskiego — to nie nowe drogi, to nie świat „ładu i porządku", to stary świat zbrodni i gwałtu, to nieład i anarchia, czyniąca z socyalistów nie „zbawicieli" — lecz zbrodniarzy — bratobójców.

Naród polski występki te będzie umiał należycie ocenić i nie zawacha się potępić ich jak najostrzej.

Z Królestwa Polskiego.

(Korespondencya własna „Pracy").

Represya i reakcya. Samowola administracyi. Stan rzeczy w Płockiem i Mławskiem. Rozwój prasy. Nowe pisma. Konfiskaty. Samoobrona narodowa przed socyalistycznym terorem.

Dnia 15-go stycznia 1906 roku.

Represya rządowa i reakcya — temi słowami najlepiej określić można dzisiejsze położenie polityczne kraju naszego. Już sam stan wojenny stawia ludność w położenie bezradne wobec ucisku i samowoli władz rosyjskich, a generał-gubernator warszaw-

ski z bezgranicznym cynizmem uzasadnia potrzebę utrzymania nadal stanu wojennego, bo ten ma na celu „jedynie zabezpieczenie spokojnej ludności przed partyami rewolucyjnemi". Tymczasem pod tym pretekstem nad Królestwem rozsrożyło się najokropniejsze prześladowanie wszelkich objawów walki o prawo narodowe, rozszalał się istny teror wojskowo-administracyjny. Przepisy stanu wojennego dają poszczególnym gubernatorom wojennym niewyczerpane źródło powodów do prześladowania ludności nawet spokojnej, a cóż dopiero walczącej o prawa narodowe w gminie, szkole i sądzie. Ustanowione przepisami stanu wojennego kary administracyjne sypią się na całym obszarze Królestwa jak z rogu obfitości, prócz tego wydobyto z ukrycia najrozmaitsze, od lat dziesiątków nie wykonywane przepisy generał-gubernatorów warszawskich, skierowane przeciwko zewnętrznym przejawom naszych aspiracyi narodowych. Skałon jest wprost niewyczerpany w wydawaniu „rozporządzeń obowiązujących, mających na celu uniemożliwienie samorzutnego wprowadzania języka polskiego do szkół ludowych i urzędów gminnych.

Ze szczególną srogością prześladowani są sędziowie gminni, urzędujący po polsku na zasadzie porozumienia wzajemnego, wójci, ławnicy i pełnomocnicy gmin, urzędujących po polsku. Ruch narodowy na gruncie samorządu gminnego, ruch powszechny w Królestwie, w szczególnie energicznej formie przejawia się w płockiej guberni: 14 sędziów i kilkudziesięciu wójtów i ławników gminnych administracya trzymała bezprawnie w więzieniu płockiem, podatki zbierane są przy pomocy oddziałów wojskowych, a urzędy gminne opieczętowane. W powiecie mławskim władze tłumią strejk podatkowy w sposób iście barbarzyński: wszyscy rolnicy otrzymują po kilku żołnierzy, których obowiązani są żywić do czasu uregulowania podatków rządowych! Ileż powodów i okazyi do gwałtów i ucisku, przypominającego najgorsze czasy popowstaniowe!

Jednak, jak donosi „Kuryer Warszawski", gminy w Płockiem stoją twardo przy swojem i języka polskiego używają w korespondencyi pomimo wszelkich represyi rządowych. Najsroższy terroryzm wojskowo-administracyjny panuje właśnie w Płocku, gdzie gubernator wojenny nie pozwala pomiędzy innemi na sprzedaż w mieście pism warszawskich bez poprzedniego ich ocenzurowania! a organ miejscowy „Echa Płockie" zmusił do zawieszenia wydawnictwa żądaniem poddawania się cenzurze!

Wogóle prasa poddaną została zupełnej samowoli administracyi. Nie przywrócono coprawda cenzury, lecz za to konfiskaty i zawieszenia czasopism mnożą się bezustanku. Zamknięto 5 dzienników, pomiędzy innemi i „Gońca" — bez żadnych wyjaśnień i powodów, kilka tygodników warszawskich i prowincyonalnych, wśród nich ludową „Zorzę" i „Biesiadę Literacką". Pomimo to na polu dziennikarskiem w Królestwie panuje ruch wprost niebywały. Zawieszone dzienniki wychodzą nadal pod innemi tytułami: zamiast „Gońca" wychodzi „Praca Polska", zamiast „Gazety Warszawskiej" — „Przegląd Powszechny" i t. d. Powstały pisma nowe i w najbliższej przyszłości zapowiedzianych jest sporo całkiem nowych wydawnictw, codziennych i tygodniowych, partyjnych i bezpartyjnych, w Warszawie i na prowincyi. Ze szczególnem zadowoleniem powitać należy wydawnictwa ludowe, dotąd bardzo u nas nieliczne. Przybywa „Promień Polski" dla ludu, tygodnik bardzo tani a redagowany starannie w duchu patryotycznym z ilustracyami. Nawet w Wilnie ruch dziennikarski ożywił się bardzo, powstał ludowy tygodnik „Zorza Wileńska", mający na celu oświatę polityczną kilkuset tysięcy zaniedbanego dotąd polsko-białoruskiego ludu na wschodnich kresach naszych.

Prasa odznacza się dziś ożywieniem niebywałem. Uwolniona z więzów cenzury, omawiać może wszystkie wypadki i sprawy, dotąd przez lata całe wyjęte z pod jej kompetencyi. Administracya ściga przeważnie ton dzienników, lecz fakta podawać wolno, nawet takie, o których dotąd pisnąć nawet nie pozwalała cenzura, gdy istniała. To też dzienniki warszawskie są dziś nader ciekawe, przepełnione wiadomościami ze wszystkich stron kraju o aresztowaniach najwybitniejszych obywateli z pośród ziemian, lekarzy, inżynierów, kolejarzy i robotników. Aresztowania te nabierają charakteru masowego. Wobec zbliżających się wyborów do Sejmu, czy takie postępowanie rządu nie jest urągowiskiem zasadzie konstytucyjnej? Lecz nie możemy usunąć się od udziału w wyborach, jak radzą niektórzy, a przeprowadzić je musimy nawet w tak krańcowo niesprzyjających warunkach.

Nie brak też wiadomości o starciach krwawych wojska z tłumem. Miało to miejsce w Kole, Turku, w Siedleckiem, były i ofiary, lecz tego rodzaju rzeczy przechodzą już bez wrażenia w prasie i społeczeństwie. Oswoiliśmy się, niestety, z tego rodzaju hekatombami.

Bandytyzm w Królestwie przybiera niebezpieczne rozmiary; nie tylko w Warszawie, lecz i na prowincyi wypadki napadów i zbrojnego wymuszania pieniędzy przez pospolitych opryszków na cele rzekomo-rewolucyjne są na porządku dziennym. Lecz najokropniejszym objawem jest niebywały dotąd teror socyalistyczny, którego ofiarą już padło kilku wybitnych działaczy narodowych z pośród robotników i inteligencyi. Pomiędzy innemi śmierć Piotrowskiego i Runiewicza, zamordowanych przez socyalistów, wzburzyła całą opinią publiczną. Ten teror, dosięgający jednostki wybitne a narodowej sprawie wielce zasłużone, nikczemnością swoją i ohydą przechodzi całą dotychczasową działalność międzynarodowego socyalizmu w Polsce.

Ów teror spowodował powstanie „narodowo-demokratycznej organizacyi bojowej" robotniczej i rzemieślniczej. Utworzyła się ona w celach samoobrony przed czerwonymi zbrodniarzami.

Krańcowa nędza wśród proletaryatu miejskiego, zwiększająca się skutkiem zamykania zrujnowanych przez strejki fabryk, upadek przemysłu, masowa emigracya bogatszych jednostek za granicę — oto dodatkowe skutki socyalistycznego rozpasania.

Co będzie dalej? *Sarmata.*

ODEZWA

do wszystkich Towarzystw Przemysłowych w sprawie wyborów do Izby rzemieślniczej.

W miejsce występujących z dniem 1-go kwietnia br. członków izby rzemieśl. odbędą się w bieżącym już kwartale nowe wybory. W bieżącym miesiącu styczniu ogłoszą, albo ogłosili w tych dniach już radzcy ziemiańscy w okólnikach powiatowych, że spisy wyborcze uprawnionych do wyborów cechów oraz towarzystw przemysłowych można w pewnym czasie (ob. §. §. 5, 6 regulam. wyborczego poniżej podanego) przejrzeć w biurze ziemiańskiem. Każde Towarzystwo przemysłowe ma prawo głosowania, wszystkie towarzystwa wybierają atoli tylko *jednego* członka. Dotąd nasze Towarzystwa Przemysłowe swego zastępcy nie mają. Wzywamy więc je niniejszem, aby natychmiast przejrzały okólniki powiatowe swego powiatu (Kreisblatt) od 1-go stycznia br. licząc, czy radzca ziemian-

ski nie ogłosił już, że spisy wyborcze są wyłożone. Gdyby to dotąd nie nastąpiło, to wkrótce na pewno nastąpi.

Nakładamy więc Towarzystwom Przemysłowym obowiązek przeglądania dalszych numerów okólników. Z podanego poniżej regulaminu wynika, jakie i pod jakimi warunkami mają Towarzystwa Przemysłowe (§ nr. 2, § 3, 4, 5) prawo. Jeżliby przypadkiem gdziekolwiek czas przejrzenia spisów wyborczych minął, natenczas zaleca się bezwarunkowo, jeżeli zachodzi najmniejsza obawa, że Towarzystwo w spisie pominięto, natychmiast podać do swego radzcy ziemiańskiego wniosek, aby wciągnięto Towarzystwo do spisu (§ 6). Jeżeli zaś nie minął, natenczas należy natychmiast spis przejrzeć i w dalszych 14 dniach (§ 6) wnieść do radcy ziemiańskiego o umieszczenie Towarzystwa w spisie. Przytem trzeba podać, ile Towarzystwo ma głosów. Przy 20 lub mniej członkach ma 1 głos, przy 21 do 50 członkach dwa głosy, a na każde dalsze 50 członków po 1 głosie (§ 5). Liczą się tylko członkowie będący samodzielnymi rzemieślnikami i nie należący do żadnego cechu (§ 5 ustęp drugi regulaminu). Wniosek do radzcy ziemiańskiego powinien więc mieć podług powyższych wskazówek następne brzmienie:

Einem Koeniglichen Landratsamte zeigt der unterzeichnete Vorstand des (tutaj należy wymienić nazwę dokładną Towarzystwa) ergebenst an, dass derVerein hiermit seine Eintragung in die Liste der Waehler zur Handwerkskammer beantragt.

Der Verein beansprucht (tu należy wymienić liczbę głosów, a więc 1, 2, 3 do 4, zależy od tego, ile ma samodzielnych nie należących do innych cechów głosów) Stimmen.

Wir bitten um Bericht, ob dem Antrage stattgegeben worden ist.

Ergebenst

Der Vorstand des Towarzystwo .....

Podpis całego Zarządu.

Tak izba rzemieślnicza w Poznaniu, jak i w Bydgoszczy ma po jednym członku, reprezentującym Towarzystwa Przemysłowe.

Mamy nadzieję, że Szanowne Zarządy Towarzystw dopilnują swego obowiązku i poczynią kroki, aby Towarzystwa ich były w spisy wyborcze wciągnięte. Kandydata, czas wyborów podamy później.

Poznań, dnia 9-go stycznia 1906.

Zarząd Związku Towarzystw Przemysłowych w Niemczech.

Czypicki *T. Filipowicz.*

Frymarka ziemią.

Najwięcej wrażenia wywołały sprzedaże Kotowiecka i Mielżyna. Nie na tem atoli koniec niecnej frymarki ziemią. Wieści o sprzedażach, o układach nie schodzą z porządku dziennego — a ziemia polska kurczy się i kurczy.

Oto szereg dalszych smutnych wieści: *Gospodarz Sekuła* — w Nacławiu pod Kościanem sprzedał swoje 80 — morgowe gospodarstwo fiskusowi za 45 tysięcy marek. Sekuła był bardzo obdłużony. Nacław jest wsią zupełnie polską, gospodarze zamożni — czyżby tej ziemi nie było można rozkupić?!

Müller z Łuczkowa, w Kościańskiem, Polak zamierza folwark swój, 550 mórg obszaru, sprzedać komisyi kolonizacyjnej. Pan Müller nabył folwark ten przed 3-ma laty od Niemca, płacąc za morgę 240 mrk., teraz natomiast żąda 420 mrk.; tyle daje kolonizacya. Polska oferta wynosi tylko 1000 mrk. mniej. I za 1000 mrk. sprzedawać czyste imie, spokojne sumienie — czy to nie zgroza, nie zbrodnia!

Smutny fakt zarazy sprzedawczykowskiej stanowi — następujący anons ogłoszony w „Dzienniku Kujawskim“:

„Gospodarstwo składające się z 77 mg. dobrej ziemi, obsiane, z zabudowaniami, z żywym i martwym inwentarzem jest pod bardzo korzystnemi warunkami zaraz do sprzedania rodakowi. Jeżeli rodacy się nie znajdą, jestem zmuszony owe gospodarstwo powierzyć komisyi kolonizacyjnej. Marchnicki, gospodarz. Chrustowo pod Dąbrową (Louisenfelde).“

Czy można sobie większą wystawić bezczelność? — To też „Dz. Kuj.“ piętnuje w odpowiedni sposób to ogłoszenie. Jest to o ile nam się wydaje, pierwszy przykład podobnego ogłoszenia — wręcz nieuczciwego nacisku na polską opinię, by zmusiła kogoś do przepłacenia gospodarstwa p. M., który w dodatku gotów pójść za pieniądze te kupić większe gospodarstwo i sprzedać je potem na prawdę komisyi kolonizacyjnej — by więcej zarobić. Nie — na takich ptaszkach nie trudno się poznać.

Pod Koźminem przeszło 5000 mórg ziemi i lasu na rzecz komisyi kolonizacyjnej — z rąk niemieckich. —

Jedną tylko możemy zanotować wieść pocieszającą. Oto p. Andrzej Stranc, Polak sprzedał swoje gospodarstwo 55 morgowe w *Królikowie* pod *Kcynią* pp. Bystremu i Pawlakowi z Królikowa, a wykupił gospodarstwo 63 morgowe, po które już kolonizacya ręce wyciągała i już prawie zgodziła od pana Lehmanna (Niemca) z *Lankowskich Hub* p. Kcynią. Takim sposobem ostatni kawał ziemi w Lankowskich Hubach, który był zagrożony, dostał się w ręce polskie. Szczęść Boże nabywcom polskiej ziemi!

Tydzień polityczny.

W *Rosyi* reakcya coraz butniej podnosi głowę. Kierownik ministerstwa spraw wewnętrznych *Durnowo,* który brutalną surowością stłumił na razie ruch rewolucyjny, nagrodzony został za to przez cara nominacyą na rzeczywistego ministra i wysokim orderem. Widząc „dobry skutek“ terroru rządowego i *Witte* teraz zrzucił maskę liberalizmu i konstytucyonalizmu i zaczyna występować jako rzecznik absolutyzmu. Oświadczył on w kilku interwiewach, że manifest carski z dnia 30 października w niczem nie ogranicza samodzierżawia carskiego, że car wprawdzie nie cofnie przyrzeczonych ludności swobód konstytucyjnych lecz że i do tego miałby najzupełniejsze prawo. To oświadczenie Wittego oburzyło nawet te sfery umiarkowane w Rosyi, które dotychczas potępiały gwałty rewolucyjne. W „Nowoje Wremia“ pisze znany rosyjski publicysta Menszikow: „Cały świat uważał wybuch rewolucyi zbrojnej w Moskwie i inne podobne za zbyteczne a nawet zbrodnicze. Po tem atoli oświadczeniu Wittego czynna rewolucya nabiera uprawnienia. Jeżli bowiem manifest carski tylko takie ma znaczenie, naród powinien się postarać o pewniejsze gwarancye przyznanych mu swobód.“ Niestety, z rozmaitych objawów wnosić można, że ruch rewolucyjny rzeczywiście został złamany i że w najbliższej przynajmniej przyszłości reakcya będzie miała wolne ręce. Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że teraz niejedno ustępstwo zostanie znów cofnięte lub okrojone i że dana Rosyi konstytucya pozostanie tylko na papierze. Stan ten potrwa tak długo, dopóki stronnictwa konstytucyjne i rewolucyjne, rozbite teraz bezowocnemi wybuchami zbrojnemi i represyą rządu na nowo się nie zorganizują i nowych nie nabiorą sił.

Rząd nakazał wprawdzie, aby wszędzie czyniono przygotowania do wyborów do „Dumy“, do tej chwili jednakże nie wiadomo jeszcze, czy wybory te odbędą się rzeczywiście, a przedewszystkiem, *jak* się odbywać będą.

W *Inflantach*, na *Kaukazie* i w *Syberyi* toczą się jeszcze zacięte walki, lecz teraz, po stłumieniu ruchu rewolucyjnego w Rosyi właściwej i pokonanie tych kresowych „buntów“ jest już tylko krótką kwestyą czasu.

Że ten obecny stan rzeczy w Rosyi będzie tylko przejściowym, to nie ulega wątpliwości. Jest to cisza przed nową burzą, która będzie tem sroższą, im ostrzej w tym czasie reakcya tłumić będzie ruch rewolucyjny.

Uwagę świata politycznego zajmuje obecnie głównie konferencya *marokańska*, która we wtorek rozpoczęła się w *Algeciras* w Hiszpanii. Prasa niemiecka zdradza wobec niej wielkie zaniepokojenie. Odzywają się głosy, które radzą liczyć się wprost z możliwością, że wynikiem konferencyi nie będzie pokój lecz wojna. Na pograniczu francusko-niemieckiem ludność napewno spodziewa się krwawego starcia między obu temi państwami. Przypuszczenia takie i przeczucia często zawodzą, obecna sytuacya jest jednakże rzeczywiście bardzo poważna.

Odbywające się w *Anglii* nowe wybory do Izby gmin skończą się świetnem zwycięztwem obecnego liberalnego gabinetu. Stronnictwo unionistyczne czyli konserwatywne poniosło ciężką porażkę i znalejc zapewne z 400 na 200 głosów. W Niemczech wielkie do tego faktu przywiązują nadzieje, licząc mianowicie na to, że nowy gabinet będzie bardziej pojednawczo usposobiony wobec Rzeszy niemieckiej, niż poprzedni. Aby zaś przejednać także angielską opinię publiczną, odbywają się w wielkich miastach niemieckich zgromadzenia i festyny, na których urzędowi i nieurzędowi mówcy przesadzają się nawzajem w prawieniu komplementów i serdeczności „pobratymcom z po za kanału.“ Na razie jednakże jest rzeczą wątpliwą, czy umizgi te odniosą pożądany skutek.

We *Francyi* odbyły się w środę wybory prezydenta Rzeczypospolitej. Wybrany został *Fallieres* znaczną większością głosów. Fallieres obejmie urząd swój za miesiąc, t. j. wtenczas, kiedy skończy się urząd — Loubeta.

Sejmowi *pruskiemu* przedłożono zaraz na pierwszem posiedzeniu po wakacyach świątecznych etat państwowy na rok przyszły. Dochodzi on w wydatkach i dochodach do 3 miliardów i przedstawia się dość korzystnie. Podczas dyskusyi etatowej przyszło zaraz do „rozpraw polskich“. Wywołał je poseł ks. dr. *Jażdżewski* słusznemi skargami na antipolską politykę. Odpowiedź ministra p. *Bethmann Hollweg* nie różniła się niczem od utartego szablonu takich replik ministeryalnych. Dowiedzieliśmy się z niej, że nam żadna nie dzieje się krzywda. Nowym a dla ks. Jażdżewskiego zapewne zupełnie niespodziewanym był tylko zarzut, że i on (!) — buntuje spokojną ludność polską!

W parlamencie obradowano między innemi nad interpelacyą w sprawie *pojedynków w armii*. Ze strony rządu odpowiedziano, że dopóki nie nastąpi obostrzenie ustawy karnej w duchu większej ochrony czci osobistej, rząd będzie wymagał od oficerów, aby czci swej strzegli z bronią w ręku. Socyalistyczny poseł *Bebel* zarzucił wobec tego kanclerzowi i ministrowi wojny, że tem oświadczeniem sami naruszyli obowiązujące obecnie ustawy.

Z niemałym niepokojem oczekują w Niemczech także najbliższej niedzieli. W dniu tym bowiem mają się we wszystkich większych miastach odbyć *socyalistyczne demonstracye* przeciwko trzyklasowemu systemowi wyborczemu do sejmu pruskiego. Możliwą jest rzeczą, że przytem przyjdzie tu i owdzie do zaburzeń i starć z policyą.

M. O.

Głosy od Przyjaciół.

Roździeń (G. Ś.), 16 stycznia 1906.

(*„Gwiazdka“ „Sokoła“ rozdzieńskiego pod osłoną 10-ciu policyantów.*)

We święto Trzech Króli urządził tutejszy „Sokół“ gwiazdkę, na którą zeszło się druhów i gości w liczbie około 120. W sali reprezentował policyę komisarz i policyant, przed schodami dwóch policyantów, a na drodze do sali 4-ch policyantów, a 2-ch znajdowało się na zawołanie komisarza w pobliskiej restauracyi.

Zebranie zagaił w nieobecności d. prezesa, druh naczelnik Howaniec. Powitawszy w krótkich słowach zebranych, odczytał program gwiazdki. Nastąpił śpiew: „Bóg się rodzi“ i „W żłobie leży“ na 4 męskie głosy. Mimo, że z nauką śpiewu zaczęto w zbyt krótkim czasie przed gwiazdką, śpiew wypadł dosyć dobrze. Następnie zabrał głos d. Czupala na temat: „Co jest „Sokół;“ co ma za cel i zadanie?“ Mówca zachęcał w gorących słowach do wstępowania do „Sokoła“ przedewszystkiem młodzież, ażeby nas na blisko 20 tysięcy mieszkańców Roździenia i Szopienic, było w gnieździe nie 50, lecz przynajmniej 500.

Mówcy podziękowano hucznymi oklaskami. Później występowali jeszcze inni druhowie z deklamacyami, n. p. dd. Plewniak, Handy, Piecha, Palion, oraz gość p. Holotta.

Po deklamacyi, śpiewach i mowach nastąpiła swobodna pogadanka przy piwie, podczas której sprzedawano losy na rozmaite podarki. Nim jeszcze miało nastąpić losowanie tychże, krótko przed godziną 9-tą zabrał głos d. Howaniec i zaczął deklamować trochę za wyrazisto jakiś wiersz o Hakatystach. Wtem przystępuje komisarz, który na to już zbyt dawno czekał i nie pozwala mu dalej mówić, zarazem rozwięzuje zebranie i każe w 5-ciu minutach opuścić salę — w przeciwnym razie grozi aresztowaniem. W minutę po rozwiązaniu zebrania zjawiają się też na sali wszyscy stróże bezpieczeństwa w liczbie 10-ciu. Chcąc nie chcąc, musieliśmy salę opuścić, a losowanie podarków urządzimy na przyszłem zebraniu. Taki był przebieg naszej zabawy. Coraz lepiej się mamy w tem państwie *wolności i kultury*. Zdaje się, że tem ostatniem wystąpieniem z ich strony, znowu nam kilkanaście nowych druhów zjednają. Panowie „stróże,“ daremne wasze wysiłki, duch sokoli u nas się jeszcze więcej będzie odżywiał.

Wspomnieć jeszcze muszę, że na drugi dzień po tej niedokończonej zabawie, zeszło nas się około 15-tu „w zamniętem kółku“ na tej samej sali, ażeby dokończyć zaczętego piwa z dnia poprzedniego. Nie byliśmy tam może ani pół godziny, kiedy znowu wpada komisarz na czele 7-miu policyantów i „rozwięzuje“ nam niby niezameldowane zebranie, każąc się znowu wynosić w przeciągu 5-ciu minut. Dodaję, że salę tę wynajął od gospodarza jeden z naszych druhów do swojego użytku. W takim razie — myślę — policya nie ma prawa nas wyganiać, jeżeli gospodarz tej sali nas zaprosił.

Wyraził się jeszcze przy nas komisarz policyjny, że on nas dopiero nauczy praw, i że w przyszłości, gdzie tylko zobaczy 6-ciu „Sokołów“ razem, uznawać to będzie za zebranie i rozwięzywać takowe. *Młot.*

P. Red. Postępowanie komisarza uważamy za zupełnie bezprawne i radzimy udać się z zażaleniem na niego do landrata, ew. do prezesa rejencyi — a wreszcie do ministeryum. Spraw takich nie należy zaniedbywać ani zbywać tylko — żalem i utyskiwaniem. To nam nic nie pomoże. Chce Wam komisarz pokazać, jakie ma na Was prawa, to Wy starajcie się go przekonać o tem, że wiecie — jakie są w państwie konnstytucyjnem prawa — nawet dla komisarza.

Wiadomości.

* **Rewizya** procesu pp. *Macieja Wierzbińskiego* i *Bolesława Rakowskiego,* redaktorów „Pracy,“ wyznaczona została przez najwyższy sąd rzeszy na dzień 23-go stycznia b. r. Pan Maciej Wierzbiński odsiaduje tymczasowo w więzieniu śledczem. Po rozprawach w sądzie rzeszy wyrok poznański z dnia 25-go listopada 1905, skązujący p. W. na $1^1/_2$ roku więzienia, albo zostanie zniesiony i nowe naznaczone zostaną rozprawy — albo zatwierdzony, gdy rewizya zostanie odrzuconą. Swoboda może lub ulga tak ostrego wyroku p. Wierzbińskiego zależy od — rewizyi sądu rzeszy. Nie wiemy, czy w przyszłym tygodniu smutną, czy radosną z Czytelnikami naszymi będziemy mogli się podzielić wiadomością.

* **W sprawie** szykan pocztowych — prosi Koło polskie w parlamencie niemieckim o dostarczenie mu dowodów. Wszelkie wiadomości odnoszące się do tłómaczenia adresów, listów, kart, przesyłek, oraz przerzucania urzędników Polaków — na zachód, skargi przeciwko poczcie, należy przesyłać pod adres. „An die Fraktion der Polen“ Berlin N. W. Reichstag. Pospiech konieczny. — Czytelników naszych prosimy, by prośbie Koła uczynili zadość. Mamy prawo przez posłów naszych bronić się, to też z prawa tego korzystajmy.

* **Uprzykrzeni obcokrajowcy!** Pan Dr. Franciszek Chłapowski doniósł do pism tutejszych następującą wiadomość: *Walenty Półtorak,* rodem z pod *Ostrołęki* w Król. Polskiem, utracił obie nogi, jedną powyżej kolana, drugą pod samem kolanem wskutek zawalenia się kamieniołomu przy pracy w Hanowerskiem lat temu już kilkanaście. Od tego czasu pobierał rentę, osiadł w Poznaniu, ożenił się tu i pracował pilnie i cicho jako koszykarz, wyplatając krzesła. Gdy mu naczelny prezes mimo to nakazał jako obcopoddanemu opuścić Prusy z rodziną postanowił osiedlić się w jednej z nadgranicznych wsi polskich obwodu przemysłowego w pobliżu Mysłowic, w nadziei, że tam znajdzie zarobek jako wyplatacz krzeseł i będzie mógł pobierać dalej rentę jako kaleka na mocy specyalnej uchwały Związku Rzeszy, tyczącej się tych kilku pogranicznych wsi w powiecie będzinskim. W tej też myśli wysłał on swoje rzczy i sprzęty do Sosnówca w pierwszych dniach lipca 1905 r., a sam wybrał się tam z żoną i czworgiem drobnych dzieci; nie wpuszczono go jednak na tej granicy, ale odesłano szubem do Ostrołęki, podczas gdy rzeczy jego zostały w Sosnówcu, a ponieważ nie posiadał paszportu prawidłowego rosyjskiego, zostały i są one tam jeszcze zatrzymane, mimo próśb powtarzanych kaleki, aby przynajmniej ciepłą odzież mu nadesłano na koszt jego frachtem.

We wsi rodzinnej Klimki nie zastał już rodzinnej strzechy, która była zgorzała, nie zastał rodziców, którzy umarli. — W gminie niechętnie patrzano na powrót kaleki bez grosza, który przez to samo, że opuścił Niemcy, nie osiedlając się w jednej z kilku uprzywilejowanych wiosek granicznych z Mysłowicami — był utracił wszelkie prawo do renty jako kaleka. Bez domu, bez odzieży ciepłej, a wkrótce i bez grosza, nie umiejący pisać, ani chodzić nie mogąc, a do tego żadnej pomocy w tej mierze niemający z żony, także analfabetki, ani z czworga drobnych dziatek! — Nadto Klimki leżą w puszczy, daleko od Ostrołęki gmina Kurpiów uboga, gdzie także mało kto umie pisać. Długo trwało, nim się tu o nim dowiedziano. Aby módz mu coś pomódz, trzeba było pośredniemi drogami wynaleść dopiero proboszcza parafii, do której Klimki należą; dopiero teraz też otrzymałem duplikat frachtowego listu od rzeczy, leżących w Sosnówcu, których wartość jest mniejsza, jak cło, koszta zalegania i transportu tak dalekiego; trzeba mi było postarać się tu o ponowne wydanie świadectwa ślubu i urodzeń dzieci, odebrane Półtorakowi w drodze i zatracone, wreszcie poczynić kroki, aby módz w jego imieniu postarać się, na mocy prawa, o jakiś ekwiwalent utraconej renty (t. zw. Abfindungssumme). To wszystko wymagało i będzie wymagać dużo pieniędzy i zachodów. — W tym celu otrzymałem już od pani Józefowej Kościelskiej, która mu przedtem na wyjazd pomogła — marek 70, ale te pieniądze dawno już wyszły na biedne utrzymanie rodziny Półtoraka; dla przeprowadzenia zaś tego, ażeby otrzymał odzież i sumkę od ubezpieczalni, a której prawo do renty utracił, potrzebną mu do wybudowania chałupki — potrzeba mi jeszcze więcej, aniżeli drugie tyle. Może ten opis kogo zachęci do pomnożenia tej ofierze systemu, wydalającego bezwzględnie z kraju nawet takich, co w nim okaleczeli, a zresztą niczem nigdy się nie narażali władzom miejscowym. Pewnie takich ofiar jest więcej, ale w żadnym ze znanych mi przypadków skutki wygnania nie przedstawiają się tak smutnie.

Dr. Franciszek Chłapowski.
Ogrodowa 13.

Opłakany los Półtoraka doprawdy wzbudza litość. Serdecznie go też polecamy ofiarności Czytelników naszych. Składki oddamy na ręce p. dr. Fr. Chłapowskiego, pokwitowawszy je uprzednio w „Pracy.“

A oto druga historya. Murarz Józef Majewski, urodzony w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, starał się o obywatelstwo pruskie, ponieważ ojciec jego jest poddanym rosyjskim. Na wniosek swój otrzymał z policyi pismo, w którem donoszą mu, co następuje:

„Ponieważ przy ostatniej stawce nie zostałeś pan uznanym za zdolnego do służby wojskowej, dla tego nie możesz pan być przyjętym w poczet poddanych państwa pruskiego. Wzywam więc pana niniejszem do opuszczenia państwa pruskiego wraz z żoną, najpóźniej do 1 marca 1906 roku. Gdybyś pan nie zastósował się zawczasu do mego wezwania, nałożę na pana na podstawie paragrafu 132 krajowego prawa administracyjnego karę w kwocie 50 mr., którą panu niniejszem wyraźnie zagrażam, a w miejsce której, w razie niewypłacalności następuje kara 5 dni aresztu. Podp. w zast. Winzer.“

Tak daleko pismo policyi. Jedyną „zbrodnią,“ która nie pozwala na przyjęcie p. Majewskiego w poczet poddanych pruskich jest chyba to, że jest on — *Polakiem.*

Pan *Stanisław Guzik* z Dyseldorfu, rodem z Galicyi, od 10 lat w Niemczech, tokarz z zawodu, przeprowadziwszy się jak zwykle zgłosił się na policyi. Tu mu oświadczono, że albo musi Niemcy opuścić, albo przyjąć tutejsze poddaństwo — kosztem 50 mk. Ponieważ biedak nie ma tej sumy, przeto w przykrem jest położeniu. Korespondent nasz pisze, że wśród dysseldorfskiej polonii nakaz ten wywołał rozgoryczenie. Tylu tam bowiem Włochów i Holendrów — a nie słychać, żeby którego z nich wydalono. Ale — Polacy, to rzecz inna! —

* **Co Polaków godzi z Niemcami?** „Postępowi“ donoszą, że w pewnem Towarzystwie loteryjnem w Poznaniu, składającem się w połowie z Niemców i Polaków, zastanawiano się nad tem, w jakich gazetach ogłaszać komunikaty. Gdy ktoś zaproponował „Pos. N. Nachr.“, a na to jeden z Niemców oświadczył, że należałoby także ogłaszać w gazetach polskich, powstał pewien budowniczy Polak i zaczął przemawiać za „Pos. N. Nachr.“, bo zapewne każdy członek Polak tę gazetę trzyma, a jeżeli nie, to powinien (ho!, ho!!) ją sobie zapisać. Drugi z Polaków poparł zdanie bu-

downiczego. Korespondent „Postępu“ podnosi, że ów budowniczy należy, czy należał do polskiego Komitetu wyborczego.

Pisząc o tym wypadku „Dziennik Kuj.“ takim poprzedza go wstępem: „Uległość nasza i brak godności narodowej wobec przeciwników politycznych wywołuje u nas nieraz słuszne zgorszenie. Służalczość tę i t. z. „polską grzeczność“ w stosunkach naszych z cudzoziemcami posuwamy nietylko do śmieszności ale wystawiamy sobie świadectwo niedołęstwa narodowego i braku zrozumienia naszych interesów.“

My zaś szczerze i otwarcie powiadamy, iż każdy naród cywilizowany wobec cudzoziemca jest grzeczny. Grzeczność wobec cudzoziemca uchodzi na całym świecie za objaw wysokiej kultury. Nie z tego jednak punktu widzenia myślimy o tych cudzoziemcach, którzy przybyli na naszą ziemię nie w roli gości lecz w roli — zaborców. Lecz i tu grzeczność w pewnej mierze jest konieczną — tylko nie tam, gdzie grzeczność ta kala uczucie narodowe. Tow. loteryjne — głupie jak głupiem i ślepem jest szczęście — niech ogłasza się gdzie chce, to nam jest obojętne. Nie jest nam atoli obojętnem, gdy nawet w tak głupiem towarzystwie znajdzie się Polak, który nawołuje do abonowania — obcych pism. Ot — to jest rdzeń popełnionej w owem towarzystwie — nazwijmy to pobłażliwie — niestosowności. Szkoda, że „Postęp“ nie podaje nazwiska owego pana. Będzie to prawdopodobnie jeden z owych „gębowych“ patryotów, który „tam“ tak, a między Polakami inaczej gada. Nasuwa nam to podejrzenie uwaga, że podobno należy czy należał do Komitetu wyborczego. Takiego pana trzebaby sobie lepiej obejrzeć i skończyć jego podwójną rolę — patryoty.

Powyższy fakt daje nam nadto przykład, co to Polaczków z Niemcami jednoczy i godzi, oto: kufel i karty, w tym wypadku loterya. Smutny to dowód bezmyślności z naszej strony. Ale czy rychło pod tym względem poprawa nastąpi? —

* **Swój do swego?!** Ciekawy opisują pisma nasze wypadek, jaki się wydarzył w Kościańskiem. Oto w dniu 8-go stycznia obchodził p. Kulczyński, urzędnik gospodarczy w Zadorach pod Kościanem, w majętności hrabiów Żółtowskich, jubileusz 25-letniego swego urzędowania tamże. Koledzy z okolicy w tym celu sprawili p. K. cenny upominek tj. portrety jego i jego małżonki w dużym formacie. Lecz o zgrozo! tak podobizny jak i ramy do takowych zakupili w Poznaniu u Niemca. Jest to czyn osobliwy, tem więcej, iż pomiędzy fundatorami znajdują się komisarze „Straży“, którzy powinni byli wpłynąć na swych kolegów, by od swojego upominek zakupili. — Czy to tak komisarze „Straży“ pojmują obowiązek strażowania w obronie dóbr i majątku narodowego?

* **Prawo karania uczniów.** Nasze stósunki szkolne są wręcz niemożliwe. Często najważniejszym łącznikiem dziecka z nauczycielem staje się — kij. Znane są już podobne rzeczy i z procesów i z opisów po gazetach dostatecznie. To też społeczeństwo nasze żywo się niemi interesuje. Szczególnie obchodzi je pytanie: co nauczycielowi wolno, a co nie — innemi słowy, jaka jest granica kary cielesnej dziecka, po za którą nauczyciel wykraczać nie powinien — Niestety wyroków w sprawie dzieci polskich jest niezmiernie mało. Rzadko bowiem zdarza się, że sądy skargi rodziców uznają za uzasadnione o tyle, że wytaczają nauczycielowi proces, a jeżeli już proces został wytoczony — to najcześciej wyrok wypada uwalniający z tem uzasadnieniem, że — granicy dozwolonej nauczyciel nie przekroczył. Gdzież więc jest ta granica, do której nauczycielowi karać wolno? — Otóż podług wyroku sądu rzeszy w Lipsku, senatu czwartego, przy przekroczeniu prawa karania nie zależy bynajmniej na tem, czy ukarany odniósł *obrażenia;* owszem każde pobicie, które *zdrowiu dziecka* chociaż tylko w przybliżeniu *mogłoby* być szkodliwe, *przechodzi* granice prawa karania. Powodem do tego wyroku był następujący wypadek, który zaszedł na Sląsku.

Nauczyciel W. ukarał surowo chłopca, a pomimo to izba karna uwolniła go, ponieważ zdrowie chłopca nie poniosło szwanku. Ojciec dziecka założył przecież rewizyę i uzyskał to, że wyrok został zniesiony, a sprawa jeszcze raz przekazana pierwszej instancyi. Sąd rzeszy zawyrokował bowiem, że nauczyciel jest karygodny, jeżeli przy karaniu dziecka przekroczył granicę karania, przyczem obojętną jest rzeczą, czy dziecko odniosło jakiekolwiek obrażenia lub nie. Przy wznowionem postępowaniu sądowem izba karna orzekła, że chłopiec *mógł* był ponieść jakąś szkodę, i zawyrokowała dla nauczyciela 3 marki kary, oraz koszta sądowe i adwokackie, które wyniosły 208 marek.

Otóż tak uczy wyrok sądu rzeszy. Ściśle według tego wyroku rzecz biorąc, nauczyciel nigdy karać nie powinien, bo nie wie, czy choćby lekkiem nawet uderzeniem dziecku nie zaszkodzi. Gdyby nauczyciele tak sumiennie w szkołach naszych postępowali, toby nam jedna tylko pozostała skarga — na wykładowy język niemiecki.

* **W słusznej** sprawie zabiera głos pewien obywatel w „Dzienniku Poznańskim.“ Pisze on, że przykre wrażenie robi na Polaku, zamieszkującym w Poznaniu lub przybywającym do Poznania, że nazwy ulic oznaczone są tylko w języku niemieckim, a nazwy polskiej na żadnej kamienicy doszukać się nie można. Jeżeli to uchodzi (?) w miastach, mało odwiedzanych, to nie uchodzi w Poznaniu, ako środowisku życia polskiego pod zaborem pruskim. Ponieważ liczba polskich właścieli kamienic w Poznaniu jest bardzo pokaźna i stale się zwiększa, może prośba do tych właścicieli będzie właściwą, aby niezwłocznie umieścili na swoich kamienicach tabliczki z polskiemi nazwami ulic. Tabliczki polskie powinny być podobne do tablic urzędowych. Właściciele kamienic narożnych niech umieszczą tabliczkę własną obok urzędowej, a inni właściciele polscy, o ile się da, na tej samej wysokości na fasadzie frontowej swoich kamienic. Że zaś polska odwieczna nazwa Poznań nigdzie nie figuruje, nie zaszkodzi dodać ją na każdej tabliczce, n. p. Poznań — ul. Strzelecka, Poznań — ul. Nowa, Poznań — ul. św. Marcina. Może i poczta łatwiej znajdzie adres polski. Również uderza brak tablic polskich po wsiach i drogach. Pp. właściciele dóbr może zechcą umieścić we własnych majątkach, obok urzędowych tablic i drogowskazów, tablice z polską nazwą wsi, powiatu i t. d. Każdy obcy przechodzień pozna, że tu mieszka lud polski, a ten lud nie zapomni swoich odwiecznych nazw polskich.‘ — Sprawa to istotnie słuszna i piękna. Gorąco ją zalecamy uwadze Czytelników naszych, prosząc, by starali się ją w czyn zamienić, tem więcej, że na własnym domu tabliczki takie umieszczać — wolno.

* **Poseł p. Kulerski** opuścił w ub. niedzielę o godz. 6-tej wieczorem mury więzienia grudziądzkiego. Pomimo deszczu i słoty oczekiwała go przed bramą więzienną spora gromada ludu i powitała gromkimi okrzykami. W mieszkaniu zebrała się także znaczna liczba osób na powitanie; tam wręczono mu też i wieniec laurowy i bukiet kwiatów.

* **W ręce poskie:** „Dz. Kujawskiemu“ donoszą, że pan Józef Spychalski z Wielkiego Sławska kupił na Liliendorfie od Niemców wiatrak wraz z kilkoma morgami gruntu, płacąc wysoką cenę, gdyż na to miejsce było bardzo wielu reflektantów. Głównie przyczy-

ził się do załatwienia interesu jego starszy brat, zacny obywatel w Sławsku, który nie szczędził trudu i grosza, by tylko kawał ziemi, która dotąd była ciągle w niemieckich rękach, w polskie ręce się dostała.

* **Ostrzeżenie:** „Gaz. Ostrowska“ ostrzega przed handlarzami, którzy chodzą od wsi do wsi i sprzedają obrazki z masy celoluidowej, nalepionej na kanwie, w koło której jest napis: „Jezus, Marya, Józef, nie opuszczajcie mnie w godzinę śmierci mojej,“ 300 dni odpustu. Papież Leon XIII. Napis ten jest tak błędny, iż zdradza, że obrazy te fabrykowane są przez innowierców. Handlarze sprzedają je po 3, 4 i 5 mrk. na intencyę kupujących obrazy. — Jak się wykazało jest to oszustwo, przed którem ostrzegamy Czytelników naszych.

* **Dola** redaktora polskiego jest naprawdę pożałowania godną. Sądy pakują go za różne rzekomo przewinienia do więzienia, tam rujnuje zdrowie, młodość swoją niweczy — a kiedy wyjdzie — dowiaduje się, że z redakcyi pisma, za które cierpiał, został — wydalony. Taki los spotkał świeżo p. dra Józefa Ulatowskiego, redaktora „Dziennika Kujawskiego“. Donosi o tem „Lech“ gnieźnieński, wydając smutne świadectwo wydawnictwu „Dz. Kujawskiego.“

Ciekawość, czy wydawnictwo będzie miało dostateczne powody do wytłómaczenia się. Bo jeżeliby wydawnictwo takich powodów nie miało, natenczas zasługiwałoby na najostrzejszą krytykę. Żądamy od wydawnictwa „Dz. Kujawskiego“ — jasnego wytłómaczenia się. Prasa nasza zapewne chętnie otworzy łamy swe do obrony p. dr. Józefowi Ulatowskiemu.

* Pan **Wojciech Sikora**, odpowiedzialny redaktor „Polaka,“ skazany został za rzekomą obrazę znanego ks. Liska, dawniejszego proboszcza z W. Chełmna na Górnym Śląsku — na 50 marek kary.

* Pan **Klemens Goździewicz**, redaktor odpowiedzialny „Dz. Berlińskiego, dopuścił się przewiny za wydrukowanie ustępu z pisma apelacyjnego policyi charlottenburskiej przeciw Sokołowi tamtejszemu. Prokurator żądał 200 m. kary, sąd uznał za dostateczne nałożyć na p. G. grzywny w wysokości 30 marek.

* **Z teatru:** *Żona pana komisarza* — Maurycego Hennequin'a. — Niedołęstwo mężczyzny, a szczególnie w roli męża czy pod pantoflem, czy jakiejkolwiek innej, to bogate pole dla komedyo-pisarza nie tyle może ile dla twórcy, lekkiej, wesołej farsy. Mąż niedołęga w dwóch różnych odcieniach, to temat do farsy p. Hennequin'a. — Pierwszy — nie pierwszej młodości za to bogaty bierze sobie za żonę biedną, ładną dziewczynę. Marzeniem jego — urząd w wolnej rzeczy pospolitej francuskiej, zdobyty jego osobistemi zdolnościami — nie intrygą. Młoda żona stara się to marzenie męża przeprowadzić na swój sposób — i kocha się w tym celu w kuzynie jakiegoś ministra, naturalnie po za plecami męża. — Następuje zapowiedź nominacyi. Od tej chwili rozpoczyna się zawikłanie. Zapowiedź ta bowiem przychodzi — listem kochanka. List ten przypadkiem dostaje się w ręce męża. Z uciechy jednak, że mają się ziścić jego najgorętsze życzenia zapomina tenże o tak bardzo — podejrzanej formie swej nominacyi. — W tej chwili na scenę wchodzi drugi mąż, szczęśliwy właściciel żony — z kochankiem. Szuka go od dwóch lat. Dziś właśnie wywróżyła mu karciarka, że przychwyci go we własnym domu. Komisarz Montbrisard i szukający jak szczęścia kochanka swej żony de Boismorand udają się na szczegółowe obmyślenie planu. W tym czasie żony ich, przyjmują swych kochanków, a ponieważ ich deszcz spłukał, rozbierają ich z surdutów, które służące zabierają do osuszenia. Następuje pościg za kochankiem pani de Boismorand — za p. Duvernet. D. uciekł do mieszkania państwa Montbrisard, które poprzednio zajmował. Stąd zabiera surdut Gastona, kochanka pani Montbrisard i szczęśliwie się — ulatnia. Nie tak Gaston. Przychwytuje go pan Montbrisard i pan Boismorand, małe zdziwienie pana Montbrisarda, skąd się znalazł w jego pokoju, rozbraja p. Boismorand zapewnieniem, iż to kochanek jego żony. Nowe zawikłanie — które jednakże i jego i panią Montbrisard uwalnia od podejrzeń męża — stwarza Gaston przyznaniem się, że jest kochankiem p. Boismorand. — Sprawa ostatecznie wyjaśnia się wśród mnóstwa komicznych sytuacyi u p. Duvernet, którego — nie wiedząc, że on to jest prawdziwym kochankiem jego żony — p. Boismorand prosi jako adwokata o wniesienie skargi rozwodowej. Montbrisard w swym zapale komisarskim wzywa żonę swą niewierną urzędowo — na komisaryat. Nadspodziewanie następuje zgoda między małżonkami, szczególnie gdy mąż się dowiaduje, że żona jego Aurelia Gastona, który jest kuzynem ministra republiki — kokietowała, by jemu tj. swemu mężowi przez to wyrobić nominacyę. — Cóż kiedy jak na nieszczęście nominacya nie została zatwierdzoną. Urząd obejmuje w nieobecności p. Montbrisarda nowy komisarz i to w chwili, gdy akcya zdaje się być w największem zagmatwaniu, spowodowanem w części największej skutkiem niezaradności Montbrisarda. Perinel godzi poważnione małżeństwo Boismoranda z Klobyldą prostą pogróżką, że po uzyskaniu rozwodu będzie jej musiał wypłacić posag, który już przetrwonił, a Montbrisardów zapewnieniem, że jest przyjacielem ministra, i że wyrobi mężowi p. Aurelii, której do szczęścia potrzeba, by mąż pewne godziny miał zajęte regularną pracą biurową, — prawdziwą nominacyę. Na tem tle autor stworzył mnóstwo sytuacyi komicznych, następujących w szybkiem tempie jedna po drugiej tak, że widz nie ma czasu przestać się śmiać. I to właśnie jest całą zaletą Hennequina „żony komisarza“, szczególnie gdy znalazła się na scenie naszej w szczęśliwej obsadzie. — Artyści odegrali role swoje z werwą. Szczególne pole do popisu znaleźli pp. Prochaska i Kuncewicz w roli kochanków oraz panie Horska-Kuncewicz i panna Stanisławska w roli wiarołomnych żon. Godnie sekundowali im pp. Dobrzański i Poleński w roli zawiedzionych mężów. Publiczność głośnemi oklaskami dawała wyraz swego zadowolenia.

* **Wyrok śmierci:** Nawet hakatystyczne pisma niemieckie przyznają, że niebywały to w czynnej armii pruskiej wypadek, ażeby dwóch żołnierzy stawało wobec sądu wojennego pod zarzutem — morderstwa i rabunku. Tak jednak rzecz się miała w istocie. Heinrich (Henryk) Geppert i Julius (Juliusz) Rosiński ze 155-go pułku, stojącego w Ostrowie, stawali w zeszłym tygodniu przed tutejszym sądem wojennym. Oskarżenie zarzuca im zamordowanie chałupnika Józefa *Glapy* z Mielcarka pod Ostrowem. Rzecz tak się miała. Glapa odprowadzał ze synem swoim krewnych na kolej do Czekanowa. Za powrotem zabrał ich jakiś znajomy na wóz i dowiózł ich, aż do ich pola, którem po miedzy chcieli się dostać do domu. W drodze spotkali poprzednio na żwirówce dwóch żołnierzy. — Kiedy zaledwo 2 minuty oddalili się od szosy i wóz odjechał w stronę Ostrowa, posłyszeli za sobą czyjeś kroki. Odwróciwszy się, ujrzeli owych żołnierzy. Młodszy Glapa w przeczuciu nieszczęścia wołał na nich: damy wam wszystko, nie róbcie nam tylko nic złego. Lecz żołnierze rzucili się na nich i poczęli ich kłóć i bić szablami. Ojciec niedługo padł trupem pod ciosami napastników, syn rzucił się do ucieczki. Dogonili go jednak i poczęli bić. Udał więc zabi-

tego. To mu ocaliło życie. Obrabowawszy ich z gotówki, zbrodniarze udali się w drogę do miasta. Wtenczas młody Glapa się zwlókł i doczołgał się do domu. Zdołał jeszcze opowiedzieć, co się wydarzyło i omdlał z ran. Ojciec był istotnie zabity, syn długi czas przeleżał w ostrowskim lazarecie i wyleczył się. On też głównym był świadkiem. Z zeznań jego podnieść należy dwa dowody okrucieństwa, jakie zawładnęło zbrodniarzami w chwili spełnienia mordu. Kiedy już stary Glapa upadł pod ciosami napastników, wtenczas jeden z nich zawołał do drugiego: pchnij w serce! — oczywiście w tym celu, by dobić umierającego. Podobne słowa padły przy rzekomym trupie młodszego Glapy. Utnij mu język! — powiedział jeden żołnierz do drugiego. Chodziło mu oczywiście o to, by zbrodnię na wieki zataić. — Kiedy młody Glapa opowiedział, że żołnierze zabili jego ojca, prokurator zażądał rewizyi ostrowskich pułków. Wśród jednego z nich znaleziono na spodniach dwóch żołnierzy widoczne ślady krwi. Przyaresztowano ich i odesłano do więzienia w Poznaniu. — W czasie rozpraw namnożyło się tyle dowodów winy Gepperta i Rosinsky'ego, że sąd uznał ich winnymi zbrodni i skazał na śmierć i wyrzucenie z wojska oraz utratę praw honorowych. — Zbrodnia więc w ten sposób zostanie pomszczoną. Zbrodniarze do winy się nie przyznawali ani przed ani podczas rozpraw, nie przyznają się też do niej i po wyroku nawet.

* **Panowie M. Jezierski i Stanisław Wegner** nadesłali nam sprostowania wiadomości, jakoby nie byli zapłacili składki do kasy miejskiego Towarzystwa wyborczego. — Wobec tego postaraliśmy się o następujące informacye źródłowe: Jezierskich zapłaciło składkę — 6, i to Leon, Józef, Andrzej, Władysław, Wojciech i Stanisław — lecz M. Jezierski składki nie zapłacił. Również: zapłacili składkę pp. Wagner Bolesław i Jan, lecz pan Stanisław Wegner nie zapłacił. — Myśmy w piśmie naszem te właśnie fakta donosili i okazuje się, że są one bez zaprzeczenia — prawdziwe. Wobec tego sprostowań pp. M. Jezierskiego i Stanisława Wegnera uwzględnić nie możemy.

* **Towarzystwo** Młodych Przemysłowców w Poznaniu. Walne zebranie Tow. odbyło się w ub. poniedziałek dnia 15-go b. m. Sprawa wyboru prezesa ściągnęła na salę niebywałą ilość członków. Prezesem wybrany został p. Ludwik *Miklaszewski* m. krawiecki, znany ze swej gorliwej pracy w towarzystwie. Oprócz tego weszli do zarządu pp. Ulatowski Zygm. jako wiceprezes, Olsztyński — skarbnik. Wolsztyniak — sekr., Kierzek — zast. sekr., Kociałkowski — bibliotekarz, Ławiak — zast., Czerwiński Fr. i Orcholski Fr. jako radni. Tow. Młod. Przemysłowców jest liczebnie najsilniejszem towarzystwem w całem Poznaniu, liczy przeszło 600 członków. Praca w tow. idzie w tempie ożywionem. Życzyć tylko pozostaje, by Tow. to dla dobra członków swoich i nadal tak się rozwijało, jak dotąd. Szczęść Boże.

— **Zdrada tajemnic wojskowych.** *Z Poznania* doniesiono do „Berl. Tagbl.“ o kradzieżach amunicyi i broni na wielkie rozmiary w wojsku pruskiem. Śledztwo powierzono sędziemu ziemiańskiemu Lehlowi.

W więzieniu śledczem znajdują się podoficerowie kilku pułków piechoty, a zwłaszcza 140, 134, 46, 47 i 6. W Poznaniu aresztowano podoficerów pułku piechoty 46, 47, 6 i strzelców konnych, zatrudnionych dotąd jako puszkarzy. Śledztwo zarzuca im kradzież ostrych nabojów do strzelb modelu 98.

Odbyto rewizyę w mieszkaniu niejakiego Behrendta w Poznaniu. Na podstawie znalezionych u niego przedmiotów rozpoczęło się śledztwo. Behrendt wydał się w śledztwie, że dostawiał naboje i strzelby handlarzowi starzyzny Lollowi w Zielonej Górze na Śląsku. Natychmiast odbyto rewizyę w mieszkaniu Lolla. Znaleziono u niego wielki zapas strzelb modelu 78, 88, i 98. Z listów znalezionych u Lolla dowiedziano się, że broń pochodzi z Królewca, Grudziądza, Inowrocławia, Bydgoszczy, nawet z Mecu i Monachium.

W dalszym ciągu dowiedziano się, że broń niemiecką wysyłano potajemnie do *Rosyi* i do biura szpiegowskiego w Paryżu. Jak z Poznania telegrafują prywatnie, awantura ta obejmuje szerokie koła. Komisarz kryminalny z Poznania zrobił nowe spostrzeżenia i udał się do Zgorzelic na Śląsk. W kasie Behrendta w Poznaniu znaleziono 8000 mk. gotówki, które obłożono aresztem.

Także w Berlinie i Szpandawie rozpoczęto śledztwo i poszukiwania u handlarzy broni.

Loll w Zielonej Górze prowadził podobno wielki interes broni modelu 84 i 88, którą władza wojskowa sprzedała towarzystwom wojaków po 150 mrk za sztukę włącznie 100 nabojów.

— **Rak społeczno-narodowy.** Niedawno pisaliśmy o opieszałości Polaków w służbie publicznej na podstawie ciężkiego zarzutu, jakim bryzgnęła w oczy radnych naszych zwarta falanga żydowsko-hakatystyczna. Dziś przychodzi nam tę samą podnieść przywarę — z innego powodu. Oto znowu wieś polska odwieczne utraciła miano. *Konarskie Olędry* przezwano na Friedrichsruh, bo Polacy na odnośne zebranie gminne nie stawili się w dostatecznej liczbie. Pisze z powodu tego słusznie „Wielkopolanin“, że Polacy uważają sprawy gminne za błahe, dowodem tego *wybory sołtysów, ławników, radnych miejskich, do kas chorych, do sądów procederowych, wybory do sejmików powiatowych.* A przecież to sprawy niesłychanie ważne i tak blisko nas obchodzące. Często jednak albo nie zdajemy sobie z ważności ich sprawy, albo usuwamy się od trudu i pracy, która nie przynosi rozgłosu i pochwał.

Jaki jest tego skutek? Cofanie się zamiast postępu polskości. A wszystkiemu my, my sami winni jesteśmy. Przykre to — ale prawdziwe!

— **Polacy — a opieka duchowna na obczyźnie.** *Upośledzenie Polaków w Kościele* objawia się w jaskrawy sposób w parafii Najśw. Maryi Panny w *Berlinie*, gdzie jest blisko 5000 Polaków, a mimo to odmawia im się słowa Bożego w polskim języku, o co się już od kilku lat starają. Nie dziw więc, że rozgoryczenie wśród rodaków tamtejszych jest wielkie. Ujawniło się to na odbytym w niedzielę licznym wiecu, na którym wygłoszono bardzo ostre mowy przeciw księżom-Niemcom, którzy ze względów politycznych nie pamiętają o obowiązkach duszpasterskich wobec Polaków. Uchwalono następującą rezolucyą:

My, Polacy-katolicy z parafii N. M. Panny w Berlinie, zebrani dnia 7 stycznia 1906 na wiecu przy Waldemarstr. 75 w liczbie około 500, oburzamy się na naszą władzę duchowną, że się sama nie stara dla swych polskich parafian zaprowadzić obrządków kościelnych, które są koniecznie potrzebne do rozkrzewiania i utrzymania religii św., w ich ojczystym języku. Więc zmuszeni jesteśmy od władzy odpowiedzialnej i od proboszcza naszego żądać tu publicznie, aby dała nam to, co nam i naszym dzieciom jest koniecznie potrzebne i to:

1) co niedzielę polskie nabożeństwo z polskiem kazaniem w stósownym czasie przed południem:

2) naukę religii i przygotowanie do spowiedzi i komunii św. w języku ojczystym, tym dzieciom polskim, których rodzice tego będą żądali.

Zaznaczamy, że w razie, gdyby nam te najsłuszniejsze nasze żądania i prośby, których spełnienia słusznie się już od dawna domagamy, nie zostały i teraz spełnione, będziemy zmuszeni nasz kościół omijać, i wszystkich rodaków tu nieobecnych do tego nakłaniać, żeby ani jeden do niego nie chodził dopóty, dopóki sprawiedliwość w całej pełni nie zostanie nam wymierzona.

Od naszego komitetu parafialnego wymagamy jaknajenergiczniejszej pracy nad osiągnięciem tych żądań.

— **Brak pracowników na niwie narodowej i społecznej po miastach** podnosi w słusznych wywodach „Gazeta Ostrowska“. Twierdzenie swoje udowadnia *niebywałem* faktem, że na wiecu „Straży“ zwołanym dla miasta Ostrowa — przemawiali sami *gospodarze* z okolicy i delegat „Straży“ z Poznania. Sądził by kto, że to wręcz niemożliwe, a jednak prawda, bo inteligencya ostrowska — śpi i czynnego udziału w pracach narodowych nie bierze. Czemu? — Może kto z tamtejszych Czytelników raczy nam odpowiedzieć.

— **Do wojska:** Prezydent policyi pan Hellmann ogłasza, aby wszyscy, którzy zobowiązani są stawić się do wojskowości, osobiście zgłaszali się do komisarzy odnośnych obwodów w czasie od 16. stycznia do 1. lutego pomiędzy godz. 8. a 11. przed południem i 4. a 6. po południu. Do stawki zobowiązani są wszyscy, którzy w roku bieżącym skończą lat 20; po drugie wszyscy ci, którzy rodzili się w latach 1885, 1884 i 1883, a którzy z jakichbądź powo-

dów zostali od wojskowości cofnięci. Ktoby się nie zgłosił w czasie powyżej wyznaczonym, karanym będzie karą pieniężną do 30 mrk. lub do 3 dni aresztu.

— **Ważne dla posiadających karty inwalidzkie:** Wszystkim, którzy wlepiają znaczki do kart t. zw. inwalidzkich, ubezpieczających ich od niemocy lub na starość, zwracamy uwagę na to, ażeby karty swe przejrzeli i jeżeli już dwa lata dobiegają do czasu wystawienia tych kart, wtedy niech je na nowe zamienią na policyi. Wiadomo, że karty te mają ważność tylko przez dwa lata. Nic nie szkodzi, że karty może nie są znaczkami całkiem wylepione, bo kto był chory lub w dwóch latach ostatnich nie zawsze pracował, temu wystarczy nawet *20 znaczków* czyli marek, wlepionych na karcie w dwóch latach.

— **Czy to prawda?** Warszawska „*Gazeta losowań*" otrzymała wiadomość, że pruski urząd pocztowy w Toruniu wydał rozporządzenie, aby wszelkie listy, a szczególnie rekomendowane, nadchodzące do Torunia z przeznaczeniem dla firm polskich, w Królestwie Polskiem istniejących, były na poczcie pruskiej otwierane, a zawartość ich zbadana. Przepis ten — pisze „Gazeta losowań" — stosowany jest z całą bezwzględnością, nie omija najniewinniejszej korespondencyi prywatnej, pomimo że sprzeciwia się to międzynarodowym traktatom pocztowym.

Sprawa zaniechania balów w obecnym roku natrafiła — ogólnie mówiąc — na szczere poparcie. Znajdują się naturalnie i u nas jak zresztą w każdem społeczeństwie wyjątkowi ludzie i wyjątkowe pisma, które umieją pogodzić ze swem sumieniem popieranie jednej i drugiej rzeczy od razu. Na ten przykład — „Dziennik Poznański." Umieścił on odezwę wydaną przez grono obywateli, tuż atoli pod odezwą zamieszcza głos „starego gospodarza", który urządzanie balów poleca jako czynnik umoralniający (sic)! Bale odciągają młodzież od kart i hulanki — tak sądzi ów „stary gospodarz" — bywa podobno według doświadczeń ludzi innych właśnie odwrotnie. Ale cóż tam sprzeczać się ze starymi gospodarzami „Dziennika," wygospodarzyli oni społeczeństwo nasze pięknie, czego dowodem Kotowiecko i Mielżyn. Ale niech balują — lud wiedzieć będzie, że na ludzi, który w takiej chwili tylko bawić się umieją — liczyć nie może!

— **O szkołę robótek kobiecych** otrzymujemy następujące zapytanie:

Szanowna Redakcyo! Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby Szanowna Redakcya lub który z czytelników lub czytelniczek „Pracy" byli tak łaskawi, i mi doradzili, czy *szkoła robótek* ręcznych kobiecych (jako to: rozmaite hafty, malowanie na materyałach i t. p.) mogłaby egzystować wogóle, a w szczególności w Księstwie i w którym mieście?

Wiedząc, że „Praca" bywa czytana i w Galicyi, prosiłabym uprzejmie, aby która z czytelniczek z Galicyi wskazała miasto w Galicyi, gdzieby taka szkoła mogła z powodzeniem egzystować.

Nie można by w jakiej miejscowości kąpielowej (n. p. w Galicyi) założyć takiej szkoły?

Osoba, która ma zamiar założyć szkołę taką, mogłaby udzielać także i lekcyi języka polskiego oraz literatury ojczystej. A możeby też Szanowna Redakcya była łaskawa mię objaśnić czy zawód fotografistki popłaca?

Naprzód przesyłam Szanow. Redakcyi oraz i łask. czytelnikom i czytelniczkom szczere „Bóg zapłać", za dobre rady.

Może Szanowna Redakcya będzie tak łaskawa i umieści to zapytanie w „Pracy".

Zszacunkiem
wierna Czytelniczka „Pracy".

— **Od Redakcyi:** Dla odpowiedzi na powyższe pytanie chętnie otwieramy łamy pisma naszego. Zawód fotografa o ile nam wiadomo jest bardzo ciężki i niezdrowy szczególnie dla kobiety, nadzwyczajnych korzyści atoli nie daje. Polecać go nam zatem trudno, chyba żeby Pani miała możność otworzenia własnej pracowni.

— **Do Szanownych Czytelników** naszych zwracamy się z prośbą o łaskawe podanie nam miejscowości lub miasteczka, w którem rodak mógłby założyć skład piwa. Prośbę naszą gorąco polecamy uwadze Czytelników „Pracy", chodzi tutaj bowiem o rodaka, który przez swą życzliwość dla ludu polskiego postradał stanowisko sekretarza w urzędzie komisarskim. — Odpowiedź prosimy adresować: Red. „Praca" Poznań-Posen.

— **Chwaliszewo — ulica Tumska.** Doręczono nam dwie odezwy „Tow. ku ekonomicznemu podniesieniu dolnej części miasta Poznania", Jedna z tych odezw zaprasza obywateli dzielnicy chwaliszewskiej miasta Poznania do przystępowania do Tow., druga zaś podsuwa projekt zmiany nazwy Chwaliszewa na ul. Tumską. Jako przyczynę potrzeby tego przezwania podaje nasampierw to, że przybysze chcący widzieć tum, t. j. katedrę poznańską, muszą się na moście chwaliszewskim dopytywać o drogę do katedry. Odezwa powiada, że nie byłoby to potrzebne, skoroby Chwaliszewo nazywało się — ul. Tumską, bo nazwa sama wskazywałaby drogę. — Dalszym argumentem pragnących odmienić nazwę Chwaliszewa jest spodziewana korzyść ekonomiczna. „Do nazwy Chwaliszewa — powiada odezwa — łączą się rozmaite uprzedzenia, które można tłomaczyć ciągłemi niepowodzeniami i dawniejszymi złymi stosunkami. Dziś jest znacznie lepiej. Okazałe nowe budowle, kanalizacya, bardzo mało ustępuje górnej części miasta. Mimo to rozmaite uprzedzenia nie znikły, przez co wstrzymuje się rozwój tej części miasta. Mieszkańcy Chwaliszewa widzą już w zamienionej zmianie nazwy skuteczny środek w usunięciu złego". — Po odezwie tej sądzić by można, że ogół mieszkańców tak myśli, jak zarząd „Tow"., podpisany pod odezwą. Tymczasem musimy temu zaprzeczyć. Po wiecu obywatel, który nam owe odezwy doręczył, a który w dłuższej rozmowie przekonał nas, że odnośne stosunki dobrze zna, powiedział nam, że ogół obywatelstwa chwaliszewskiego przezwy sobie wcale nie życzy, nie tylko dla tego, ażeby nie zrywać z odmienną tradycyą, ale i dla tego, że sama zmiana nazwy jeszcze nie rokuje dzielnicy tej niczego. Uprzedzenie do Chwaszewa zakradło się do garstki obywatelstwa polskiego a w rzeczywistości istnieje li tylko pomiędzy Niemcami, którym rozumie się każda inna nazwa jest milszą — aniżeli stara polska.

I my jesteśmy również tego samego zdania. Zresztą jest w odezwie pewna sprzeczność niewyjaśniona. Powiada odezwa, że do nazwy Chwaliszewa przywiązane były jakieś uprzedzenia — i dodaje, że dziś te uprzedzenia znikły. A więc po co zmieniać nazwę? czy po to może, żeby istotnie do nowej nazwy wywołać uprzedzenia wśród ludności polskiej, wiernej starej nazwie? — Sądzimy, że tych uwag kilka tych obywateli Polaków, którzy popierają niczem nie uzasadnioną zmianę nazwę Chwaliszewa przekona i odczepią się od grupy Niemców, którzy jedynie tej zmiany pragną, a z jakich powodów, tego łatwo się dorozumieć.

Uwagi nasze ujęliśmy w formę spokojnej przestrogi, jeżeli jednak okaże się potrzeba, to gorąco staniemy w obronie — tradycyjnej nazwy polskiej. Niech słowa nasze posłużą ku przestrodze zwolennikom zmiany — i niech pobudzą do obrony tych, którzy jeszcze nie wiedzą, jakie grozi nam niebezpieczeństwo.

— **Do kasy prowincyonalnego komitetu wyborczego** nadesłały składkę za rok 1905 powiaty: pleszewski, śremski, bydgoski wiejski, a częściową składkę powiaty: wągrowiecki, jarociński, międzychodzki, gostyński, kępiński, śmigielski, szubiński i ostrowski.

Poznań, dnia 30 grudnia 1905.

M. Więckowski, skarbnik,
Teatralna 6.

— **Do obywateli i obywatelek miasta Poznania.** Przy omawianiu spraw ubóstwa w radzie miejskiej zarzucono niedawno Polakom, że nie biorą udziału czynnego w opiece nad ubogimi mimo tego, że większość pobierających wsparcia ubogich należy do narodowości polskiej. — W zarzucie tym było dużo prawdy. Słaby udział Polaków między radzcami ubogich (Armenrat) tłomaczono zwykle okolicznością, że Niemcy mają licznych urzędników, rozporządzających wolnym czasem. Tymczasem na 283 radzców ubogich było w r. 1904 tylko 40 urzędników, główna zaś część radzców, 156, składają się z kupców i rzemieślników

Przy dobrej woli mogłoby pomiędzy Polakami wielu przyjąć urzędy radzców ubogich. Obawa przed zbytnim obciążeniem jest nieuzasadniona.

Magistrat poznański zmienił co dopiero obowiązki radzców ubogich o tyle, że jeden radzca ubogich będzie miał na swej opiece najwyżej 6 ubogich. Dla tego też liczba radzców ubogich z konieczności do na znacznego powiększenia, a magistrat poszukuje kandydatów i kandydatek do tego urzędu. Zarazem bowiem powiększa się liczba pań zajętych w opiece nad ubogimi.

Radzcy ubogich (Armenrat) oraz panie im dopomagające mają co dwa tygodnie wieczorem krótkie posiedzenie, na którem się omawia wnioski o wsparcia. Udział w tych posiedzeniach jest obowiązkowy.

Potrzeba oczywiście znajomości języka niemieckiego przynajmniej o tyle, aby było możliwe porozumienie się w komisyi. Opiekuństwa prawnego radzcom ubogich się nie nakłada.

Na doniosłość tych urzędów honorowych wielki kładziemy nacisk. Kto tylko może podjąć się takiego urzędu, powinien to uczynić. Członkom żeńskich i męzkich Konferencyi św. Wincentego i członkom innych towarzystw dobroczynnych zwraca się uwagę, że przez pracę w komisyach ubogich ułatwi się pracę towarzystwom, pozna się łatwiej tych, co dobroczynność prywatną z krzywdą dla prawdziwie potrzebujących wyzyskują, ulży się nieraz

własnemu towarzystwu, przez co znowu ubogim dotąd niewspieranym udzielić będzie można pomocy.

Zgłoszenia przyjmują deputowani ubogich, o których poinformuje biuro magistrackie dla spraw sieroctwa i ubóstwa św. Marcin 76.

Z uszanowaniem
Zarząd Tow. opieki nad dziećmi katolick.
Ks. Adamski. Drowa Niegolewska.

— **Dr. Bronisław Szulczewski** osiedlił się w Poznaniu. Pan Dr. Szulczewski był asystentem w poliklinice uniwersyteckiej prof. Maya w Monachium, następnie w sanatoryum na choroby piersiowe w Davos i pracował także w klinikach berlińskich.

— **Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" na Wildzie** odbyło w środę, dnia 3 b. m. swe roczne walne zebranie, na którem niestety bardzo mała ilość członków się stawiła, a gości, o których przybycie tak gorąco proszono, wcale nie było widać. Zauważyłem z tego, że obywatelstwo nasze Wildeckie nie interesuje się wcale towarzystwami takiemi jak „Sokół". Jest to pod każdym względem wielka opieszałość. Teraz kiedy „Sokoli" są tak bardzo uciemiężeni przez naszych najserdeczniejszych, winien się każdy obywatel czuć zobowiązanym do połączenia się z nimi, aby burze te z większą siłą zwalczać. O ile zauważyłem, jest w towarzystwie tem przeważnie sama tylko młodzież, która wzmacniać może li tylko swe siły, ale kto ma jej posłużyć tak bardzo potrzebną radą? Ta mała garstka członków starszych nie może tego dostatecznie uczynić.

Również pożałowania godne jest to, że reszta młodzieży naszej tak stroni od „Sokoła", a tem samem także od gimnastyki, która zdrowiu tak bardzo służy. Aż się serce podnosi, gdy się usłyszy grono „Sokołów ćwiczących i śpiewających w mocnem przekonaniu swej wyższości „Silni ciałem, silni duchem" lub „Ospały i gnuśny!"

Złączmy się zatem wszyscy z tą drużyną, wstępujmy w jej szeregi i pracujmy z nią razem wytrwale, a będzie los nasz wydawał nam się znośniejszym!

Jeden z obecnych.

— **Zarząd Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów** polskich na Rzeszę niemiecką ukonstytuował się na posiedzeniu, które się odbyło w sobotę dnia 13 b. m. w Poznaniu, jak następuje: p. Józef Kościelski przewodniczący, poseł i radzca dr. Mizerski zastępcą przewodniczącego, pan Goździewicz sekretarz, p. Marcin Biedermann skarbnik, ks. szambelan Kłos, p. Stefan Chociszewski i p. Kazimierz Jankowski radni. — Zapowiedziana „Jednodniówka" wkrótce zostanie wydaną. — W myśl ustaw Towarzystwa odbywać się będą — w każdą sobotę po pierwszym miesiąca — zebrania członków w Poznaniu celem zogniskowania się towarzyskiego i omawiania będących na czasie kwestyi, całego dziennikarstwa dotyczących.

— **Tow. śpiewu „Harmonia"** *na św. Łazarzu* urządziło w ub. niedzielę uroczystość poświęcenia sztandaru. Cały obchód odbył się wspaniale i pozostawił na uczestnikach głębokie wrażenie. Tow. „Harmonia" życzymy z całego serca jak najlepszego rozwoju. Niech ten nowy sztandar stanie się dla niego znakiem, pod którym w najdłuższe lata skupiać będzie miłośników pięknego naszego śpiewu — ku czci dla pieśni.

— **Kasa oszczędności** Banku Rolniczo-Przemysłowego Kwilecki Potocki i Sp. przyjmuje na oprocentowanie składki każdej wysokości od 1 mrk. począwszy, płacąc od 3 do 4 i pół procentu wedle umowy.

— **Sprostowanie**: Donoszą nam, że Bank ziemski w Koronowie zapłacił za majątek p. Frydrychowicza w Dzidniu 136 tysięcy marek a nie 35,000 Widoczny tu błąd drukarski.

Rodaków z Poznania, mających zamiar udania się w najbliższym czasie w podróż do Warszawy, upraszamy, aby nas odwiedzili w redakcyi celem poinformowania w pewnej sprawie obchodzącej społeczeństwo nasze.

— **Sokół w Miłosławiu rozwiązany** został nakazem tamtejszej miejskiej władzy policyjnej ze względu na obawy przed „zakłóceniem publicznego porządku". Michałek okrutnie się boi — maczug lanc i ... czego jeszcze? —

— **Bank ziemski w Koronowie** ma na sprzedaż gospodarstwo 130 morgowe w Łąkiem (D. Lonk.) w powiecie Świeckim z dobrymi budynkami i kompletnym żywym i martwym iwentarzem przy zaliczce począwszy od 9000 mrk. za cenę przystępną.

— **„Spółka parcelacyjna"** — powstała w *Ostrowie.* Do zarządu należą ks. dziekan Śmigielski, kupiec p. Jan Nowicki i dzierżawca p. Zdzisław Kornobis z Zacharzewa. Spółka zajmować się będzie kupnem i sprzedażą ziemi, a wedle ogłoszenia sądowego organami jej są: „Przewodnik Katolicki"! i niemiecki „Reichsanzeiger"!!. Czemu nie „Gazeta Ostrowska" lub które z innych pism ludowych najwięcej czytywanych w okolicy?

— **Towarzystwo „Polonia" w Dysseldorfie** w Nadrenii odbyło w ub. niedzielę skromną zabawę, w której udział wzięły wszystkie towarzystwa, dając dowód szczerej i serdecznej wśród siebie harmonii. Oby tak wszędzie było! Tow. „Polonii" szczere zasyłamy życzenia powodzenia i rozwoju.

— **Smierć weteranów**: Pisma galicyjskie ddnoszą o zgonie dwóch weteranów polskich z r 1830/31 i 1863/4.

† *Karol Ferdynand Lang*, żołnierz I pułku strzelców pieszych wojsk polskich z r. 1831, członek honorowy towarzystwa muzycznego, członek towarzystwa orkiestry teatralnej, zmarł we Lwowie w 95 roku życia.

Towarzystwo wzajemnej pomocy uczestników powstania z r. 1863 wzięło gremialny udział w pogrzebie jednego z ostatnich weteranów walki o wolność narodu w r. 1831.

† *Miron Krypiakiewicz*, uczestnik powstania z r. 1863, członek redakcyi wychodzącego we Lowie w r. 1875 dziennika „Ojczyzna", zmarł 7 b. m.

Cześć ich pamięci.

Od Redakcyi.

— *Panu W. w C.* Pańskiej ciekawości możemy uczynić zadość tylko co do nazwiska. Kochanka owego p. B. była Bnińska. Imię jej pozostało może w analach rodzinnych, historya nie uważała, że jest ono tak ważne, by je przekazywać potomności. Za życzenia dziękujemy i są nam tem milsze, że hakatyści pękli by ze złości, gdyby „Praca" 100 tysięcy abonentów uzyskała. Pozdrowiamy serdecznie i prosimy o poparcie.

— *„Sokołowi" wildeckiemu.* Sprawozdanie odebraliśmy, kiedy numer już był w druku. Umieszczamy w tym numerze i zarazem prosimy o łaskawe nadsyłanie dalszych korespondencyi najpóźniej — na środę rano. Czołem.

— *Marudzie.* Artykuł Pański pomimo wielu myśli bardzo pięknych — nie jest zrozumiały, dlatego go nie umieszczamy. Kto bowiem ma być owymi przewodnikami-„panami"? Prosimy o wyjaśnienie. Artykuł zachowujemy.

W sprawie towarzystw — sądzimy, że projekt Pański jest bardzo piękny, tylko czy da się przeprowadzić? Otóż jeżeli mamy radzić, to radzimy tak: Zakładajcie Towarzystw jaknajwięcej, wpierw atoli zobaczcie, jak jedno takie towarzystwo rozwijać się będzie. Gdy będzie członków za wiele, oddzielcie ich, utwórzcie nowe. By sprawę tę przeprowadzić, napiszcie ustawy krótkie, jasne, do zarządu tylko 3 członków wyznaczcie: prezesa, sekretarza i skarbnika. Oczywiście — w myśl intencyi — towarzystwa zgłaszajcie na policyi, także posiedzenia członków i t. d. — W razie potrzeby chętnie służymy radą i pomocą.

— *Tow. Przem. i Rzem. Polskich w Gostyniu.* Zawiadomienie o zebraniu w niedzielę dnia 14 stycznia odebraliśmy zapóźno. Z tego tylko nie umieściliśmy go powodu. Prosimy na przyszłość o wiadomości o zebraniach *najpóźniej* do czwartku rana — a jeżeli n. p. w tygodniu przypada święto, koniecznie jeszcze wcześniej. Życzymy Tow. jaknajlepszego rozwoju.

— *Panu Kl. K. w Wągrówcu.* My temu winni nie jesteśmy. Niech Pan za to więcej kocha tych, którzy nam nie pozwolą jasno patrzeć w naszą przyszłość. Ale dla tego jeszcze nie wolno nam tracić spokoju i zimnej krwi. Polak powinien bez przymrużenia oka umieć patrzeć na niebezpieczeństwo. Tylko nieustraszeni zwyciężają i godni są miana — bohatera.

— *Do Londynu.* Mowę odebraliśmy — nie możemy jednak dorozumieć się, przy jakiej okazyi została wygłoszona. Prosimy o objaśnienie: *Kto* mowę wygłosił, *kiedy* i przy *jakiej* sposobności.

— *Panu Jerzemu Zyg...* Prosimy o odkrycie przyłbicy. Ze współpracownikami nie bawimy się w — ciuciubabkę...

— *Pani Leokadyi Z. w Osiu.* (Pr Zach.) — Informacyi bliższych udzieli przewodniczący Towarzystwa „Pielgrzym" w Poznanin p. W. Łukowski przy ulicy Gneisenaustrasse 41.

— *Panu F. W. Kornatowo*: Na pytanie: ile razy? — odpowiadamy: jeden raz, dwa razy, trzy razy i t. d. Wynika stąd, że rzeczownik „raz" jest rodzaju — męskiego, a zatem mówić i pisać poprawnie należy „tym razem" — a nie „tą razą". Zwrot „tą razą" jest gramatycznym dziwolągiem, niestety w mowie potocznej u nas w Księstwie bardzo rozpowszechnionym. Naszem zdaniem należałoby baczyć na ten dziwoląg i plenić go, gdzie się da. W każdym razie pocieszającym jest objaw, że dość często czytelnicy gazet się o poprawność owego zwrotu dopytują. — Pozdrawiamy i prosimy o pamięć!

— *Gostyniakowi*: Na anonimy nie reagujemy. Do kosza.

— *B. B. w Sławnie*: Prosimy udać się do prof. Kallenbacha we Lwowie w Galicyi.

— *Panu Z. K. w Toruniu.* — Pokwitowanie jest w nr. 53-cim „Pracy“ z roku zeszłego na stronie 1731-ej.

— *Panu Fr. K., gospodarzawi w J.* — Zaczepiony powinien się sam bronić, a jeżeli milczy, to przyjmuje że notatka, którą zamieściły wszystkie niezależne pisma nasze, była słuszną.

— *Panu Czesławowi B. w K.* — Dr. Hącia Poznań, Bank Przemysłowców.

— *Zarządowi Oddziału poznańskiego „Wyzwolenia“* — Odezwę do Młodzieży w sprawie zeszłoniedzielnego zebrania i odczytu ks. O. odebraliśmy już po wydrukowaniu numeru na dzień 14-go b. m., zatem nie mogliśmy zamieścić.

— *Panu Józefowi F. we Wschowie.* Zanim zamieścimy musimy mieć wpierw rozwiązanie.

— *Redakcyi „Poradnika Gospodarskiego“.* — Nadesłana notatka należy do działu ogłoszeń.

— *Abonentowi w Gostyniu:* Tak — to Matusz J...... rzeźnik.

†

Jako w pierwszą rocznicę śmierci

ś. p. Ignacego Andrzejewskiego

odbędzie się za spokój jego duszy

msza święta

w poniedziałek, dnia 22-go b. m. o godzinie 9-tej rano w kościele św. Floryana w Jeżycach.

O czem donosi 27

wdowa.

†

W 42-gą rocznicę powstania odprawiona będzie

msza święta

we wtorek, dnia 23-go b. m. o godzinie 8-me rano w kościele farnym za braci

poległych w roku 1863-im.

O czem donoszą

towarzysze broni.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.

Oświetlenie spirytusowe.

Kompletne wyprawy.

Urządzania hotelowe.

Abażury — Przedmioty galanteryjne.

Pająki do kościołów.

Ampułki. 18

Wdowa w średnim wieku, bezdzietna, przystojna, miłej powierzchowności, posiadająca w gotówce sześć tysięcy talarów, życzy sobie 31

wyjść za mąż.

Życzeniem jej jest, poślubić przyzwoitego i uczciwego wdowca w starszym wieku, posiadającego gospodarstwo, oberżę, lub coś podobnego.

Upraszam w celu zaznajomienia się podać adres swój pod adresem **B. K. 331 postlagernd Betsche** (Pr. Posen.)

Dla bliskiej krewnej, panny z dobrego domu, inteligentnej, dobrze wychowanej, z posagiem tymczasowo 6000 Mk., poszukuję 28

męża.

Panowie w średnim wieku, z zapewnionem utrzymaniem, zechcą się zgłosić z dołączeniem fotografii pod lit. **R. O. 604** do Ekspedycyi „Pracy.“

Dyskrecya zapewniona. Uprasza się o tylko rzetelne oferty.

Panna z mniejszego miasta, z wyższem wykształceniem, 28 lat licząca, obywatelska córka, posiadająca mały mająteczek, ma zamiar wyjść 22

za mąż.

Panowie reflektanci niechaj raczą swe oferty z podaniem bliższych stosunków, z dołączeniem fotografii nadesłać do ekspedycyi „Pracy“ pod literami **N. J. 200.** Dyskrecya rzecz honorowa. Anonimy się wyprasza.

Zielona Apteka w Poznaniu

(T. Witeskiego)

poleca

znakomity ruski **Balsam i maść na odziębiznę** w but. po 50 f. i 1 Mk., w słojkach po 50 f. i 1 Mk. i w tubach po 30 fen.

Guakalinę (Sw. kal. gnaj. eps.) przeciw kaszlowi, chrypce oraz zaflegmieniu dla dorosłych but. po 2,50 mk., 3 but. 7,00 mk. 21

Miód żywokostowy i koperkowy na kaszel dla dzieci w but. po 50 fen. i 1 mk.

Tietzena karmelki na kaszel w 10 gatunkach w paczkach po 25 fen.

Częstochowskie krople żołądkowe (składniki: Elix. amar. Fr. genl. aromat.chin.cps. Trasuratin) nie zawodzące w cierpieniach żołądkowych w but. po 1 mk. 6 but. 5 mk.

Telefon 549.

Oberża

dominialna wraz z kilku morgami ziemi, jest do wydzierżawienia od 1-go kwietnia 1906.

Zgłoszenia do Ekspedycyi „Pracy“ pod **Nr. 700.** 25

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

Osiadłem w Poznaniu jako lekarz.

Dr. med. Br. Szulczewski

Mieszkam 23

przy placu Sapieżyńskim nr. 8

i przyjmuję od godziny 8½—10½ przed poł.

i „ „ 3—5 po poł.

Telefon nr. 1494.

Poszukuje się starszego, doświadczonego

nauczyciela,

któryby się specyalnie zajął 7-letnim chłopcem mało rozwiniętym umysłowo.

Zgł. wraz z podaniem żądanej pensyi uprasza się nadesłać do eksp. „Pracy“ pod literą **M. G. 32.** 32

— Lekarz mi przepowiada nie więcej jak 10 lat życia.

— Ależ to straszne! Zostałabym starą wdową!

2 zdolnych

czeladn. krawieckich

na duże sztuki przyjmie od 1 lutego na stałe i korzystne zajęcie

W. Samerzewski

mistrz krawiecki, **Królewska Huta** (Königshütte O/Schl.) Wasserstr. 2. 26

Zdolnego

pomocnika zegarmistrzowskiego

przyjmie zaraz lub później

T. Pudelewicz

Nakło (Nakel — Netze).

Zamiana

Dom w Poznaniu na wieś 200—500 mórg.

Zgłosz. pod **L. B. 17.** do eksp. „Pracy“. 17

Dzielny

przykrawacz krawiecki

znajdzie dobrą posadę w mojim oddziale garderoby męzkiej. Musi się nadawać do ekspedycyi i podróży.

T. Małuszek,

Kępno 22

skład bławatów i konfekcyi.

Wolontaryusza

który się już pewien czas uczył lub starszego

ucznia

przyjmie

L. Małuszek,

skład bławatów i konfekcyi

Kępno. 30

Głowa z sercem nie zawsze chodzą parą.

Ztąd często ludzie zaczynają kochać, gdy tracą głowę.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

SZPIEG.

OBRAZEK NARYSOWANY Z NATURY

przez

B. P[illegible]ŁA[illegible]TĘ.

10)

(Ciąg dalszy.)

— Paskudny interes, rzekł wysłuchawszy go długo Muszyniec; ale jak ty sobie w łeb strzelisz, czego wcale nie aprobuję, jak twoja żona zwaryjuje, co to synowi pomoże? Widzisz moje kochanie jak na człowieka taki kamień spadnie, potrzeba się zimnej wody napić i pójść do głowy po rozum, a do serca po chytrość. Mówiąc między nami, z temi durniami Moskalami jakoś prawie zawsze sobie można poradzić, bywają oni sprytni, ale parę razy zawsze ich oszukać można, byle coraz inaczej; zresztą mało którego nie przekupisz to tem, to owem. Tu trzeba coś radzić. Z naszym naczelnikiem nie ma co i gadać ,bo to tak jakbyś mnie prosił, żebym tobie syna uwolnił. Z jenerałem już eście się kułakami w twarz całowali, nie ma tam po co drugi raz zaglądać, ale są jeszcze protekcye, sposoby, drogi, a naostatku choćby też twój syn powędrował do Moskwy? to jeżeli ładny chłopiec, gotów się tam jeszcze z jaką kniahinią ożenić i nie ma czego karku kręcić!!

— Nie mów mi tego, odparł Presler, ja go uwolnić muszę, choćby mi przyszło własnem życiem przypłacić, bez niego mi ono nie miłe.

Muszyniec głową pokręcił, i obejrzał się w około.

— Masz ty jaki grosz? spytał.

Presler ruszył tylko ramionami, próżne pokazując ręce.

— Koszulę na grzbiecie i buty dziurawe na nogach, ot całe moje mienie.

— To źle, rzekł Muszyniec, u nich darmo nic!

Piekielna myśl jak błyskawica przeszła po głowie Preslera, tam gdzie ani on, ani biedna jego żona nic wymodlić nie mogli, któż wie, czyby ładna młoda Rózia wyprosić co dla brata nie potrafiła? Los tego dziecięcia mało obchodził Preslera, spoglądał on na nie dawno z rezygnacyą człowieka, który wie, że takiej pięknej twarzyczce za kilka chwil uśmiechu latami łez i upokorzenia płacić potrzeba. Ani wychowanie, ani położenie nie mogły obronić tego dziewczęcia od prawie pewnej zaguby. Niestety! tak rozumował własny jej ojciec.

Szatański pomysł narażenia córki dla wyratowania syna wytrysnął z tych słów Muszyńca: *U nich nic darmo.*

Po głębokiem zamyśleniu Preslera domyślny jego towarzysz poznał zaraz, że mu przez głowę coś przelecieć musiało.

— Co ty tam sumujesz? rzekł. Gadaj no, gadaj, wierz mi, ty sam teraz nic dobrego nie wymyślisz, trzeba się radzić.

Ale Preslerowi wstyd się było przyznać do tego rozpaczliwego projektu. Muszyniec z milczenia odgadł o co chodziło.

— Macie więcej dzieci! zapytał z uśmiechem, może ładną córeczkę? hę? Gdyby tak było, jabym ci dobrą drogę wskazał, przez Namiestnikowskiego adjutanta kniazia Szkurina. Te bałwany Moskale, u których, wyjąwszy wielkich panów, lud pospolity ma twarze małpie a nogi wielbłądzie, bardzo są łasi na piękne twarzyczki. Nasza prosta dziewczyna mogłaby u nich siedzieć w najpierwszym salonie. Ja wiem że to takiemu sercu ojcowskiemu trudno o podobnej rzeczy pomyślić, ale co się jej ma złego stać jak syna uwolnią, córkę zachowasz i figę pokażesz. Cóż oni ci zrobią?

Po chwilce namysłu, Presler spytał.

— A gdzie ten adjutant mieszka?

Muszyniec z politowaniem spojrzał na niego i tak mu się jakoś gorzko zrobiło pomyślawszy o własnych dzieciach, że dopiwszy kieliszka wódki i powiedziawszy z niechęcią adres adjutanta zerwał nagle posiedzenie, które z taką bezwstydnością sam rozpoczął. Presler którego jadło i wódka rozogniły tylko jeszcze bardziej, wprost pociągnął do domu.

Piękna postać młodej dzieweczki przesunęła nam się tak żeśmy o niej nic powiedzieć nie mogli, ni się jej bliżej przypatrzyć. Powiedzmy teraz słówko o niej, nim biedna na scenę wystąpi.

Dom Preslerów jakimeśmy go widzieli nie był tem gniazdem spokojnem na którego miękim puchu wyrastają szczęśliwe istoty, wypieszczone z dzieciństwa do łatwego życia. Ojciec był w nim postacią niemniej czynną, rzadko widzianą, rozsiewającą strach lub obrzydzenie. Matka charakteru gwałtownego, ale złamanego przeciwnościami troskała się o chleb powszedni i o chleb ducha dla dzieci. Serce jej przywiązało się szczególniej do syna, nie zaniedbało jednak zupełnie córki. Nie mogła dać Rózi świetnego wychowania, ale jej dała poczciwe, resztę Bóg wrzucił w to serce które godne było bić obok braterskiej piersi Juliana.

Julian kochał ją bardzo i co w skromnej pensyi klasztornej pobożne rozpoczęły kobiety, tego on dokończył dając jej książki, ucząc ją słowem i przykładem. Trochę opuszczona przez rodziców Rózia w ciszy, potajemnie uczyła się, pracowała, kształciła. Przy powierzchowności bardzo prostej, przy fizyonomii dziecięcia była to już głową i sercem kobieta, mężna, zastanawiająca się i dojrzała pod skwarem ubóstwa i niedoli. Prócz Juliana mało kto ją znał i ocenić mógł w domu. Nikt się nie domyślał że to potulne dziewczątko po nocach czytało „Dziewicę Orleańską Libelta'' i „Poezye Mickiewicza''.

Rózia z równą troskliwością taiła się z tem co umiała jak drudzy chwalą z tego czego nie umieją. Jak Julian tak ona w towarzystwie rówienników i młodzieży zaczerpnęła tę gorącą miłość kraju, na wszelkie poświęcenia gotową, która jest szczęśliwą gdy się czynem okazać może.

Rodzina Preslerów taka jak ją malujemy nie jest wcale fantazyi naszej wymysłem; wszyscy co przez te czasy żyli w Warszawie, co się społeczeństwu naszemu z bliska a uważnie przypatrzyli, przyznają, że takich rodzin, których ojcowie służyli gorliwie rządowi, a dzieci poświęcały się dla kraju, było i jest tysiące. Nawet w tych domach, w których ojcowie i matki najgorsze dawali przykłady, dzieci rosły wyciągając ręce ku męczeństwu jakby za grzechy ich odpokutować pragnęły. Widzieliśmy synów policyantów idących na Sybir w kajdanach, żony urzędników policyjnych więzione za spiski. Jak w atmosferze ciepłej wszystko, nawet kamień, się rozgrzewa, tak w tym upale patryotyzmu ocieplały się serca i rozmiękczały najtwardsze dusze.

Przyszedłszy do domu Presler, jak pierwszą razą, zastał Rózię płaczącą w oknie, chciała ona biedz szukać matki, ale nie wiedziała dokąd poszła. Kazano jej siedzieć i czekać, musiała więc w opustoszonym domu sama pozostać z myślami czarnemi. Gdy pierwszy raz przyszedł ojciec, nie odważyła się go spytać o nic. Presler bowiem rzadko bardzo z nią mówił i do niej się przybliżał, można powiedzieć, że obawiając się go bardzo mało go znała.

Opanowany tą myślą szatańską użycia Rózi za narzędzie do uwolnienia syna Presler spojrzawszy na nią, na tę twarzyczkę aniołka z zapłakanemi oczyma, poczuł jak mu się ścisnęło serce i zamknęły usta. Nie śmiał do niej z razu przemówić, długo potrzebował chodzić, namyślać się, nabierać odwagi, nim do niej potrafił się odezwać.

— Słuchaj no, rzekł na ostatku, stając nagle przed dziewczęciem, które strwożone wlepiło weń oczy, ty wiesz, że twego brata wzięto... próżno ja, próżno matka chodziliśmy prosić za nim, nic nie pomaga — słuchaj — możebyś ty była szczęśliwsza?...

Tu mu głosu zabrakło, spuścił głowę.

Rózia oblała się cała rumieńcem, zakryła sobie oczy, nie była już dziecięciem i strasznych tych kilku wyrazów pojęła groźne znaczenie. Oburzenie poruszyło jej piersią, ale zarazem miłość serdeczna dla brata, wyexaltowała ją do heroizmu. Myśl szybka jak piorun w jej młodej główce osnuła cały plan strasznego dramatu.

Presler czekał odpowiedzi, ale się na nią nie rychło zdobyła, a głos którym mu odpowiedziała był tak śmiały, tak ognisty, że stary uląkł się go prawie.

— Dobrze ojcze, rzekła, pójdę, a jeśli Bóg dozwoli, uratujemy Juliana.

Ojciec, który się spodziewał wahania, oporu, płaczu, nie pojął własnego dziecka.

— Poszłabyś zaraz? zapytał.

— Nie, odpowiedziała Rózia, jutro, — jutro, — pójdziemy.

W istocie pora była za późna, słońce zachodziło, a Rózia, która w jednej chwili z dziecka przeistoczyła się na bohaterkę, miała jeszcze wiele do czynienia przed tym stanowczym krokiem.

Młodość tylko umie tak szybko bez długich rozmysłów znaleźć instynktem drogę, którą jej raczej uczucie, niż rozumowanie wskazuje. Wszystko się składało na to, aby projekt Rózi uczynić możliwym. Zrozumiała ona, że ma się podobać, uwieść, zawrócić głowę. — Chciała być Judytą dla tego Holofernesa nieznanego, któremu miała być poświęconą; młode jej serduszko biło już od dawna dla poczciwego chłopaka jednego z tych synów Warszawy, którego znała od dzieciństwa.

Młody chłopak nie mogąc na lekarza, usposobił się był na farmaceutę i zajmował miejsce drugiego subjekta w jednej z aptek na Krakowskiem przedmieściu. Rózia nie zastanawiając się postanowiła wyprosić u niego — truciznę. Miała ona służyć dla niej samej lub dla tego, któryby z jej nieszczęśliwego położenia chciał korzystać...

Gdy Presler otrzymawszy od niej obietnicę towarzyszenia mu nazajutrz wywlókł się znowu z domu nie mogąc w nim usiedzieć, Rózia natychmiast porwała skromny kapelusik i czarną mantylkę, przykazała Kachnie pozostać w domu, a sama jak strzała pobiegła do apteki.

Po drodze dopiero przyszło jej na myśl, że trucizna nie tak się łatwo daje temu kto ją mieć zechce, że przed Kaziem trzeba się będzie wytłómaczyć ze wszystkiego, że on może albo nie będzie mógł, albo się zlęknie, albo nie potrafi wypełnić jej żądania. Ale raz postanowiwszy sobie uzbroić się tym orężem Rózia spuściła się na opatrzność, że ją wesprzeć była powinna.

Otworzyła nieśmiało drzwi apteki, spojrzała w głąb — szczęściem Kaźmierz był sam jeden, ale jak tu począć rozmowę!

Zobaczywszy ją chłopak poskoczył żywo, bo wiedział o losieJuliana, a z zapłakanych oczów łatwo się było domyślić wielkiego nieszczęścia...

— Mój Boże, zawołał, czy kto w domu nie chory? Powiedz mi moja droga? Może ja wam być mogę pomocnym! mów, rozkazuj!

— Wiesz o Julianie?

— A! wiem...

— Wiesz więc wszystko; ale ja mam wielką, wielką prośbę do ciebie. — I dziewczę podało mu rączkę wlepiając weń niebieskie swe błagające oczy.

— Kaziu, mój drogi, jeśli ty mnie kochasz, zrób o co cię prosić będę, przysiąż!!

— Czyż możesz mnie prosić, czy potrzebujesz przysięgi? Zrobię co tylko mogę, choćby życie dać przyszło!

— A gdyby przyszło odebrać? spytała Rózia wpatrując się w niego — i powoli po jednym rzucając wyrazy.

— Żeby ciebie uratować?

— Tak...

Po chwilce milczenia Rózia przybliżyła się i szepnęła mu na ucho:

— Daj mi — mocnej, mocnej, okropnej trucizny, koniecznie jej potrzebuję... Kaziu! nie odmów!

Kaziu osłupiał.

— Trucizny? spytał po chwili wpatrując się w nią, tobie? na co??

— Na co? Ja ci powiedzieć nie mogę, ale ci przysięgam, zaręczam, zaklinam się na miłość naszą, że ona dla mego wybawienia jest potrzebna!

— Dla twego wybawienia? cóż ci grozi?

— Ale ja ci nic mówić nie mogę! Czy znasz mnie? Czy mi wierzysz??

— Znam cię i wierzę ci, mój aniele drogi, ale i ty powinnaś mnie znać, powinnabyś mi wierzyć! Na cóż te między nami tajemnice?

Dziewczę mocno się zafrasowało, ale Kaźmierz skłopotany tak nalegał, że mu w końcu wyznać musiała wszystko.

— Ojciec prowadzi mnie z sobą do jakiegoś jenerała, ty znasz tych okrutników, cóż u nich może prośba takiej biednej jak ja dziewczyny? Ojciec ma słuszność, że mnie chce dla ocalenia Julka poświęcić, oswobodzę go, ale tego niegodziwca, którego mój uśmiech przekupi, struć muszę, aby ręka jego mojej dłoni dotknąć nie śmiała.

Kaźmierz widząc zapał, z jakim to mówiła, zbladł, ale ukląkł przed nią, tak go tym heroizmem uniosła. Korzystając z jego wzruszenia Rózia gwałtownie domagała się trucizny. Jakże ją było powierzyć w ręce tego piętnastoletniego dziecięcia, oszalałego bólem prawie do rozpaczy! Mogła jej użyć w chwili jakiejś obawy bezprzyczynnej przeciwko sobie samej, mogła zresztą wydać się niezręcznością i zgubić. Kaźmierz sam nie wiedział co robić, ale miękł i w miarę jak nalegała nań, uczuciem jej dał się ogarnąć.

— Przysiążże mi, rzekł, że w żadnym razie nie użyjesz trucizny dla siebie! Ja będę na straży. Jeżeli przyjdzie do ostateczności, a Julian będzie już wolnym, rzucam aptekę, zabieram ciebie, mam księdza, który nam ślub da i uciekniemy w Augustowskie... do mojej rodziny...

Długo jeszcze szeptali z sobą i nikt im jakoś rozmowy nie przerwał. W końcu choć z wielką obawą Kaźmierz dobył strichniny, zamknął jej małą ilość w flaszeczce, która z łatwością pod rękawiczką na dłoni ukryć się mogła; a Rózia z wielką radością wybiegła do domu z strasznym tym orężem.

* * *

W tej chwili, do której powieść nasza należy, usposobienia Moskali nie były jeszcze tak rozpaczliwie bezwstydne jak są dzisiaj. Dbali oni cokolwiek o opinią Europy, która ich jeszcze bezwarunkowo nie potępiła, udawali ludzi cywilizowanych choć niezręcznie. Ta sztuczna agitacya, która pod pozorem patryotyzmu wyrobiła w Rosyi zaparcie się wszystkich uczuć poczciwych i szlachetnych, prześladowanie uczyniła systemem, okrucieństwo prawem, nieposzanowanie niczego prawidłem tej wojny bezprzykładnej — agitacya ta, którą zrodziło dziennikarstwo i gorliwość bióralistów, jeszcze naówczas nie istniała. Moskwa pochlebiając sobie, że załagodzi ten spór, którego nie rozumiała ważności, obchodziła się z nami po cichu ze swem zwyczajnem okrucieństwem, powierzchownie z zachowaniem pewnych form prawnych. Udawano na przykład, choć niezręcznie, że miano oddać pod sąd tego jenerała, który pierwszy strzelił do bezbronnego ludu, zaprzeczano potrzaskaniu krzyża i znieważeniu duchownych, ale po cichu w naradach na zamku żałowano, że za mało ludzi padło, i że w pierwszej chwili silniejszych jeszcze nie użyto środków. To ogólne usposobienie i w doborze ludzi się wydawało, brano takich, którzy pazurki pochować umieli, glansowane na nie kładnąc rękawiczki. Kniaź Szkurin adjutant namiestnika pięknie wychowany człowiek, znany ze swych zasad liberalnych, mówił prawie głośno po salonach o Mikołajowskim despotyzmie, przyznawał nawet Polsce pewne prawa, ale chciał tylko, aby się zdała na wspaniałomyślność cara.

Był to człowiek lat około czterdziestu, dobrze zużyty Petersburską rozpustą i klimatem, elegant, zawsze wyperfumowany, co go dozwalało posądzać, że potajemnie śmierdział, wielki kobiet wielbiciel i amator szampańskiego wina, które gotów był zacząć pić przed zupą. Był to jeden z tych ludzi, jak większa część tegoczesnych mebli, fornirowanych i wygładzonych po wierzchu, w środku spróchniały i z lada jakiego drzewa. Wychowanie, które odebrał ukształciło w nim tylko zewnętrznego człowieka, środek pozostał nietknięty.

W skórze Francuza był to dziki Tatar wstrzymywany od zupełnego wyuzdania pewnemi względy towarzyskiemi, ale potajemnie nie znający ani żadnego prawa moralnego, ani namiętności hamulca. Z głową pustą był to wszakże w salonach człowiek bardzo przyjemny, szczególniej dowcipny i zawsze pełen najwyśmienitszego humoru. Żartował sobie ze wszystkiego, ze wszystkich, czasem z siebie, a dla kalamburu i popisu z konceptem gotów był rodzonego ojca i matkę poświęcić. Słynął też jako biesiadnik bardzo przyjemny i kobiety go sobie wyrywały — (rozumie się nie Polki, które się na jego przymiotach poznać nie umiały), ale Moskiewki i te mieszańce, półniemki, półrosyanki, pół niby Polki, których kosmopolityzm pokrywał bezduszność. Utrzymywano, że kniaź miał dosyć wpływu na namiestnika dzieląc go z pewnym wysokim urzędnikiem, którego raptowne wyniesienie się wszystkich nie pomału zadziwiało. Kniaź Szkurin nie był majętny, wprawdzie wspominał

o swych duszach w Penzewskiej gubernii, ale duszom tym podobno ciała brakło.

Lubił żyć, z łatwością robił długi, z trudnością je płacił, i mówiono po cichu, że w pewnych wypadkach gładko podsunięte zbierał pieniądze. To pewna, że chociaż stanowisko jego urzędowe żadnej mu bezpośredniej władzy nie dawało, przedpokój jego, oprócz wierzycieli, pełen był zawsze najrozmaitszych interesantów (wyraz warszawski). Służba księcia składająca się z jednego czerkiesa, jednego żołnierza i gatunku lokaja cały dzień była zajętą wypychaniem tych, którym się należały pieniądze, a układami sekretnemi z tymi, którzy je dawali. Często nieszczęśliwi przybysze przepędzali tu dzień cały w smrodliwej izdebce wystawieni na pośmiewisko tej gawiedzi, bo do kniazia nie tak łatwo było przystąpić. Jak wszyscy prawie półdzicy ludzie, w dodatku do innych zwierzęcych namiętności, miał on passyą gry, często do białego rana siedział za zielonym stołem, kładł się spać, gdy inni wstają, spał potem, jeśli nie był na służbie, do godziny obiadowej. W domu też bardzo rzadko zastać było go można.

Do tego człowieka zrozpaczony Presler wszedł na zajutrz rano Rózię wiodąc z sobą; dziewczę było przystrojone w najświeższe ze swych ubogich sukienek; widocznie chciało być ładnem, ale twarz jej miała wyraz tak dziwny, że człowiek z uczuciem byłby się nim przeraził.

Ten wyraz, który się rzadko spotyka na dziewiczem obliczu, tem mocniej od niego odbijał jakby szata, która dlań zrobioną nie była. Smutek i wesele, te dwa krańcowe wyrazy w szeregu uczuć ludzkich, w młodości malują się ostro i wyraźnie na twarzach, które często w jednej godzinie obu sięgają granic. Tych odcieni uczuć, któremi późniejsze lata urozmaicają oblicze ludzkie, młodość prawie nie zna. Na twarzyczce Rózi nie było ani wybitnego smutku, ani żadnego jasno wypisanego wyrazu, coby się jednem słowem określić dawał; w rysach prawie dziecięcych jaśniała powaga, zamyślenie i jakby duma człowieka, który się gotuje do spełnienia wielkiego czynu. Oczy jej niekiedy zachodziły łezką, ale ją jakiś ogień wewnętrzny osuszał, była może piękniejszą niż kiedy, ale tą pięknością jaka przyoblekа czasem twarze umierających lub idących na rusztowanie. Widziałeś patrząc na nią, że płoche myśli z jej główki uleciały, że serce nie biło przelotnem uczuciem, że szła do wielkiego jakiegoś celu, który ją unosił i zolbrzymiał. — Ta piękna postać, przed którą zdumiałby się artysta i pokląkł poeta, odbijała straszliwą sprzecznością od steranego ze znamieniem podłości na czole wlokącego się za nią Preslera. Wydawał się on przy niej, jak szatan czyhający na duszę czystą, z wzrokiem w ziemię spuszczonym, szedł wstydząc się sam siebie, szedł i nasuwając kapelusz na oczy, zdawał obawiać, aby go ludzie nie widzieli.

Wnijście tej dziwnej pary do przedpokoju kniazia wedle zwyczaju przepełnionego najpstrokatszym tłumem obudziło niezmierną ciekawość. Czerkies, żołnierz i lokaj stanęli przypatrując się tej niewinnej ofierze, której młode lice wstyd krwią oblewał, szepty, śmiechy, szyderstwa, półsłówka były pierwszemi razami męczeństwa, które biedne dziewczę znieść musiało.

Presler przywykły do upokorzenia, którego podobne przyjęcie było chlebem powszednim, nie umiał ani jej obronić, ani nawet poczuć tego co ona doznawała. Z kolei każdy ze służby zbliżał się do Preslera, wlepiał w Rózię oczy bezwstydne i tym wzrokiem ohydnym, który bywa obelgą, przeszywał niewinne dziewczę. — Potrzeba było jednak nie mając pieniędzy pokorą rozbroić tych stróżów drzwi pańskich, których łaska mogła je otworzyć, a gniew zamknąć. Inni interesanci, gawiedź najrozmaitsza, przypatrywali się także urągliwie Preslerowi i Rózi.

Nad przedpokoje tego rodzaju, w których często człowiek godną piekieł przebywa godzinę, nie ma może w świecie przykrzejszej próby cierpliwości. W nich to ubodzy często czerpią tę nienawiść ku możnym i wyżej położonym, która póżniej staje się całego ich życia przemagającem uczuciem. Kto nie czekał u przedpokoju urzędnika lub wielkiego pana, zmiłowania jego służby, ten jeszcze nie doznał rodzaju upokorzenia może najdotkliwszego. Cóż dopiero gdy dwa lub trzy razy trzeba przejść przez te ognie, aby dostąpić do Jowiszowego oblicza, które cię zbywa nic nie znaczącym ogólnikiem. Służący, który o godzinie dziesiątej poniósł panu czaj, widać mu coś powiedział o ładnem dziewczęciu, bo zaraz po jakimś panu bardzo poważnym, który pierwszy otrzymał posłuchanie, wpuszczono Preslera i Rózię.

Kniaź był jeszcze w rannym szlafroczku i nieurzędowym stroju; wyłysiała jego głowa świeżo wyszczotkowana, wąs wyszuwaksowany przed chwilą nie mogły odświeżyć twarzy zwiędłej, bladej, na której już marszczki plan przyszłego zburzenia, delikatnie pozarysowywały.

Presler zaczął od tego, że mu padł do nóg, a Rózia wlepiła weń niebieskie swe pełne wyrazu oczy, których wejrzeniu oprzeć się nie było podobna.

Kniaź, który nibyto mówił po polsku, i bardzo się swoją polszczyzną chwalić lubił, kazał sobie opowiedzieć całą historyą; ale nie tyle jej słuchał, ile się milczącej Rózi przyglądał.

To wejrzenie zbójeckie zepsutego człowieka obudzało w niej wstręt nieopisany; gdyby była mogła, byłaby odeń na koniec świata uciekła, ale uczucie obowiązku wstrzymywało ją na miejscu. Kniaź nie wiele zważając na Preslera, dla Rózi szczególną okazywał grzeczność, co ją jeszcze bardziej gniewało. Sam przysunął jej krzesło, a ponieważ pił właśnie herbatę ,chciał jej nawet służyć szklanką tego napoju.

Naturalnie Rózia i krzesła i herbaty odmówiła, ale z przebiegłością kobiecą czując swoją siłę oczyma doprowadziła Moskala prawie do zapomnienia się.

Nigdy jeszcze kniaź ani w salonach Piotrowego grodu, ani pomiędzy cygankami moskiewskiemi, ani za kulisami europejskich teatrów, tak świeżego wiosennego kwiatka nie spotkał; sama myśl, że to bezbronne ubogie dziewczę mógł usidlić, głowę mu zawracała.

Oto by dopiero była zazdrość pomiędzy towarzyszami, dla których najstarsze matrony baletu warszawskiego, jeszcze były nieprzezwyciężoną pokusą i ideałem-

Gdy Presler skończył mówić, kniaź tak dobrze jak nic nie wiedział, o co chodziło, domyślał się tylko, że go proszono o czyjeś uwolnienie, i obyczajem moskiewskim kazał Preslerowi podać sobie zapiskę.

Idąc na to posłuchanie stary, który znał dobrze formy, już ją był zawczasu przygotował; omylił się więc w swych rachubach kniaź, sądząc, że mu ją drugi raz ojciec z córką przyniesie. Ale samo przyjście Rózi było wielkiego znaczenia. Moskal zrozumiał je i kazał przyjść Rózi nazajutrz po odpowiedź.

Zaczerwieniła się biedna, obelżywy ten rozkaz usłyszawszy, ale postanowiła do dna wypić kielich goryczy i w ręku ścisnęła tę flaszeczkę, w której jej zemsta spoczywała. — Presler jeszcze raz schylił mu się aż do nóg, ale kniaź zamiast go podnieść podał Rózi rękę. Szczęściem że odpowiadając na to pożegnanie dziewczę miało przytomność wysunąć dłoń, w której owej flaszeczki tajemniczej nie było, inaczej któż wie. Kniaź by był może ją poczuł, znalezionoby truciznę, i Bóg wie jaki los mógł czekać biedną Rózię.

Gdy po półgodzinnej rozmowie wyszli ztąd nareszcie, Presler szepnął wreszcie córce, ażeby wróciła do domu, a sam nie mogąc w miejscu usiedzieć chciał pójść pod cytadelę, aby się o żonę dowiedzieć. Rózia go za rękę wstrzymała.

— Ojcze, rzekła, przyjdźcież po mnie, bo ja tam sama jutro nie pójdę.

Spojrzał na nią dziwnie, kiwnął tylko głową i tak się rozstali.

On powlókł się pod cytadelę, a jej pilno było całą historyą tej wycieczki opowiedzieć Kazimierzowi. Pospieszyła więc do aptki, bo czuła że tam na nią niespokojnie oczekiwano. Zdala już zobaczyła Kaźmierza stojącego w progu z oczyma wlepionemi w stronę ku zamkowi.

Nie powtórzym tej rozmowy, bobyśmy może nie potrafili w całej jej prawdzie, z całą jej dziwacznością wypowiedzieć.

Miłość mięszała się w niej z okropnością, trucizna z marzeniami o szczęściu, sielanka z tragedyą. Były tam łzy i uśmiechy, oburzenia i nadzieje, śmierć, zbrodnia, heroizm, a przytem dużo, niedoświadczenia i dzieciństwa.

Gdy się to dzieje, Presler tymczasem powlókł się pod twierdzę, próżno dopytując o żonę, żołnierze wyszturchali go, wyśmiali i zupełnie nic mu nie powiedzieli o niej. Cały dzień spędził tak na ulicach, po szynkach, dwa razy zajrzał do domu, z którego zgryzota go wygnała.

W tym stanie ducha człowiek albo kamieniem nieruchomym leży albo gorączkowo lata, nigdzie się na miejscu utrzymać nie mogąc.

Nazajutrz rano Rózia wystrojona, z twarzą zaognioną od łez, marzeń i całonocnej bezsenności była daleko wcześniej gotową, niżeli nadszedł ojciec. — Razem z nim w milczeniu poszli znowu przez ten przedpokój ohydny, do tego człowieka, na którego zepsuciu ostatnie ojca spoczywały nadzieje.

Wypuszczono ich natychmiast, kniaź był niesłychanie grzeczny, ale widocznie zakłopotany. Nie odbierając całkiem nadziei, nic wszakże nie przyrzekał. Z bałamutnych jego tłómaczeń widać było, że mu się starania nie powiodły, ale Rózia tak mu się podobała, że przyrzekał jeszcze czynić co tylko możliwem będzie, aby los Juliana przynajmniej nieco osłodzić.

Dla Preslera, który znał Moskali, nie ulegało już wątpliwości, iż z tego wszystkiego na tej drodze nic już być nie może. Napróżno więc tylko wystawił swe dziecię na pośmiewisko a siebie na pogardę.

Kniaź niby coś jeszcze obiecując zażądał adresu Preslerów i skrzętnie go sobie zapisał.

Rózia wyszła tą razą jakoś smutna i szczęśliwa, nie wiedząc sama, co się w jej duszy działo; czuła się ocaloną a całe jej bohaterstwo zostało tylko jakby sennem marzeniem. Poszła znowu wyspowiadać się Kaźmierzowi nie sądząc, aby wzięty przez Kniazia adres na jakie ją jeszcze niebezpieczeństwo mógł narazić.

* * *

Była już późna pobiedniа godzina gdy kniaź, który zwykle jadał w Angielskim hotelu, dobrze napiły wyszedł uśmiechając się sam do siebie i chciał pierwszą jadącą Wierzbową ulicą dorożkę zatrzymać na swój użytek, ale woźnica patryota pokazał mu język i figę, a sam dalej cwałem poleciał. Szczęściem konie go szybko uniosły, boby inaczej niezawodnie go pod sąd wojenny oddano. Że zaś każdy moskiewski oficer wedle katechizmu o czci monarszej przedstawia jakąś cząstkę prawej władzy, dorożkarz mógł być skazany do kopalni, jeśli nie na powieszenie dla przykładu. Kniaź zdumiony obelgą, która go spotkała, poszedł pieszo. Wzięło mu trochę czasu postaranie się o drugą dorożkę której woźnica dostał od niego w kark za przewinienie swojego towarzysza; pojechali z nim potem do Hozera, gdzie kniaź kupił dosyć ładny bukiet, wstąpił do Coutego po pudełeczko cukierków, naostatek skierowano się ku Dziekance.

Rózia siedziała przy oknie wedle zwyczaju, ale choć trzymała robotę w ręku, pracować nie mogła, myśl o bracie, którego tak kochała, o matce która znikła z domu bez wieści, naostatek o własnym losie chmurzyła jej czoło. Od dwóch dni pustka była w domu, wczoraj ostatnie się wyczerpały zapasy i nigdzie grosza, kupcom wszystkim się coś należało, nikt nie chciał dać na kredyt. Od rana nie było już całkiem co jeść ani nawet za co chleba kupić.

Kaźmierz byłby jej przyszedł na ratunek, ale wstyd jakiś ją ogarniał na samą myśl wyznania mu swego położenia. Od rana do wieczora prócz trochę wody, Rózia nic w ustach nie miała, ojciec się na chwilę pokazał chmurny i zamyślony, nie chciała mu nawet o tem wspominać. Naradziwszy się z Kasią, która więcej jeszcze od niej rozpaczała, Rózia posłała jednę z lepszych sukienek aby ją gdzie u żyda zastawić, ale Kachna wyszedłszy o południu dotąd jeszcze nie wróciła. Głód dokuczał coraz mocniej, chwilami robiło jej się słabo, potem gorąco i strasznie paliło ją pragnienie. Woda którą piła zdawała się je rozzarzać nie gasić. W chwili gdy na służącą oczekiwała, otworzyły się powoli drzwi, głowa jakaś w nich pokazała, i ktoś wszedł do pokoju.

Rózia postrzegła tylko mundur i przelękła się, sądząc że w mieszkaniu Juliana robić będą rewizyą, ale w chwili gdy ta myśl po jej główce przebiegła, poznała w zbliżającym się kniazia z bukietem w ręku i pudełkiem cukierków. — Moskal rozglądał się ciekawie po mieszkaniu, widocznie go to radowało, że Rózię zastał samą. Nie robiąc ceremonii położył jej bukiet i cukierki na kolanach, a sam przysunąwszy sobie krzesło zabierał się do rozmowy, gdy przestraszone dziewczę, upuściwszy dary na ziemię, wyskoczyło na środek pokoju. Podpiły jegomość porwał się aby za nią gonić starając się łagodnemi słowy przestrach jej ukołysać, gdy drzwi się na nowo otwarły i stary Presler wpadł jak burza. Widać było na jego twarzy jakąś wściekłość i szał rozpaczliwy, ręce mu się trzęsły, wargi drżały, oczy miał krwawe, brwi zmarszczone. Kniaź mógł go nie poznać, tak różny to był dziś człowiek od tego który wczoraj u kolan jego leżał.

Od progu zobaczywszy Moskala który gonił za jego córką rzucił się na niego z szałem drapieżnego zwierzęcia, przyskoczył, porwał za piersi i obalił na ziemię.

Kniaź niespodzianie schwytany wcale się nie bronił. Presler zasiadł mu na pierś, przytłoczył ją kolanem i strasznym śmiechem szyderskim rozśmiał się nad jego głową.

— Ha! zawołał, mam cię! mam choć jednego z was, żebym moją zemstę nasycił. Darłbym cię zębami, psie jakiś, tak mi się krwi chce twojej. Za siebie, za syna, za żonę, za córkę ty mi zapłacisz! Wyście to nas spodlili, każde wasze dotknięcie plamą na nas zostało, gdzie który z was stąpił wytrysło błoto! Nie dość wam było szarzać nas starych, musieliście wypić krew młodą, pohańbić kobiety nasze, zatruć powietrze, którem oddychamy!

Ta zakąska po szampańskiem winie, w chwili gdy się do romansów zabierał, tak kniazia zaskoczyła niespodzianie że w pierwszej chwili o mało nie padł ofiarą rozjuszonego ojca. Ale zduszony silnie za gardło, przywiedziony do rozpaczy począł się wreszcie bronić, był młodszy i silniejszy, niebezpieczeństwo dodawało mu energii, zrzucił więc Preslera z siebie, a przemógłszy go począł okładać razami.

Nie można przewidzieć, na czemby się ta walka skończyła, gdyby przypadkowo nadchodzący Kaźmierz nie przypadł na obronę ojcu Rózi. Oficer widząc znowu niebezpieczeństwo, okładany razami i ścigany jak złodziej uciekł, nie wiedząc jak wschody przeleciał, wpadł do czekającej dorożki i umknął.

Presler bez kapelusza jakby wpół oszalały pogonił za nim ulicą. Co się z nim do późnego wieczora działo, nikt nie wiedział.

Już pod noc wybladły zgrzytając zębami i drżąc od gorączki wszedł do bilardu pani Szymonowej i znużony rzucił się na kanapę. Ci co go często widywali pijanym, posądzili z razu o upicie, ale gdy jęczeć i płakać zaczął, Kuźma który się tam przypadkiem znajdował podszedł litościwie ku niemu.

— Co ci jest poruczniku? zapytał.

— Co mi jest? ty nie wiesz? Chce mi się krwi moskiewskiej, albo oni niech moją wypiją, albo ja jej skosztować muszę.

— Co waćpanu takiego? na Boga! nie krzyczże tak!

Albo ja się czego jeszcze boję? Nie mam już nic, prócz życia do stracenia, a to bym dał chętnie, żeby się pomścić nad nimi. Syna mi wzięli te katy! Córkę mi chcieli zbezcześcić! Myśleli, żem już tak plugawy i bezsilny, że mnie zgnieść można bezkarnie. Ale gdy się już tylko życie zostanie, człowiek je sprzedaje drogo! Miałem już jednego z nich w ręku, i ten mi się wyśliznął...

Gdy tak mówił z gwałtownością wielką, tchu mu zabrakło i znowu rzucił się płacząc na kanapę. Kuźmie na widok tej rozpaczy włosy stawały na głowie, ale dobrze nie mógł zrozumieć całej historyi Preslera. Nie podobna go było posądzić o podstępne udawanie, bo taka boleść wynaśladować się nie da.

Przyszło mu wreszcie na myśl, że rozjuszony ów człowiek mógłby się na co przydać młodzieży. Stary szpieg w tem usposobieniu mógł wiele rzeczy wygadać, na wiele dróg naprowadzić. Zasiadł więc przy nim, począł go pocieszać, uspokajać i rozpytywać.

Czy ten głos przyjazny i litościwy, czy znużenie długie, ostudziły nieco Preslera, usiadł i płacząc ciągle jął się spowiadać przed stolarzem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

14) (Ciąg dalszy.)

O dziesiątej wyszły pensyonarki do ogrodu, po dwudziestu minutach zaś wróciły do klasztoru na lekcye — w ogrodzie zostały tylko Nora i Helenka.

Robert natężał słuch, lecz nie mógł zrozumieć ani słowa z ich rozmowy. Domyślał się, że mówiły o czemś ważnem i byłby dał nie wiedzieć co za to, gdyby był mógł słyszeć wszystko. Ale wysokość, na której się znajdował, zbyt była znaczną, aby rozróżnić słowa. Przeklinał z całej duszy swoje niepowodzenie, na razie przecież zmienić tego nie mógł, i nie wiedział wcale, czy w ogóle uda mu się kiedykolwiek podsłuchać ich rozmowę.

Nora bardzo dziś była smutna i przygnębiona, a zaczerwienione jej oczy najlepszym były dowodem wylanych łez. Wszystko co ją tu otaczało, było takie jak dawniej, a jednak jak innem zupełnie było jej położenie! Z tego ganku widywała dawniej codziennie Lucyana — dziś był on dla niej na wieki stracony i cierpiał tak samo jak i ona! Może rozłączenie samo z ukochanym nie byłoby jej taką rozpaczą przejmowało, gdyby nie myśl, że ma się na zawsze połączyć z człowiekiem, którego nienawidziła. Na wspomnienie Gastona drżała z przerażenia i zdawało jej się, że łatwiej byłoby umrzeć, niż zostać jego żoną.

Pragnęła ona jedynie dla tego pozostać teraz w klasztorze, aby uniknąć obecności narzeczonego i odzyskać spokój duszy w towarzystwie koleżanek i zakonnic, ale wszystko co ją tu otaczało, przypominało jej najszczęśliwsze chwile jej życia — widywanie Lucyana! I biedna podwójnie cierpiała!

Obie przyjaciółki usiadły na ławce pod rozłożystym klonem.

— Więc nie masz nadziei, — zaczęła Helenka z głębokiem współczuciem.

— Nie!

— Ale jak mogłaś zgodzić się na zaślubienie Gastona Noirville?

— Musiałam. Najpierw, że ojciec sobie tego życzył, a potem ze względu na — Lucyana.

— Jakto?

— Lucyan majątku nie ma a ja jestem bogata!

— I cóż ztąd?

— Honor i własne poczucie godności nie pozwalają mu się starać o mnie. Ludzie mogliby go posądzić o spekulacyą i wyrachowanie!

— Ale ty nie myślałabyś tego?

— Broń Boże! Ja wiem, że on mnie kocha, ale on jest tak dumny, że wolałby umrzeć, niż wystawić się na złośliwość ludzką.

— Przecież on się też może dorobić majątku. Poczekajcie parę lat!

— Ale Gaston zabiłby go! Pod jakimkolwiekbądź pozorem wyzwałby go na pojedynek i zabiłby bez litości. Pan Nivel mówił mi to!

— Ach, jaki łotr! — zawołała Helenka oburzona.

Po bladej twarzyczce Nory wielkie spłynęły łzy.

— Widzisz Helenko, — rzekła, — że muszę się poświęcić, aby życie jego ocalić, ale on nie powinien się nigdy o tem dowiedzieć!

— Przecież i on umie pewnie strzelać, więc obydwaj mieliby równe szanse!

— Ach, jak możesz tak mówić! Dla mnie miałaby się krew przelewać? Nigdy! Pomyśl tylko, jak to okropnie stać się przyczyną czyjejś śmierci!

— A jeżeli Lucyan umrze z rozpaczy?

— Nie mów tego, na Boga! Zresztą on wie sam, że zmienić niczego nie można i usunął się zupełnie!

— Mylisz się, — szepnęła Helenka.

— Widziałaś go? O, powiedz mi, powiedz! — zawołała Nora żywo.

— Nie, ale miałam list od niego. Wrzucił mi go przez drzwi w murze, tu, na tę ławkę.

— I co pisał?.....

— Otóż powtórzę ci dosłownie treść biletu: — Wszystko się skończyło, Nora idzie za innego. Chciałbym się widzieć z nią raz jeszcze!

— Nie, nie, — krzyknęła Nora przestraszona, — nie miałabym na to dosyć odwagi! Jeżeli nie mogę być jego żoną, to nie chcę go już widzieć! Spełnię już do dna ten kielich goryczy.....

— Biedna Noro! Ja tak pragnęłam twego szczęścia! Ale będąc tobą nie pozwoliłabym się innym mieszać do moich spraw serca. Ty masz za mało energii i własnej woli nie masz wcale. Niechby mnie tylko chciał kto rozłączyć z tym, którego kocham!

I rezolutna dziewczyna drobne zacisnęła pięści i spojrzała tak groźnie w około, jak gdyby pełno tu było wrogów niebezpiecznych.

ROZDZIAŁ 20.

Nagle jednak zerwała się Helenka i podniosła głowę.

— Słuchaj, — zawołała, — pociąg nadjeżdża!

Nora mimowoli spojrzała na tor kolejowy.

— Może go dziś znowu zobaczymy, — mówiła Helenka dalej. — Czekaj — już się zbliża — ach — patrz, to on!

Nora spojrzała i krzyknęła głośno, a krzyk ten usłyszał Lucyan, wychylony z okna wagonu i oczy obojga spotkały się na chwilę.

Całe to zajście nie uszło bystrym oczom Roberta. Słyszał on wyraźnie krzyk Nory i zdążył się przyjrzeć pięknej twarzy Lucyana, a równocześnie przypomniało mu się to, co podsłuchał z rozmowy notaryusza i Gastona.

— Ach, — pomyślał, — otóż to ten, którego ona kocha!

W tejże chwili rozległ się głos dzwonka klasztornego, pensyonarki wyszły z klas na drugie śniadanie i Nora z Helenką udały się także do sali jadalnej. Ogrodnik zaś zostawiwszy swe narzędzia w ogrodzie, wyszedł przez zielone drzwi w murze i zwrócił się na ulicę St. Honore.

— Teraz siedzą — wszystkie przy stole, — rzekł Robert, — nie ma więc nic do szpiegowania.

I zabrał się do nowych odkryć.

Wyjąwszy z szafki wosk i młotek, wyszedł z domu i zwrócił się natychmiast w stronę mostu kolejowego, chciał się bowiem przekonać, czy w razie niebezpieczeństwa nie mogłaby mu ta droga służyć do odwrotu. Na prawo od toru kolejowego znalazł ścieżkę, około sto kroków długą, wiodącą do małej uliczki pod mostem koleji żelaznej aż do odnogi rzeki Marne. Wysokie, dosyć spadziste brzegi porosłe były wikliną i topolami, na których rozpinał się wysoko chmiel dziki. Woda była tu mętna i ciemna.

Nieco dalej, koło wysepki Machafer rozpoczęte były rozmaite roboty. Obydwa brzegi miały być połączone mostem, tymczasem jednak wbito tylko słupy w wodę i przymocowano na nich deski, podparte na krzyż ułożonemi belkami.

Robert przyglądał się długo tym robotom, jak gdyby chciał wszystkie szczegóły zachować dobrze w pamięci i potem zamyślony, poszedł dalej. W małej wiosce, leżącej nad brzegiem rzeki kupił tyle chleba i wędlin, ile mu było potrzeba na kilka dni i u zegarmistrza kieszonkowy zegarek, a wracając, wybrał inną drogę, nie chcąc, aby go robotnicy nie widzieli. Ten młody zbrodniarz obliczał dokładnie każdy krok i nie zostawiał nic ślepemu przypadkowi.

Gdy stanął przy zielonych drzwiach w murze, na ulicy klasztornej, przycisnął prędko wosk do zamku i schował wyraźny odcisk do kieszeni.

Było to około pierwszej i ogród zupełnie o tej porze był pusty. Robert wziął klucze które przyniósł z sobą i próbował, czy który z nich nie stosuje się do odcisku woskowego. Kilka z nich zdawały się mieć wielkość odpowiednią, ale czy rzeczywiście otwierać będą? Robert wiedział z doświadczenia, że czasem dla bardzo małej przeszkody klucz nie chce się w zamku obrócić.

Po zjedzeniu kawałka chleba i szynki, przespał się Robert i o siódmej stanął znowu przy oknie. I któż opisze jego zdumienie, gdy nagle ujrzał jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się ostrożnie do zielonych drzwi w murze!

— To ten sam, który jechał dziś koleją, — szepnął. — Ale czego on tu chce?

Lucyan, on był rzeczywiście owym mężczyzną, stanął teraz przy drzwiach i przerzucił coś białego przez mur.

Po swem rozstaniu się z Norą powziął zamiar opuszczenia Paryża i udania się do Ameryki. Myśl, że uko-

chana ta dziewczyna ma zostać żoną innego, przejmowała go straszną rozpaczą i miał nadzieję, że zdala od miejsc, w których doznał tyle szczęścia i smutku, odzyska spokój duszy i z czasem zapomni o swej pierwszej, jedynej miłości. Ujrzawszy dziś Norę w ogrodzie klasztornym, zdziwił się niezmiernie, gdyż nie mógł sobie wytłómaczyć, dla czego tu była — i chcąc się tego dowiedzieć, postanowił jej o to wprost zapytać. Że jednak widzieć się z nią nie mógł, przeto napisał list i wrzucił go tak samo przez mur, jak list pierwszy przed kilku dniami do Helenki.

List ten był krótki i brzmiał jak następuje:

„Droga Noro! Możesz sobie wyobrazić, jak jestem dziś wzruszony twoim widokiem! Dlaczego przybyłaś do klasztoru? Czy zdołałaś zerwać zaręczyny twoje? Jutro jest dzień przechadzki do lasku — muszę cię zobaczyć, gdyż niepewność ta dręczy mnie niezmiernie!

Twój Lucyan."

ROZDZIAŁ 21.

Lucyan szedł wolno, zajęty tylko myślami o Norze, i przybywszy nad brzeg Marny, zwrócił się na tę samą ścieżkę wiodącą do mostu, którą wczoraj przechodził Robert.

Był on jeszcze o kilkadziesiąt kroków oddalony od miejsca, w którem się robotnicy znajdowali, gdy nagle rozległ się tam przeraźliwy krzyk bólu i w jednej chwili ujrzał Lucyan robotników, biegnących ku jakiejś postaci leżącej na ziemi.

— Pewnie się kto zabił, — pomyślał i pobiegł szybko naprzód. Równocześnie wysunął się jeden z robotników z koła swych towarzyszy i pędził jak szalony ku domkowi pani Darby. Lucyan poznał go.

— Hej, Piotrze, — krzyknął — czy idziecie po mnie?

— Ah, to pan doktor! — odpowiedział robotnik, oddychając ciężko, — jakie szczęście, że pana tu spotykam!

— Co się stało?

— Nieszczęście! Ogromny kamień spadł na nogę Andrzeja i strzaskał ją zupełnie.

— Boże Wielki! Spieszmy do niego!

— Ale musimy przejść przez te deski na rzece, — rzekł Piotr, wskazując na prowizoryczny most z desek.

Lucyan nie słuchał już dalej. Biegł pewno i śmiało po deskach, uginających się pod ciężarem jego ciała, a robotnicy patrzeli na niego z wdzięcznością i szacunkiem.

— Andrzej ma nogę złamaną, — rzekł jeden z nich.

— On już pewnie nie żyje, — dodał drugi.

— Panie doktorze! — wołał ojciec nieszczęśliwego, — ratuj mego syna! To nasza cała pociecha! Ratuj go!

Lucyan zbadał pobieżnie zemdlonego, i podnosząc się rzekł:

— Zrobię, co mogę, obawiam się jednak, że pomoc ludzka nie wiele tu zdziała. Urządźcie nosze i zanieście go ostrożnie do domu — niech jeden z was idzie naprzód aby mu posłanie przygotowano!

Robotnicy przygotowali nosze, Lucyan zaś kazał przynieść jeszcze z łąki kilka snopów siana i położyć chorego na niem, a gdy smutny pochód stanął przed domem ogrodowego, było już łóżko usłane i nawet miska z lodem znajdowała się na stole. Rana biednego Andrzeja okazała się bardzo niebezpieczną. Lucyan posłał do domu po bandaże i zajął się trzeźwieniem zemdlonego.

— Noga moja złamana! — jęknął Andrzej, odzyskawszy przytomność. — Czy mi ją pan doktor odejmie?

— Myślę, że nie będzie tego potrzeba, — odrzekł Lucyan, wzruszony okropnym strachem chłopca, — ale teraz musisz leżeć spokojnie i nie mówić ani słowa!

Gdy noga została włożoną w gips, zapisał lekarstwo, kazał mu dawać co godzinę łyżkę i odszedł, zalecając raz jeszcze zupełny spokój.

Późno już było, gdy stanął przed drzwiami w murze klasztornym, opatrywanie złamanej nogi trwało jednak o wiele dłużej, niż myślał.

W ogrodzie i na uliczce głęboka panowała cisza.

— Nikt mnie tu nie widzi, — szepnął.

Nie wiedział, że Robert, ukryty za okiennicą, śledził uważnie każdy ruch jego!

Nora i Helenka przechadzały się jeszcze po ogrodzie, nie potrzebowały się bowiem tak ściśle trzymać reguły klasztornej.

— Więc nie chciałabyś się jeszcze raz z nim widzieć, chociażby cię prosił o to? — pytała Helenka.

— Nie! — odrzekła Nora stanowczo.

— Ani na chwilę? Po raz ostatni?

— Nie — nie miałabym potem siły pożegnać go.....

— Ale on wie, że jesteś tu, więc będzie się chciał widzieć z tobą!

— Wątpię! Sam zwrócił mi słowo!

— Może być, ale jestem pewną, że myśli teraz jedynie o tem, w jaki sposób zobaczyć ciebie!

Rozmawiając tak, doszły aż do muru i tu usłyszał Lucyan ich głosy.

— Noro! — zawołał cicho lecz wyraźnie.

Młoda dziewczyna zbladła jak ściana.

— Słyszałaś? — szepnęła Helenka.

— Słyszałam! To on! On! — odrzekła Nora i przycisnęła głowę do muru.

— Rzucam list! — dał się znowu słyszeć głos Lucyana.

W tejże chwili przesunęła się mała, biała paczka przez mur i — zawisła na drzewie, na jednej z najwyższych gałęzi! List przywiązany był do kamyszka, ale nitka, dosyć długa, zahaczyła się o liście i zatrzymała kamyczek.

Nora krzyknęła przerażona — równocześnie bowiem ukazała się na końcu alei Matka Przełożona.

— Czas na modlitwy, — wołała już zdaleka. — Chodźcie panienki!

— Idziemy, natychmiast, — odpowiedziała Helenka, nie tracąc przytomności umysłu, zwracając się zaś do Nory dodała cicho:

— Przyjdziemy po list chociażby w nocy. Bądź tylko spokojną!

Lucyan tymczasem, usłyszawszy obcy głos kobiecy, oddalił się szybko będąc przekonanym, że Nora list otrzymała.

Robert drżał z radości.

— Poczekaj, piękna panno, — mówił sobie w duszy, — ja pierwszy go przeczytam!

Przed dziesiątą jednak nie mógł wyjść z swego ukrycia. Zabrał się więc najpierw do kolacyi i zaledwie zjadł kawałek chleba, usłyszał cichy szelest na dole w sieni.

Domyślił się zaraz, że to Henryk wraca do domu i mimowoli oddech wstrzymał, tak się lękał, aby go dawniejszy przyjaciel tu nie odkrył. Najmniejsza nieostrożność mogła go zgubić!

O jedenastej ciemno już było zupełnie. Niebo było pokryte chmurami, księżyc raz po raz tylko ukazywał się i znikał natychmiast. Cały klasztor zdawał się w głębokim śnie pogrążony, Robert uznał więc chwilę za stósowną do swej niebezpiecznej wyprawy.

Wziąwszy kilka kluczy, które się najlepiej do odcisku z wosku stósowały, wyszedł boso, ostrożnie na podwórze i stanął wkrótce przed zielonemi drzwiami. Pierwszym i drugim kluczem nie mógł ich otworzyć, trzeci natomiast obrócił się gładko i drzwi otworzyły się bez najmniejszego szelestu.

Robert niezmiernie był tem ucieszony. Obawiając się przecież możliwego niebezpieczeństwa nie wyjął klucza z zamku, tylko przymknął drzwi i zaczął szukać drzewa, na którym list wisiał.

Ale i Nora nie przestawała myśleć o liście. Przełożona zatrzymała ją i Helenkę po kolacyi w swoim pokoju i tak nie mogły już wyjść do ogrodu. A gdy je potem jedna ze sióstr odprowadziła do wspólnej sypialni, było już za późno, aby jeszcze prosić o pozwolenie odbycia przechadzki.

— Ach, jak ja się boję o ten list, — szepnęła Nora, po odejściu zakonnicy.

— Czemu?

— Może go w nocy wiatr zrzuci i ktoś inny znajdzie go i przeczyta! Kto wie, co on tam pisał!

— Jesteś pewnie bardzo ciekawą, nieprawdaż! — roześmiała się Helenka.

— Nie! Nie powinnam czytać jego listu — odebrałoby mi to do reszty wszelką odwagę. Spalę go natychmiast!

— Nie obawiaj się niczego — w nocy nikt do ogrodu wejść nie może, a jutro o szóstej pójdziemy tam pierwsze!

— Jaki on nieostrożny!

— Bo kocha ciebie!

Nora położyła się, lecz usnąć nie mogła i gdy po upływie godziny była pewną, że Helenka śpi, wstała ostrożnie, ubrała się i cicha i lekka jak cień, wysunęła się z pokoju. Było to najtrudniejszą częścią tej nocnej wycieczki, na schodach bowiem i w sieni nie mogła o tej porze spotkać nikogo. Wiedząc zaś, że boczne drzwi w klasztorze, wiodące do ogrodu, nigdy na noc zamykane nie były, szła śmiało, zajęta jedynie myślą o Lucyanie, którego list tak okropnie ją niepokoił. I właśnie w chwili, w której Robert otwierał zielone drzwi w murze, weszła Nora do ogrodu.

ROZDZIAŁ 22.

Robert znalazł prędko drzewo, na którego gałęziach zawisnął list Lucyana, ale listu tego już tam nie było. Z głośną klątwą zapalał jedne zapałkę po drugiej, szukał w trawie pod drzewem i naraz krzyknął radośnie:

— Mam go!

Wiatr zrzucił list na ziemię. Robert porwał go szybko, włożył do kieszeni, i już zamierzał uciekać z swoją zdobyczą, gdy nagle usłyszał szelest zbliżających się kroków. Jednym skokiem stanął w cieniu krzew pod murem i drżąc z strachu, patrzał na jasną postać kobiecą, biegnącą wprost ku niemu.

— To panna Garrel! — pomyślał, oddychając spokojniej. — O, czemu nie mam tu mego ostrego noża!

Nora szukała tak samo listu, jak Robert, lecz daremnie. Obchodząc wokoło drzewa, zauważyła zielone drzwi otwarte i przypuszczając, że wiatr mógł zrzucić list po za mur, otworzyła je i wyszła na uliczkę. Myślała przytem, że ogrodowy zapomniał wyjąć klucz.

Śmiałość młodej dziewczyny zaimponowała niezmiernie Robertowi. Nie pojmował, jak mogła wyjść sama w nocy na ulicę i to jedynie dla listu!

Nora tymczasem była w rozpaczy. Szukała listu, przetrząsała nieomal każdy krzaczek trawy i nareszcie smutna, zniechęcona powiedziała sobie, że wszystko to jest daremnem i że musi wracać do klasztoru. Ale w dobroci swego serca postanowiła wyjąć klucz i oddać go ogrodowemu, nie chciała bowiem starego sługi klasztornego narazić na możliwe nieprzyjemności. Weszła więc znowu do ogrodu, przekręciła klucz w zamku i włożyła go do kieszeni z zamiarem oddania go jutro właścicielowi.

Robert widział wszystko i zgrzytnął zębami.

— Czemu nie mam tu mego noża! — pomyślał po raz drugi. — Ta niegodziwa dziewczyna zabrała mi mój klucz i ja siedzę tu, jak w łapce. Nie wiem, jakim sposobem wydostanę się ztąd!

Gdy się Nora dostatecznie oddaliła, wyszedł z swego ukrycia i próbował przejść przez mur, ale poznał wnet, że to daremne usiłowania. Mur, wysoki i szeroki, pokryty nadto u góry potłuczonem szkłem, był wprost niemożliwym do przebycia. Robert znajdował się rzeczywiście w bardzo niemiłem położeniu i już uważał wszystko za stracone, gdy nagle spostrzegł niezbyt wysokie drzewo, którego gałęzie spuszczały się po za mur. Ucieszony niezmiernie tem odkryciem, wdrapał się jak kot na pień drzewa i spuścił się ostrożnie po gałęziach na ulicę. Teraz był ocalony, ale przygody jego nie skończyły się dziś jeszcze, biegnąc bowiem po schodach do swego pokoju, pośliznął się i upadł, a wywołane tem stuknięcie rozległo się głośno po opustoszałym domu.

— Jeszcze mi tego było potrzeba, — szepnął przestraszony. — Henryk obudził się z pewnością i gotów mnie ztąd wyrzucić!

Przez kilka minut stał nieporuszony, nadsłuchując, czy Henryk nie przyjdzie, ale gdy się żaden szelest nie dał słyszeć, poszedł spokojnie na górę.

Najwięcej gniewało go teraz to, że listu Lucyana przeczytać nie mógł. Szalona ciekawość męczyła go od chwili, w której list ujrzał — teraz miał go w rękach i musiał czekać do jutra, bo lękał się zapalić świecy, aby kto zdaleka światła w pokoju nie widział. Pocieszał się jedynie tem, że za kilka godzin będzie już dosyć jasno, i zmęczony, rzucił się na swoje posłanie i otulił się kołdrą. Był on niezmiernie wytrwały, pod każdym względem, ale i natura ma swoje prawa, pomimo bowiem, że chciał jeszcze czuwać ze strachu przed Henrykiem, usnął natychmiast.

Obawy jego nie były próżnemi. Zaledwie spał godzinę, zbudził go szelest na schodach, i młody złoczyńca zerwał się w okamgnieniu na nogi.

— Pewnie Henryk idzie do mnie, — rzekł sobie w duszy.

I nie mylił się.

Henryk słyszał wracającego Roberta, a nie wiedząc, że on tu także mieszka, drżał ze strachu na myśl, że to może policya rewiduje dom. Gdyby go tu znaleziono, zabranoby go na odwach, a włóczęgi niczego się tak nie boją, jak badania policyi! I biedny sieroty płakał i z śmiertelną trwogą czekał chwili, w której ujrzy przed sobą hełm żandarma. Ale w całym domu zupełna teraz panowała cisza.

A zatem nie mogła to być policya, więc chyba złodziej albo ktoś bezdomny, szukający tu przytułku.

Henryk lękał się policyi, ale zresztą był nadzwyczaj odważny. Skoro nie widział żandarmów i hełmów, odważał się na wszystko, to też postanowił natychmiast przekonać się, kto o tej porze mógł wejść do próżnego domu. Zapaliwszy więc kawałek świeczki, tkwiącej w butelce, postawił ją na schodach i wyszedł do ogrodu. Ale tu wszędzie było ciemno i cicho, w żadnem oknie nie ujrzał światła. Nagle jednak zauważył, że drzwi do sieni były wyłamane, i teraz nie wątpił już ani na chwilę, że ktoś jeszcze w tym domu mieszka.

— Ale kto to mógł być?

Nie namyślając się długo, wszedł na schody i zobaczył też zaraz na stopniach, grubo pyłem pokrytych, ślady stopy ludzkiej. Nieco dalej widać było wyraźnie, że ktoś tu upadł, na schodach bowiem leżał jeszcze liść, na którym się Robert był pośliznął. Henryk był już teraz na ostatnich stopniach i zaraz potem otworzył drzwi wiodące do pokoju swego współlokatora.

Robert tymczasem słyszał go idącego i zerwawszy się z posłania, wyjął swój długi nóż kuchenny.

— Niech się dzieje co chce, — powiedział sobie stanowczo, — on nie może mnie tu spotkać. Wszystko byłoby stracone, a dla niego nie myślę wyrzekać się milionów!

Ścisnął więc kurczowo nóż w dłoni, a oczy jego szatańskim zaiskrzyły się blaskiem. I stanął przy drzwiach z mocnem postanowieniem nie wpuszczenia tu Henryka. Szelest kroków zbliżał się coraz to więcej, przez szczelinę w drzwiach było już widać płomień świecy.....

Teraz otworzyły się drzwi i Henryk wszedł do pokoju, nie widząc ukrytego za drzwiami Roberta.

ROZDZIAŁ 23.

Postąpiwszy krok naprzód, obejrzał się chłopiec ciekawie po pokoju, ale nie wiele mógł widzieć, gdyż w tej chwili podniósł Robert rękę i z nadzwyczajną zręcznością ugodził nożem. Uderzenie to było tak silne, że ostrze noża zatopiło się aż po rękojeść w plecach nieszczęśliwego chłopca. Krzyknął raz tylko i padł na podłogę, świeca zaś, którą trzymał w ręku, wypadła i zgasła.

Teraz uderzył go Robert po raz drugi w szyję. Krew trysnęła strumieniem z okropnych ran — Henryk krzyczeć już nie mógł, tylko ciało jego drgało konwulsyjnie.

Młodemu zbrodniarzowi występował zimny pot na czoło. Twarz i ręce miał zbroczone krwią swej ofiary, a błędne jego oczy patrzały na ciało zamordowanego tak, jak gdyby nie widziały nic, nic...

Promyk księżyca, który w tejże chwili ukazał się z za chmury, przecisnął się przez szparę w okiennicy i oświecił leżące w kałuży krwi ciało biednego Henryka.

— Nie żyje! — rzekł Robert głośno.

Żalu nie uczuł żadnego. Gdy ochłonął z przerażenia, jakie na nim wywarł widok krwi, otarł nóż i schował go do szafki. Czy Henryk go poznał, czy nie, to mu teraz już wszystko było jedno.

Całe postępowanie to było nietylko najlepszym dowodem zdziczenia i niegodziwości tego okropnego chłopaka, ale nadto objawiało jego niezrównaną zręczność i oględność pod każdym względem.

Wolno, z namysłem, jak gdyby się zbierał do najzwyczajniejszej w świecie roboty, przeszukał najpierw kieszenie swej ofiary i gniewnie zmarszczył czoło — nic bowiem w nich nie znalazł. Potem wziął swoją wełnianą kołdrę, owinął nią ciało, i wziąwszy na plecy okropny ten ciężar, zeszedł z nim do ogrodu. Tutaj złożył go na ziemi, poszukał starych taczek, które dnia poprzedniego znalazł w krza-

kach, i których już użył na zwiezienie suchych liści na posłanie dla siebie, i wrzuciwszy w nie trupa, wyjechał na ulicę.

Jak gdyby silna wola dodawała mu mocy fizycznej, pchał taczkę z tym znacznym ciężarem tak prędko, że aż sam się dziwił, w jak krótkim czasie stanął na owej ścieżce, wiodącej na brzeg Marny. Sucha, gładka droga ułatwiała mu zadanie — nie zatrzymując się więc prawie wcale, popędził dalej aż do gęstych krzewów, rosnących nad rzeką. Tu zdjął wełnianą kołdrę z trupa, zepchnął go w wodę i wrócił szybko do domu. Taczkę i kołdrę ukrył w ogrodzie.

Przybywszy do swego pokoju, w którym to straszne popełnił morderstwo,zabrał nóż, zeszedł do sklepu i śmiertelnie zmęczony rzucił się na słomę, na posłanie Henryka. Przez kilka minut czuł się niezmiernie przygnębionym, ale nie był to żal i skrucha, tylko nadludzkie niemal wysilenie i znużenie. Było to zresztą pierwsze jego morderstwo — i chociaż sumienie milczało, to jednak nerwy odzywały się z całą potęgą.

Pomimo to usnął wnet kamiennym snem i to na tej samej słomie, na której przed kilku godzinami usypiał nieszczęśliwy Henryk!

Około czwartej obudził się, i zaczął natychmiast usuwać wszystkie ślady swej zbrodni. Najpierw wyrzucił z swego pokoju skorupy potłuczonej flaszeczki, a następnie zebrawszy w ogrodzie pełen miech suchych liści, posypał niemi podłogę, pokrytą strumieniami skrzepłej krwi. Na schodach nie było ani śladu krwi, za to kołdra była cała nią przesiąkła. Robert zwinął ją mocno i wrzucił w głęboki zbiornik wody w ogrodzie, taczkę zaś wyczyścił starannie i postawił ją w ogrodzie na dawnem ich miejscu.

Najściślejsza rewizya nie byłaby tu znalazła nic podejrzanego, chodziło teraz tylko jeszcze o to, że Robert sam musiał się umyć, lecz na to nie miał wody. Ponieważ jednak bardzo jeszcze było wcześnie, przeto zabrał swoje świąteczne ubranie, pobiegł nad rzekę, i wrzuciwszy skrwawione rzeczy wraz z kilku kamieniami w wodę, wykąpał się sam i ustroiwszy w nowy surdut, wracał spokojnie do swego mieszkania. Nikt nie byłby w nim poznał tego samego chłopaka, który przed trzema godzinami pchał taczkę z trupem ku rzece. Nie zapominając jednak o niczem, zacierał butami ślady, jakie koło taczki zostawiło. Przybywszy do swego pokoju, stanął jak zwykle przy oknie, nie przyszło mu bowiem ani na myśl, aby unikać miejsca, w którem popełnił morderstwo. Był on raczej dumny z swego dzieła!

Wiedział na pewno, że zbrodnia ta nie wyda się nigdy. Kto bowiem miał się pytać lub szukać biednego sieroty Henryka? A chociażby i znaleziono trupa, kto może jego o morderstwo posądzić? Matka prosiła go wprawdzie, aby nie „przelewał krwi,“ ale inaczej być nie mogło! Postanowił jednak nie wspominać o tem nikomu, nawet wobec Alfonsa i Loli chciał milczeć!

Teraz też nareszcie zabrał się do przeczytania znalezionego listu, przez kilka godzin bowiem zupełnie o nim zapomniał.

— Ah, to ten wielbiciel panny Garrel, — pomyślał, — o którym notaryusz rozmawiał z hrabią Noirville! Biedny rozpacza nad utratą ukochanej! Ale chce się z nią widzieć — no, trzeba będzie podsłuchać ich rozmowę!

W tejże chwili rozległ się dźwięk klasztornego dzwonu, i Nora z Helenką wybiegły do ogrodu.

— Niepotrzebujemy się spieszyć, — rzekła Nora smutnie, — listu już tam nie ma.

— Zkąd wiesz o tem? — zapytała Helenka zdumiona.

— Bo go nie znalazłam.

— Jakto? Kiedy go szukałaś?

— Dziś w nocy!

Helenka własnym nie dowierzała uszom.

— Dziś w nocy! — krzyknęła przerażona. — I nie bałaś się?

— Nie! Czego miałam się bać?

— Ach, jabym za nic w świecie nie wyszła w nocy do ogrodu! Ale może nie szukałaś dosyć dokładnie!

— Owszem, przeszukałam trawę z obydwóch stron muru, sądzę jednak, że Lucyan sam spostrzegł, że list zawisił się na gałęzi i nie chcąc, aby się dostał w obce ręce, przyszedł po niego wieczorem.

— Może być, musimy przecież upewnić się do tego..... — szepnęła Helenka, — w każdym razie niepokoi mnie ten list! Dziś wychodzimy do lasku, może Lucyan będzie się starał zobaczyć nas. Wtedy wszystko się wyjaśni!

— Ale ja nie chcę go widzieć, — zawołała Nora. — Nie mogę! Nie mogę!

Helenka milczała, lecz postanowiła sobie, korzystać z każdej sposobności zobaczenia Lucyana. Byłaby może postąpiła inaczej, gdyby była wiedziała, że Nora ma klucz od drzwi ogrodu, Nora jednak nic o tem nie mówiła. Ponieważ nikt o klucz nie pytał, przeto schowała go do swej komody i zapomniała o nim.

W sercu biednej dziewczyny walczyły dwa uczucia — gorąca miłość dla Lucyana i obowiązek posłuszeństwa względem zmarłego ojca. A ponadtem jeszcze górowała straszna obawa, że Gaston zabije Lucyana, jeżeli pozna w nim swego rywala.

I dlatego musiała unikać ukochanego!

ROZDZIAŁ 24.

Przy śniadaniu zapytała Matka Przełożona Nory i Helenki, czy chcą iść na wspólną przechadzkę do lasku.

— Bardzo chętnie! — zawołała Helenka żywo.

— Co do mnie to wolałabym zostać w domu, — rzekła Nora. — Kilka pensyonarek z drugiej klasy muszą zostać za karę, więc uważałabym na nie.....

— Siostra Jadwiga zostanie przy nich! — przerwała Przełożona.

— Siostra Jadwiga mówiła mi właśnie, że nie czuje się dziś zupełnie zdrową, i że przeszłaby się chętnie!

— W takim razie zastąpi ją siostra Urszula!

— Wybornie! — zawołała Helenka. — Ja się już tak cieszyłam na tę przechadzkę, bo przeszłego piątku tak padało! Od dwóch tygodni nie byłyśmy w lasku!

— Więc dziś tam pójdziemy, — rzekła Przełożona z uśmiechem. — Wiem, jak lubicie lasek! Ale Nora musi iść także, wkrótce rozłączycie się na długo, korzystajcie zatem z tych kilku dni, jakie tu razem jeszcze przepędzicie!

— Niestety! — westchnęła Nora i oczy jej napełniły się łzami.

— Dostałaś już odpowiedź od twej matki? — spytała Przełożona Helenki. — Będziesz druchną Nory?

— Nie, mama jeszcze mi nie odpowiedziała!

Śniadanie skończyło się, i obie przyjaciółki poszły po kapelusze i rękawiczki.

— Gniewałam się na ciebie, — rzekła Helenka, marszcząc białe czoło.

— O co?

— Że chciałaś zostać w domu!

— Tak, bo nie mogę spotkać się z Lucyanem!

— Ale tak być musi! Jestem przekonaną, że on przyjdzie za nami.

Nora nic już na to nie odpowiedziała, i kilka minut później wychodziły wszystkie pensyonarki parami na dziedziniec.

Robert, stojący ciągle przy oknie, uznał teraz za stósowne wyjść także. Zbiegł więc szybko na dół, i gdy pensyonarki wyszły z bramy klasztornej, był on już na ulicy St. Honore. Tutaj zaczekał nieco, a potem, włożywszy ręce w kieszeni, szedł za panienkami tak spokojnie i niedbale, jak gdyby go nic w świecie nie zajmowało.

I nikt też nie zwracał uwagi na młodego chłopaka, który pogwizdując cicho wesołą piosenkę, popełnił przed kilku godzinami tak okropną zbrodnią.

Helenka bardzo dziś była ożywiona. Mówiła dużo, oglądała się uważnie na wszystkie strony i nagle uśmiechnęła się zadowolona, spostrzegła bowiem w niewielkiej odległości Lucyana!

— Nie powiem Norze, — pomyślała, — bo gotowa mi uciec!

Ale i Robert spostrzegł młodego doktora, i zwolnił kroku, chcąc wszystko jak najdokładniej obserwować. Gdy pensyonarki weszły do lasku, przeskoczył przez rów dzielący główną drogę od lasu i zakryty drzewami i krzewami,, szedł równolegle z Norą i Helenką, ciekawy niezmiernie, jak i gdzie spotkają się z doktorem.

I nie długo potrzebował na to czekać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

W 43-cią rocznicę.

(Wspomnienie historyczne.)

Naród polski niegdyś wolny, szczęśliwy i potężny, przy końcu ośmnastego wieku osłabł i podupadł, jak wiele wówczas innych narodów, osłabienie to jednak zaszkodziło mu bardziej, niż innym, gdyż graniczył z Prusami i Rosyą, które były mocarstwami zabor-



Generał Edmund Taczanowski
dnia 29-go kwietnia r. 1863 odniósł świetne zwycięztwo pod Pyzdrami. Powstańcy przez 9 godzin stali w ogniu a gdy kosynierzy rzucili się pod dowództwem Francuza Ganier na szeregi nieprzyjacielskie, Moskale uciekli, straciwszy 100 zabitych.

Bitwa pod Ignacewem w okolicach Gopła, stoczona dnia 8-go maja 1863 r., należy do największych w powstaniu. Oddział Taczanowskiego liczył nie wiele więcej nad 1000 ludzi, Moskali było 6000. Polacy walczyli jak lwy, ale Moskale mieli 8 armat i przemagali siłą. Kosynierzy dzielnie się odznaczyli, jednakże ponieśli nasi klęskę. Padło 150 powstańców, licząc w to 26 żywcem spalonych, straty moskiewskie wynosiły najmniej 400 zabitych. Srogich okrucieństw dopuszczała się gwardya moskiewska, mordując rannych Polaków. Dnia 10-go czerwca zaszła jeszcze druga bitwa pod Ignacewem. Dnia 26-go sierpnia zniósł Taczanowski do szczętu oddział konnicy moskiewskiej pod Sendziowcami w Sieradzkiem, lecz w trzy dni później poniósł klęskę pod Kruszyną, poczem złożył dowództwo i wyjechał za granicę.

czemi. Rządy tych państw zawsze zawistnem okiem patrzyły na wolność polską, a chciwem na żyzne łany nasze, skorzystały więc z osłabienia Rzeczypospolitej polskiej i przypuściwszy do spółki Austryę, rozebrały Polskę pomiędzy siebie. I zdawało się im, że Polska zgnębiona na wieki, że naród polski zniknie z powierzchni ziemi i zamieni się w Niemców i Moskali.

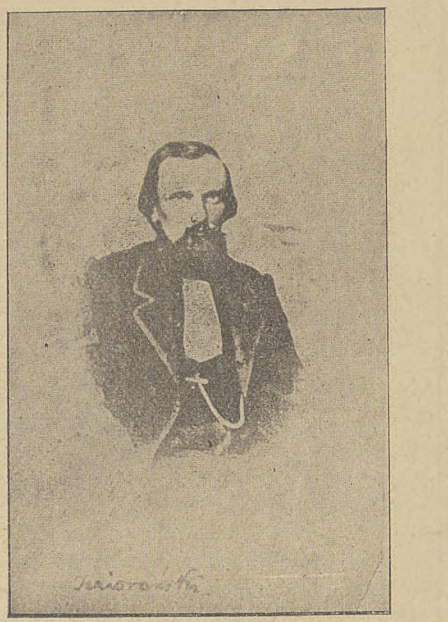
Tak się naszym wrogom zdawało, ale tak nie było wcale. Upadła Rzeczpospolita polska, ale pozostała polska ziemia, a na niej naród polski, który ani chciał ani mógł umierać. Rozpoczął się tylko dla niego nowy okres życia, nowy okres dziejów, okres męczeński. Jeszcze się zaborcy nie zdołali rozgospodarować na ziemi naszej, a już we Włoszech ozwały się trąby legionów pieśnią nadziei, pięknym naszym hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła‟.

Legiony, było to wojsko polskie, które pod wodzą generała Jana Henryka Dąbrowskiego, a opieką ówczesnej Rzeczypospolitej francuskiej, uformowało się we Włoszech w tej nadziei, że walcząc razem z Francuzami za wolność, powróci na ziemię ojczystą i odzyska wydartą jej wolność i niepodległość. I odtąd rozpoczęła się walka pomiędzy narodem polskim, a jego zaborcami.

Ucisk braci naszych pod Moskalem stawał się coraz srozszym i wywołał wreszcie powstanie 1863 i 64-go roku.

W roku 1856 wskutek nieszczęśliwej wojny, jaką Moskwa stoczyła z Turcyą, Anglią i Francyą, oraz upadku Sebastopola, fortecy moskiewskiej w Krymie, znikł urok potęgi, jakim przedtem państwo carów przerażało Europę.

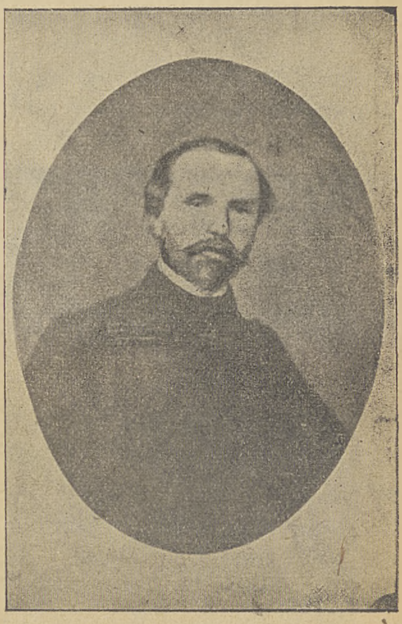
Tak samo, jak w ostatnim czasie



Generał Jeziorański
dał się tęgo Moskalom we znaki, pobiwszy ich między innemi pod Kobylanką nad galicyjską granicą. Moskale utracili 60 zabitych i rannych, a Polacy mniejszą liczbę. Dnia 6-go maja 1863 r. stoczono pod Kobylanką drugą bitwę, jeszcze więcej zaciętą.

z powodu wojny japońskiej, przekonano się, że potęga moskiewska na kruchych stoi podstawach.

Równocześnie na tronie francuskim zasiadał cesarz Napoleon III., bratanek Napoleona Bonapartego, pod którego wodzą walczyły nasze legiony i którego imię tak było popularnem w Polsce, iż weszło do naszego hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła‟.



Kazimierz Mielęcki,
jeden z najdzielniejszych dowódzców powstania, bił się mężnie pod Izbicą. Mieczownicą, Lądkiem, Kazimierzem i Ślesinem. Ciężko ranny udał się do Księztwa, gdzie w Mamliczu pod Barcinem zakończył życie dnia 10-go lipca 1863 roku.

Napoleon III. wzbudzał tem większe nadzieje wśród Polaków, gdy jawnie ogłaszał się ich nieprzyjacielem, a nadto głosił zasadę, iż każdy naród powinien być wolnym i niepodległym; a nietylko głosił ją słowem, ale czynem, odebrawszy bowiem w roku 1859 Austryi część północnych Włoch, Lombardyę, oddał ją Włochom i zapoczątkował powstanie Królestwa włoskiego, wolnych Włoch, które przedtem rozdarte były podobnie jak Polska, na kilka części i srodze uciśnione.

Wkrótce potem generał i patryota włoski Józef Garibaldi, zebrawszy tysiąc ochotników, wylądował na wyspie Sycylii w południowych Włoszech, oswobodził je w ciągu kilku tygodni i złączył z wolnem królestwem włoskiem.

Wypadki te wpłynęły orzeźwiająco na naród polski, a to tembardziej, gdy w Polsce dorastało nowe pokolenie, które uważało za swój obowiązek torem

ojców rzucić się do rozkucia kajdan ojczyźnie i uwolnienie jej od nieznośnej niewoli.

Rozbudzone życie narodu zaczęło się wkrótce objawiać noszeniem polskich ubrań, obchodzeniem rocznic narodowych i śpiewaniem pieśni religijno-narodowych.

Manifestacye te, mimo swej łagodności, spotkały się z prześladowaniem we wszystkich dzielnicach Polski, a w zaborze moskiewskim z bronią i nahajką carskich żołdaków.

Nastąpiły dnie pełne pogardy życia, pełne męczeńskiego męstwa i poświęcenia, owiane wiarą w potęgę Opatrzności, w skuteczność krwi bezbronnych, przelanej dla wiary i Ojczyzny.

Dnia 27 lutego 1861 roku obchodziła Warszawa rocznicę bitwy pod Grochowem, stoczonej w roku 1831. Gdy lud w procesyi, z krzyżami i chorągwiami, przeciągał przez ulice miasta, uderzyło na niego wojsko moskiewskie. Lud padł na kolana i śpiewając pieśni nabożne, konał pod razami carskich siepaczy, lecz chociaż bezbronny, nie zachwiał się i nie ustąpił.



Pułkownik Marcin Borelowski, znany pod nazwą Lelewela
był rzemieślnikiem. Zebrawszy mały oddział, udał się na Podlasie, a później w Lubelskie. Dnia 24-go marca stoczył zaciętą bitwę pod Krasnobrodem. Tu pewien kosynier, otoczony przez kilku żołnierzy moskiewskich, położył ich sześciu trupem, a wtem cięty pałaszem w głowę, pada na ziemię. Po chwili jednakże, choć śmiertelnie ranny, zrywa się, zabija jeszcze siódmego Moskala, aż przebity bagnetami, ginie dzielny wojownik. Lelewel mianowany za męztwo pułkownikiem, zginął pod Batorzem dnia 6-go września 1863 r.

Dzielna postawa bezbronnego ludu zrobiła wrażenie na moskiewskim rządzie do tego stopnia, iż na kilka dni zapanował jakby rodzaj zawieszenia broni; wojsko moskiewskie cofnęło się z ulic i placów Warszawy, utrzymanie porządku oddano w ręce straży obywatelskiej, a ofiary rzezi pozwolono uroczyście pochować. Niedługo jednak trwał ten stan rzeczy. Już dnia 8-go kwietnia 1861 roku zarumienił się na nowo bruk Warszawy krwią bezbronnego ludu. W dniu tym widziała Warszawa sceny, którym równych nie znajdzie w ludzkości dziejach. Oto gromada ludu, w procesyonalnym pochodzie, posuwa się przez plac zamkowy. Na czele jej ksiądz z podniesionym do góry krzyżem. Carska piechota rzuca się na ten zastęp. Ksiądz pada pod pchnięciem bagnetów, lecz krzyż wznosi się zwycięsko, chwycony ręką młodego studenta, a gdy i tego ciężko raniono, wysuwa się z tłumu brodaty Izraelita, porywa krzyż i upaść mu nie pozwala, dopóki sam nie padł, przeszyty bagnetem.



Rotmistrz Pieniążek,
dowódzca ułanów generała Edmunda Taczanowskiego, dzielny żołnierz, był postrachem Moskali i dał im się nieraz dobrze we znaki.



Henryka Pustowojtówna.
W ruchu powstańczym 1863 r. brały niezwykły udział kobiety. Najwięcej wsławiła się z niewiast w powstaniu Henryka Pustowojtówna, której ojciec był Rosyaninem a matka Polką; choć wychowana w religii prawosławnej, była duszą i sercem polską patryotką. Walczyła w szeregach powstańczych pod dowództwem Czachowskiego; odznaczyła się takiem męztwem, jak rzadko który żołnierz i szła śmiało wśród gradu kul na nieprzyjaciela; zachowanie jej w obozie było wzorowe.

I stało się, że przy tym krzyżu skupiły się wszystkie warstwy, zawody i wyznania narodu polskiego, gdyż dotąd imię Polski jednoczyło je do wspólnej walki za wolność i niepodległość.

Wkrótce utworzył się tajny rząd polski, który pod nazwą Komitetu Centralnego wnet całą Polskę wpływem swoim ogarnął. Komitet centralny nie zamierzał wcale zaraz orężnej walki rozpoczynać, lecz wziął się do rzeczy mądrze i przezornie. Pokrył kraj cały siecią tajnej, wybornie urządzonej organizacyi, a równocześnie wpływami swoimi sięgnął w łono społeczeństwa moskiewskiego i w szeregi armii carskiej, gdzie łatwiej, niż się tego można było spodziewać, pozyskał liczne zastępy oddanych sprawie powstania.



Karol Libelt, szeregowiec,
syn sławnego filozofa, poległ w bitwie pod Brdowem dnia 1-go maja 1863 r., zabiwszy poprzednio 7 Moskali.

Chcąc rozpocząć walkę orężną z pewnością powodzenia, trzeba było, wobec braku armii narodowej, przedewszystkiem, jeżeli nie pozyskać, to przynajmniej tak usposobić wojsko carskie, by się wcale bić nie chciało.

Było to nader trudne zadanie, wymagające bardzo długiego czasu, tak samo, jak i przysposobienie się do boju, zgromadzenie broni i przygotowanie ochotników.

Przecież prace Komitetu Centralnego chociaż zwolna, postępowały naprzód.

Komitet wytknął sobie dwa cele: niepodległość Polski i oswobodzenie

ludu rolnego od pańszczyzny, którą lud ten wówczas w zaborze rosyjskim jeszcze odrabiał, pomimo, iż od długich lat obywatele, a później warszawskie Towarzystwo rolnicze starało się o jej zniesienie. Rząd carski znieść jej nie chiał, bo służyła mu do utrzymania nieufności i zawiści w narodzie polskim.

Od czasu, gdy Komitet Centralny objął władzę i rozpoczął swą pracę, zaniechano głośnych manifestacyi i zdawało się na pozór, że Polacy zwątpili o swej sile i poddali się losowi. Rząd carski jednak czuł, że pod tym spokojnym pozorem wre i kipi, że naród polski myśli o swojej przyszłości.

Policya moskiewska z całą armią szpiegów śledziła pilnie za sprzysiężeniem. Tysiącami ludzi zapełniała więzienia, tysiące dręczyła w warszawskiej cytadeli. Wszystko na próżno — wyborna organizacya narodowa, mająca wszędzie swoich ludzi, we wszystkich urzędach i wśród samej nawet policyi i żandarmów moskiewskich, udaremniała wszelkie poszukiwania. Aż wre[...]cie znalazł się człowiek, który wymyślił sposób nie na wykrycie sprzysiężenia i jego organizacyi, ale na zadanie im śmiertelnego ciosu. Człowiekiem tym był naczelnik carskiego rządu cywilnego w Polsce, margrabia Wielopolski. Ten powiedział sobie: bez młodzieży nie będzie powstania, a na młodzież mamy brankę.

I wyszedł tajny ukaz, nakazujący pobór do wojska wszystkich młodych ludzi zdolnych do noszenia broni. Służba w wojsku moskiewskiem trwała wówczas 25 lat, ukaz ten więc znaczył tyle, co pozbawienie narodu całej męskiej młodzieży. Teraz trzeba było albo rozpoczynać bój natychmiast bez należytego przygotowania, albo poświęcić całą ówczesną polską młodzież.

Młodzież ta jednak wcale nie miała ochoty iść na całe niemal życie w sołdaty i zaczęła uchodzić w lasy i kryć się w nich mimo mrozów i śniegów, wołając, iż woli ginąć na ojczystej ziemi, niż służyć carowi!

Wówczas Komitet Centra[...] mieniwszy się w tymczasowy r[...]rodowy, ogłosił w dniu 22 st[...] 1863 roku zniesienie pańszczyzny, r[...]ność wszystkich stanów i cały naró[...] powołał do broni.

I zawrzała walka na całym obszarze ziem polskich, uciśnionych przez rząd carski. Po jednej stronie stanęły oddziały powstańców źle uzbrojonych i niewyćwiczonych, pod ogniem nieprzyjacielskim uczących się dopiero mustry i obrotów wojennych; po drugiej armia carska, niemal tak silna, jak ta, która walczyła przeciw Japończykom.

Rok 1863 i 64, to lata bohaterstwa i poświęcenia, pełne czynów zaćmiewających przykłady starożytnego męstwa, dorównujących męczeństwu pierwszych wyznawców chrześciaństwa.

Imię Polski, imię wolności, tak wówczas silnie działało, iż zamieniało małych chłopców w bohaterów, ludzi nieznających rzemiosła wojennego przeistaczało w starych, nieustraszo-

…ki brance, o której wspomn… …żej, rozpoczęło się zawcześnie …leżytego przygotowania. Wsku- …tego z jednej strony brakowało bro- … i innych środków walki, z drugiej lud nie był należycie uświadomiony, nie zrozumiał o co bój się toczy i nie stanął dość licznie pod chorągwiami wolności. Wobec tego tem większa należy się cześć i wdzięczność tym bohaterom i męczennikom, którzy krwią i poświęceniem swojem zmusili cara do zniesienia pańszczyzny.

Moskale, za wydarte ludowi naszemu pieniądze, postawili w Częstochowie pomnik ówczesnemu carowi, Aleksandrowi II-mu i chcą w świat wmówić, że to on lud oswobodził. Jest to fałsz i podłe kłamstwo; car wydał ukaz 2-go marca 1864 roku, bo go wydać musiał, by kres położyć nieustającej walce; prawdziwymi oswobodzicielami ludu w zaborze moskiewskim, to Rząd narodowy i polscy powstańcy, to bohaterowie i męczennicy ostatniej naszej walki orężnej. Im za to, nie carom moskiewskim, należy się cześć i chwała.

E. Ś.

…ranę w głowę od kuli karabinowej
i poległ na placu boju

Dyktatorem się ogłosił,
Lecz pierwej był długo
Bohaterem, i żołnierzem,
I ojczyzny sługą!

Póki góry Świętokrzyskie
Będą w Polsce stały;
Póty imię Langiewicza,
Swej nie zbędzie chwały!

* * *

O Lelewelu.

Jako rycerz, co patrona
Bierze sobie w bitew dymie,
Chrztem żołnierskim Borelowski
Lelewela przyjął imię.

Gromem ono się rozległo
Gdzie Bystrzyca wartko płynie,
A lubelska ziemia dotąd
Szczyci się, w tym dzielnym synie!

Szedłby żołnierz w ogień za nim
Tak to wódz był ukochany!
Trud z nim miły, miłe boje,
Miła mężka śmierć i rany.

Z partyi na ochotę,
— Idźcie bracia! Już my Moskwie
Damy tu robotę! —

I jak burza, tak wpadają
Na armaty wroga —
Poszły w popłoch kanoniery,
Krzyczą: Radi Boga!

Myśli Moskwa, że to Sokół
Wziął ich w te obroty,
Już się walą czarną rzeką
Te piechotne roty...

Stoją mężnie młode zuchy,
Bój się wszczął zajadły...
Do jednego bohatery
W walce owej padły.

Do jednego padły w walce,
Męczeńską drużyną —
Ale Sokół uszedł z swymi.
Tak to u nas giną!

*Obcy piewca *) cześć oddając,*
Takiej męztwa sile,
Nazwał bitwę pod Węgrowem:
— Polskie Termopile! —

Jan Sawa.

---

*) **August Barbier, francuski poeta.**

Z dziejów Humania.

Napisał **Stanisław Tchorzewski.**

2) (Ciąg dalszy.)

Starszyzna Doroszeńki, obiecując Humaniowi przywrócenie dawnego spokoju, chwyta na ten fortel humańskiego pułkownika Jaworskiego, zakuwając go potem w kajdany. To samo spotyka łatwowierną starszyznę kozacką i przedniejszych mieszczan Humania. Turcy bombardują miasto. Obleżeni stawiają dzielny opór. Muzułmanin sypie szańce od strony Grekowa (las ten podówczas ciągnął się aż za rzekę Humankę), zbliżając się do miasta; szańce rosną, równają się już z wałami Humania. Wystrzały grzmią: równocześnie wśród straszliwego łoskotu niewierni wysadzają w powietrze część murów zamkowych. Dzielna załoga łata szczerby, ale podstępny Turek już w mieście; wchodzi do miasta podziemnym tunelem; resztki tych podkopów i dziś jeszcze spotkać możemy.

Załoga Humania mężnie się broni: przy każdem domostwie, wśród krętych zaułków, szaleje straszna walka na śmierć i życie. Poganin nie szczędzi nikogo. Garść junaków walczy rozpaczliwie u wrót miasta, Bramą Raszewską zwanych, ginąc śmiercią bohaterską. Pozostali mieszkańcy chronią się do lochów, ale Turcy duszą ich dymem, rozkładając przy wejściach kurzyska...

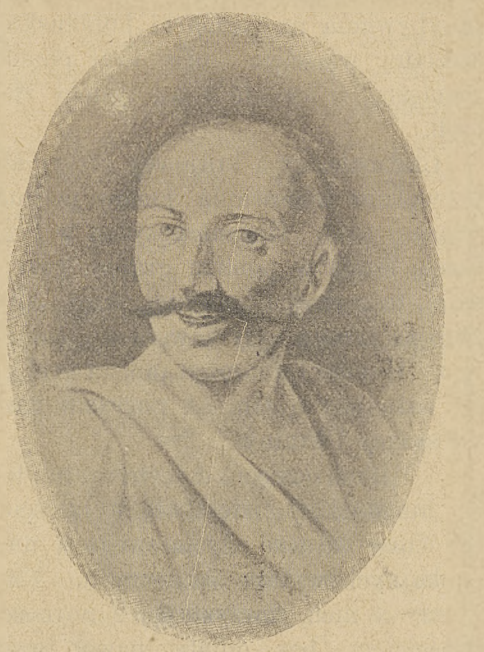
Wypchane skóry z kozackiej starszyzny Turcy posyłają sultanowi, znajdującemu się podówczas pod Ładyżynem. Część Humania między starem miastem a Zofiówką, Turkiem się zowie; utrwala się w tej nazwie tradycya miejsca, gdzie podówczas Turcy obozowali. Dzielnica ta dziś w części już zabudowana, przedstawia się jeszcze teraz dość dziko.

W ten sposób, w r. 1676-ym Humań został do szczętu zniszczony i już do końca XVII-go wieku nie odżył.

Dziejopis ukraiński Wieliczko, przedstawia nam w barwnych słowach żałobne obrazy „kraju pieśni i mogił". Widział tu on grody i zamki bezludne i puste; szczątki wałów i rzędy mogił. Zwierz dziki chodził tu swobodnie. Rozległe pola i stepy bezbrzeżne, zielone dąbrowy, wszystko to człowiek zostawił, kości ludzkie suche i nagie, okryte niebios sklepieniem walały się po dzikim stepie.

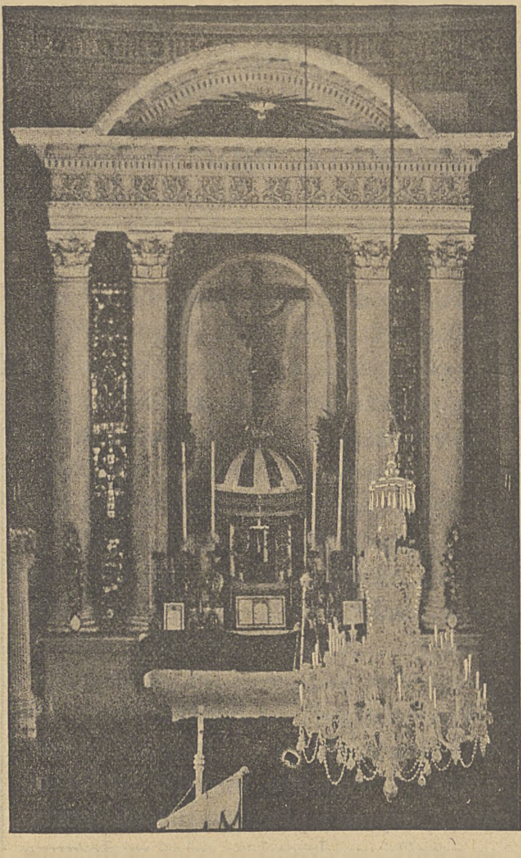
Według dokumentu z r. 1686 miasto leżało w gruzach, mieszkańców nie było, a w okolicy koczowali Tatarzy. Ludność przeniosła się na lewy brzeg Dniepru. Kozactwo na prawym zanikło.

Wiatr wybiela w krwawem polu nieprzykryte kości, rozmiata kupy go-



Iwan Gonta.

rących popiołów, wyje na zgliszczach sierocych — niemych świadkach okrucieństw i rzezi, a wichry niosą żałobny dźwięk teorbanu przez step kurhanami znaczony, sierocym szlakiem dziejowym, aż za brzegi Czarnego morza, na sine fale Bosforu. Zakuci w kajdany na tureckich galarach, nieszczęśliwi, opuszczeni wygnańcy Ukrainy, w szumie wichru słyszeli płacz mogił, niemą skargę rzuconych na stepie kości, lament matek i prorocze słowa wieszczych bardów stepowych — natchnione pieśni lirnika. Zgnębiona dusza tęskniła za ziemią, krwią braci zroszo-



Wielki ołtarz w kościele humańskim.

ną, za futorem wśród jaru, za czerwonym słońca zachodem nad bezbrzeżną stepu równiną; serce rwało się do kraju, gdzie wiele chwil jasnych przeżyło, usuwając śmierć i pożogę ze wspomnień przeszłości...

A wyznawcy Ałłacha trzymali w swych krwiożerczych szponach szarpany od wszystkich szmat ziemi.

II.

W początkach XVIII-go wieku Kijowszczyzna i Bracławszczyzna roją się od band zbójeckich i prostego ludu, pomału ściągającego z za Dniepru.

Humań w początkach XVIII-go wieku przechodzi do rodziny Potockich, co w kilku słowach streszczamy. Mocą traktatu przez Krzysztofa Grzymułtowskiego, wojewodę poznańskiego, w roku 1686-ym w Moskwie zawartego, granice od Zaporoża stanowiły rzeki: Kodyma, Siniucha, Wiś i Taśmin. Kalinowscy wtenczas władali pustynią humańską aż do roku 1726-go.

Córka Marcina Kalinowskiego, Helena, zaślubiona Jakóbowi z Raciborza Morsztynowi, wojewodzie Sandomierskiemu, oddziedziczywszy po ojcu majętności: Humańszczyznę, Mohilowszczyznę nad Dniestrem, Jampolszczyznę i wiele innych, nie mając zaś potomstwa, ofiarowała je krewnemu swojemu Stanisławowi Potockiemu, strażnikowi koronnemu, wojewodzie bełzkiemu, wnukowi hetmana Rewery, „z własnej woli", jak wyrażono w dokumencie.

W roku 1749-ym granice od Zaporoża ściśle nanowo oznaczono i pilnie strzeżono z obu stron.

Potoccy pierwej przemieszkiwali na czerwonej Rusi, w województwie bełzkiem, w Potoku, rodzinnem ich siedlisku, rezydencyę zaś swoją mieli w zamku krystynopolskim. Syn Józefa Potockiego, strażnika wielkiego koronnego, Franciszek Salezy Potocki, dostał włość humańską w darowiznie od stryja swego Stanisława, wojewody bełzkiego.

Ponieważ druga część majętności Kalinowskich, przez stosunki pokrewieństwa z majętnym rodem Sieniawskich, dostała się Potockim, a w tej liczbie majętność tulczyniecka, więc Franciszek Salezy Potocki, wojewoda kijowski, około r. 1750-go odziedziczył w obydwóch ukrainach: kijowskiej i podolskiej około 50 tysięcy rodzin wieśniaków oraz ogromną przestrzeń ziemi i lasów.

W tym czasie zaczęły się ruchy Hajdamaków. W roku 1737-ym wpadają do Humania, rabują miasto i pastwią się strasznie nad żydami, mordują ich

bez litości. W roku 1750-ym 12-go listopada znów nawiedzają Humań. Dzieje więc miasta i okolic zaznaczają się krwawo; przestraszona ludność ucieka, zdążając w stronę Mołdawii i na lewy brzeg Dniepru. Burzliwe czasy zuchwałych Hajdamaków znacznie utrudniają ponowne zaludnienie Humania i okolic.

W roku 1750-ym utworzono pułk Kozaków humańskich dla obrony od napadów ze strony Tatarów budziackich i nohajskich, oraz hajdamactwa zaporozkiego.

„Smutna była postać tego kraju, w świecie najpiękniejszego — pisze E. Raczyński. — Sicz blizka nie dopuszczała szlachcie w wioskach i domu siedzieć. Ziemia była bez pożytku i pustą. Sam człowiek był bydlęciem. Do 500 było już wsi jeszcze za Augusta III Sasa. Wiele pomogło, że złapanych na rabunkach, lub o co obwinionych, nie tracono wprzód, aż po okazanym wstręcie od pieszczącej płci żeńskiej. Przez ten cały czas głoszono lata, winę, prowadzono do przypatrywania się siedzącym w więzieniu. Pospolicie złapani byli ludzie młodzi, czerstwi, silni, zdrowi. Gdy przyszedł czas dekretu, jeżeli sobie upodobała młodzika, która i decydowała się dla niego na żonę, a porwała go z placu, za szyję objąwszy, lub chustkę zarzuciwszy i do cerkwi na ślub prowadziła, przepuszczono po ślubie karę śmierci takim. I do tysiąca gospodarzów, rozstało się z hultajstwem przez ten sposób, i osiadło na wsiach w prowadzeniu życia najspokojniej. Kto nie zyskał takiej decyzyi w ofiarowaniu się mu żadnej na żonę, ginął od kata. Humań porządnem się miastem ujrzał. Most zwodzony wystawiony na rzece H u m a ń c e bezpieczeństwo mu czynił w nocy od Siczy. Bramy zaczęły go okazować mieszkaniem, nie pustką.“

W roku 1760-ym Humań był tak zrujnowany, że przedstawiał tylko rozwaliny, na których stała jedna karczma. Staraniem Franciszka Salezego Potockiego, wojewody i generała ziem kijowskich. Humań został nowo odbudowany. Jako dbały dziedzic, chcąc wskrzesić i podnieść miasto, umyślił, nie szczędząc kosztów, doprowadzić je do takiego bytu, iżby dla ojczyzny przysporzyło sławy, a dla Ukrainy było obroną i przyniosło inne wygody.

Opasano wówczas miasto wysokim częstokołem, wałami i fosą: przy każdej z trzech bram stało po parze armat; trzy mocne bastyony strzegły wałów. Kosztem właściciela wzniesiono „giełdy;“ obszerny ten budynek mieścił w sobie 20 sklepów na składy towarów; zewnętrzne mury mogły być obroną w razie napadów. Handlowali wówczas Rosyanie, Grecy, Ormianie i żydzi. Kupcom cudzoziemcom, dla zachęty przybywania na jarmarki humańskie, szczodry właściciel ofiarował pomoc pieniężną w kwocie kilku tysięcy złotych.

Cudzoziemcy i krajowcy otrzymali pozwolenie budowania domów podług własnej woli. Humańszczyzna w tym czasie leżała w pobliżu granic: rosyjskiej, tatarskiej i tureckiej, więc i siły zbrojne miasta były zawsze w pogotowiu. Handel i dobrobyt miasta szybko się rozwijały a Humań pozyskał nazwę stolicy Ukrainy.

Kilkudziesięciu dzierżawców włości humańskiej mieszkało w mieście, nie chcąc narażać życia swego w niespokojnych wsiach okolicznych. Niektórzy z nich, korzystając z hojności właściciela, bez opłaty nawet wsie dzierżawili.

Miasto otrzymało prawo magdeburskie; ś-to jański jarmark ściągał do Humania liczną szlachtę i kupców z Rosyi, Turcyi i Krymu. Dnia 24-go czerwca przypadało święto doroczne w b. cerkwi unickiej pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, a 29-go czerwca obchodzono uroczystość w kościele.

Szlakiem dnieprowym ciągną do miasta wozy ładowne czumaką z rybą, tranem, solą i serem. Kosztem ówczesnego właściciela powstaje klasztor i sławne szkoły bazylianów.

Zwierzchność zamkowa należała do jeneralnego pułkownika, komendanta miasta Humania, — Gorzewskiego. Naczelnikiem zaś całej włości humańskiej był Rafał Despota Mładanowicz, podstoli smoleński, nazywany komisarzem jeneralnym lub gubernatorem. Jako sierota, pan Rafał był wychowany w domu księcia Jabłonowskiego, i przez niego wojewodzie Potockiemu zalecony.

Garnizon miejski tworzyli Kozacy z pułku konnego. Pułk liczył 2,600 ludzi pod rozkazami pułkownika ze szlachty, obieranego przez dziedzica; trzy seciny Kozaków stały zwykle na zamku w Krystynopolu. Kozacy wybierani byli z majętności Potockich w taki sposób: z pięciu dymów dawano jednego Kozaka, za co uwolnieni byli od robót i powinności. Pułk dzielił się na trzy oddziały, któremi dowodzili setnicy, zostający w zależności od pułkownika; z tych ostatnich najdzielniejszym był Iwan Gonta, chłop, z Rozsuszek rodem, sprytny i bystrego umysłu, umiał on mówić, czytać i pisać po polsku; zostając setnikiem dostał tę wieś w dożywocie, stojąc zaś z Kozakami w Krystynopolu tak się podobał dziedzicowi, że ten dał Goncie jeszcze wieś Oradówkę na dozgonne władanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny)

Napisał Karol Cieszewski.

XXIV.

Puławski i Zaremba.

Idąc za biegiem wypadków, opisaliśmy główne działanie Dumourier'a w Polsce i jego odstąpienie sprawy; a następnie wysilenia niezmordowanego Puławskiego. Wypada nam jeszcze tylko rzucić okiem na wyprawę wielkopolską, podjętą przedtem jeszcze wspólnie przez Puławskiego i Zarembę.

Byli to — jak już raz wypowiedzieliśmy — dwaj najpryncypalniejsi niemal wodzowie konfederacyi. Zaremba jednak był walecznym więcej z wyrachowania, Puławski z czystej miłości ojczyzny.

Charakteryzując Puławskiego, przyznaliśmy mu słusznie przymioty rycerskie i połączoną z tem wyższość nad drobiazgowe uczucia osobistej zawiści; chcąc jednak być zupełnie bezstronnymi, nie pominęliśmy milczeniem i faktów świadczących, że wobec Zaremby waleczny wódz młody poddawał się czasem wyniosłości i krwi burzliwej.

Po owem szkodliwem sprawie nieporozumieniu pod Koniecpolem, gdy Puławski usadowił się w Częstochowie, zniósł się z Zarembą, i ułożyli obadwa wyprawę do Wielkopolski, a to głównie dla tego, że Puławski chciał zyskać na czasie potrzebnym do ufortyfikowania zajętej przez siebie twierdzy.

Moskale przelękli się tego połączenia wodzów, tyle razy szczęśliwych i odważnych. Widząc, że ruszyli na Poznań i mają zamiar opanować to miasto, zaczęli się zbierać w masę, aby temu przeszkodzić.

Tymczasem Zaremba i Puławski zbliżyli się do Poznania.

Nie było jednak zamiarem obudwóch usadowić się w Poznańskiem. Ułożyli się jedynie, ażeby Zaremba trzymał na wodzy Moskali wedle Poznania stojących, podczas gdy Puławski atakować miał miasto. Zamiarem Zaremby było ściągnąć przez to siły nieprzyjacielskie ku sobie, ażeby Puławski miał wolne pole działania.

Podstęp ten udał mu się doskonale. Drewicz uwiadomiony o pozycyi Zaremby, zwrócił się przeciwko niemu — o czem dowiedziawszy się Zaremba dał

znać o tem Puławskiemu, sam zaś — nie chcąc narażać się na bitwę — cofnął się w Sieradzkie.

Puławskiemu jednak, łaknącemu za bitwą, żal było opuszczać Poznania bez wystrzału. Gorący i odważny postanowił atakować i zdobyć miasto, nie zważając wcale na przeszkody.

Rulhiere opisując ten epizod, taką przy tem robi uwagę:

Zachowanie się to posłużyć nam może do ocenienia charakteru obudwu wodzów, służących ojczyźnie z współzawodnictwem, graniczącem z zazdrością. Zaremba wykonując z wojskową ścisłością co dokonać zamierzył, nie dał się uwieść chwilowym zapałem i nie pokusił się nigdy o korzyści, które chwila przyjazna nastręczała; Puławski, więcej gorący, chcąc wyczerpać każde swe powodzenie, docierał do ostateczności z największem narażeniem się, a więc często sam jeden ponosił trudy i niebezpieczeństwa.....

Puławski tedy, pomimo odwrotu Zaremby, atakował istotnie Poznań, zajął przedmieście — chcąc niejako pokazać, że miasto zająć był w stanie — i po nad granicami Śląska powrócił do Częstochowy.

Zastał ją już obwarowaną i w stanie wytrzymania dłuższego oblężenia. Drewicz począł ją niebawem oblegać. Prymas i obecni w Warszawie senatorowie wyprawili za porozumieniem się z królem deputacyę do ks. Wołkońskiego i Wejmarna, z prośbą, aby nie dozwalali wojskom moskiemskim niszczyć świątyni narodowej. Wstrzymano się z oblężeniem i wysłano kuryera po rozkazy do Petersburga — czy zaś wskutek prośby, wątpić się godzi. Powodem wstrzymania tego był prawdopodobnie brak dział oblężniczych i rozrzucenie oddziałów moskiewskich po różnych okolicach.

„Przez ten czas — opowiada autor W. o. k. b. — sposobił się Puławski. A gdy senatorowie błagali posła o wzgląd, patryoci przesyłali amunicyę z Warszawy. I Moskale robili przygotowania. Nietylko zgromadzili większą ilość armat z Warszawy, ale i król pruski przysłał niemałą liczbę dział, moździerzy, kul, bomb, artylerzystów i inżynierów na zburzenie tej mizernej forteczki. Zebrały się kolumny moskiewskie pod wodzą: Czartoryskiego, Rönna, Galicyna, Szachowskiego, Suwarowa i dążyły pod Częstochowę. Od początku grudnia stoczał z nimi utarczki często pomyślne Puławski, w jednej nawet zabrał dwie armaty. Ostatniego dnia tegoż miesiąca podstąpił nieprzyjaciel bliżej, lecz z pola spędzony zajął stanowisko w Rędzinach, wsi o milę od fortecy odległej.“

„Jeneralność troskliwa o całość skarbu częstochowskiego chciała, aby tenże za granicę był wywieziony i na bezpiecznem złożony miejscu; lecz Puławski ufając męstwu swoich i nie chcąc tą oznaką niepewności zatrważać garnizon — mając nadto na uwadze, że ruszenie go z miejsca mogłoby być przez źle życzących za zabor poczytywane i głoszone, nie przyjął tej propozycyi....“

I skutek pokazał, że ufność jego nie była bez podstawy; czego dowiodły przyszłe świetne powodzenia, które w dwóch ostatnich rozdziałach opisaliśmy.

Myśli i zdania.

Na niwach, gdzie nasz ród ma siedlisko, wszystkie szczątki prawdy nabywają się w pocie ducha.

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

28) (Ciąg dalszy.)

W Warszawie mogło się zmienić wszystko, mogły ustępować różne rządy, jedne drugim: pruskie, francuskie i austryackie, mogła cała młodzież uganiać się za wrogiem na polu bitew, mógł i sam książę Józef narażać w walkach życie swe, ale w apartamencie pani de Vauban była zawsze ta sama cieplarniana atmosfera, na kominie buchał ten sam suty ogień, a ona wyciągnięta na szezlongu i szalem koronkowym nakryta, patrzała w sufit, jakby przezeń oczyma swemi czarnemi do nieba przedrzeć się chciała, albo kiedy niekiedy przeglądała robótki ręczne, rozłożone dokoła niej na taboretach.

Wiadomość atoli o niespodziewanem zjawieniu się Szumlańskiego mu-

siała ją snać oderwać od tych zwykłych rozmyślań i niby zajęć, gdyż miała oczy utkwione w podwoje, które się też niebawem otworzyły, i w nich ukazał się przybyły wojak.

— Witaj-że mi, witaj, mój miły! — z uprzejmym uśmiechem zawołała do wchodzącego. — Wieści nowych nam nie przynosisz, gdyż już o zwycięstwach i traktatach wiemy. Ale jakże się miewa *le prince Pepi?*

— Książę wódz zdrów, do usług! — odpowiedział głucho Szumlański — i chciałem właśnie wiadomości tej udzielić kochającej siostrze, ale mi już służba mówiła, że jakoby jej nie zastałem w tem dawnem siedlisku rodziny.

— Jakto? Nie wiesz, że hrabina Tyszkiewiczowa już kilka miesięcy temu wyjechała do Francyi?

— Dowiaduję się o tem obecnie, ale czy wolno wiedzieć także, co było przyczyną tej nagłości i pośpiechu?

ko Szumlański, nie wiedząc już sam, co mówi.

— Pięknie i grzecznie, ani słowa — odpowiedziała na to Francuzka, krzywiąc z niechęcią wązkie swe usta. — Dziwna rzecz jak to wy, panowie, oduczacie się prędko w obozach wszystkich względów przynależnych damom. Doprawdy nie poznaję w panu dawnego swojego powolnego lektora.

Szumlański zarzut ten zrozumiał, ale w piersi jego gotowało się, pięści więc swe zacisnął i szybkim krokiem zbliżając się do sofy, na której spoczywała pani de Vauban, mówił szybko, połykając prawie wyrazy.

— Nie wiem, czy jestem grzeczny, czy nie, ale to wiem, że w piersi mojej obecnie się gotuje i choćby mi tysiąc świadków przed oczy stanęło, zawsze powtarzać będę, że nieprawdą, że fałszem jest, aby hr. Tyszkiewiczowa ks. Talleyranda szczerze i tak dawno kochała.

Czyż w tym pałacyku, w którym mu spłynęło tyle chwil rozkosznych, był jeszcze ktokolwiek, ktoby mu pociechy mógł udzielić, kiedy zabrakło jej, gwiazdy tutejszej?

Unikając zatem ludzi, biegł prędko nad Wisłę, a gdy na brzegu jej stanął, skręcił na prawo, kask swój zdjął z pałającej głowy, pięścią gwałtownie w czoło się uderzył i tonem goryczy zawołał:

— Och! głupi, głupi, głupi i jeszcze raz głupi!

Potem zwolnił trochę kroku, zatrzymał się, pokiwał żałośnie głową i szepnął:

— A więc... wszystko się skończyło.

Następnie, jakby powracając do przytomności z głębokiego wzruszenia, poprawił dłonią stargane swe włosy, kask włożył na głowę i szedł wolno pomiędzy stosami drzewa, ułożonego nad rzeką, nie dbając o to, w którą kieruje się stronę.

Oblicze jego zbladło, jak śnieg, zdawało się wychudło i przeciągnęło odrazu i po marsowej tej twarzy łzy jak groch padać poczęły.

Nie dbał o to, choćby go kto nawet zobaczył płaczącego, jak dziecię, bo cóż dla niego teraz świat i ludzie?

Jak długo tak szedł, sam nie wiedział. Po pewnym czasie znalazł się w nieznanej mu miejscowości, pod wyniosłym pagórkiem, na którym spostrzegł budynek. Nie namyślając się długo, zwrócił ku niemu swe kroki.

Niebawem, zbliżywszy się po wąskiej ścieżce do samego gmachu, przekonał się, że jest obok pałacyku Ujazdowskiego. Rezydencyę niegdyś królewską zamieniono w czasach grozy wojny i potrzeb kraju, na szpital wojskowy. Szumlański wiedział o tem, gdyż na roztaczającym się tutaj placu, nieraz towarzyszył księciu Józefowi przy przeglądach wojskowych. Placem tym skierował się ku alejom Ujazdowskim, nie zastanawiając się, dokąd pójdzie i co w ogóle czynić zamierza.

Kiedy już był przy samej ulicy, ogarnęła go znowu ciężka żałość, a tak mu mocno wżerała się w serce, że niemal sił mu brakować poczynało. Mimowoli, zakrywszy oczy dłonią, oparł się o pień starej lipy, stojącej przy drodze.

Stał w ten sposób nieprzytomny czas jakiś, kiedy nagle uszu jego doleciał cichy głos, wymawiający jego nazwisko.

Dłoń odjął od czoła i rozejrzawszy się dokoła, nikogo nie dostrzegł, bo już i mrok zapadać począł.

— Panie Szumlański — powtórzył znowu ten sam głos.

I oficer nasz, kierując już tym ra-

zem wzrok za dochodzącym go brzmieniem, dojrzał na przydróżku szerokiego gościńca, o kilka zaledwie kroków od siebie, postać niewieścią, ubraną w długi ciemny płaszczyk, obłożony futrem.

Zdziwił się niepomału, ale podszedł ku owej nieznajomej i wpatrzywszy się w jej twarz, zakrytą gęstą woalką i jedwabnym kapturkiem, zaczął powoli poznawać kogoś, co dla niego całkowicie obcym nie był.

— Tak jest, nie mylę się — rzekł wreszcie — wszak to waszmość panna Pieńczykowska!

— Ja, ja, panie majorze. A i dlaczegoż to tak pana zadziwia?

— Jakto! Pani sama, tu, za miastem i o tak spóźnionej porze, przytem pieszo?...

— Nic nadzwyczajnego. Ciocia oddawna pozwoliła mi odwiedzać szpital i pracującym tam siostrom miłosierdzia nieść pomoc pieniężną, albo i ręczną, jeśliby jej potrzebowały, a chociaż zawsze wracam wcześnie, dziś jednak wyjątkowo się zapóźniłam, bośmy jednego umierającego żołnierza na śmierć dysponowały.

Mówiła to tak naturalnym tonem, że Szumlański jeszcze więcej się zdziwił, choć co prawda, dziwić się nie był powinien. W tym czasie bowiem, kiedy mężczyzni wśród narodowych wysiłków nadstawiali swe piersi, czyż kobiety, a szczególniej te, które o obowiązkach swoich pamiętały, mogły siedzieć bezczynnie i z założonemi rękoma?

Pani Sołtykowa, która wraz z mężem nie szczędziła wspólnej fortuny na ogólne cele, nie zdolna jednak była, z powodu przeszłości swej i wychowania, złożyć takiej ofiary z własnych rąk i własnej pracy. Zaledwie po całych wieczorach skubała szarpie dla szpitali, lub dzięki nabytym w rodzinnej tradycyi sekretom, w apteczce swej przygotowywała cudowne balsamy, dryakwie i plastry.

Ewa wszakże, uniesiona patryotycznym zapałem, chciała pójść dalej i skoro do Warszawy poczęto zwozić rannych rodaków, sama zapragnęła ich pielęgnować i życzenie to jasno wyraziła swej opiekunce.

Pani Sołtykowa, uważając żądanie podobne za nonsens, nie zgadzający się żadną miarą z wysokiem stanowiskiem panny Ewy, najpierw na propozycyę samą, jakby na jakiś waryacki pomysł ramionami wzruszyła i dyskusyi nawet w tym względzie prowadzić nie chciała. Ale Ewa miała na nią broń skuteczną, i widząc, że ciocia ani myśli przychylić się do jej woli, korzystając z praw sieroty, która już do prawnej pełnoletności dochodziła, postawiła alternatywę jasno i wyraźnie. Albo opiekunka pozwoli jej wykonać obowiązek, jaki w dzisiejszych czasach dostawał się w udziale każdej Polce, albo, nie mając już żadnego interesu, któryby ją wiązał do świata, natychmiast opuści dom gościnny kuzynów, wdzieje zakonną szatę i poświęci się służbie Bożej.

Dla pani Sołtykowej sama już wzmianka o klasztorze była pogróżką



Pomnik Tadeusza Kościuszki w Milwaukee
odsłonięty dnia 18-go czerwca r. z. Dzień ten był dniem uroczystym nie tylko dla Polonii w Milwaukee, lecz dla całych Stanów Zjednoczonych. Opis odsłonięcia pomnika zamieściliśmy w nr. 30-tym „Pracy" r. z. na stronach 1010 i 1011-tej. Niestety! twórcą pomnika jest p. Trentanove, Włoch, który nawet nie brał udziału w uroczystości. Widocznie nie chciał przypomnieć Polonii amerykańskiej swego nazwiska, z którem związane jest smutne wspomnienie błędu naszych braci za Oceanem, że tej pracy nie powierzyli rodakowi, że Włoch a nie Polak dał im Kościuszkę, że chlubiąc się bohaterem wielkim i pamięcią o nim, nie mogli się nasi bracia w Ameryce jednocześnie pochlubić dowodem wspaniałego rozwoju sztuki polskiej.

nad wyraz bolesną. Jakkolwiek więc niezbyt chętnie, spuszczając jednak ze swej powagi, poczęła paktować z krnąbrną pupilką i ostatecznie pozwoliła jej odwiedzać szpitale, z tem jednak zastrzeżeniem, że udawać się ona tam będzie w pewnych godzinach, w karecie Sołtyków i pod opieką starego kredencerza Jakóba.

Ewa warunek ten przyjęła, ale z powziętą już z góry myślą, że mu nie będzie posłuszną. Inna bowiem będzie jej rola w służbie narodowej, jeśli na miejsce cierpienia zajedzie powozem, jako wielka pani, a inna, skoro podąży jako skromne i nikomu nieznane dziewczę z chrześciańską pokorą i gotowością niesienia ulgi cierpiącym.

W pierwszym razie zapewne, tak lekarze szpitalni, jak i siostry miłosierdzia z uprzejmością przyjmą odwiedzającą ich wielką panią, po salach oprowadzą i za hojny datek podziękują; ale nie dopuszczą jej do niesienia usług osobistych i nie dozwolą własną drobną rączką dotykać ran, często wstrętnych, a nieraz noszących w sobie zarody niebezpiecznej zarazy.

Że zaś właśnie to ostatnie zadanie było pragnieniem rwącej się do poświęceń dzieweczki, za pomocą więc niewieściej dyplomacyi, tudzież względów, jakie już z dawien dawna zaskarbić sobie umiała u starego Jakóba, wymogła na nim, że podjeżdżał z karetą pod dom, znajdujący się przy alejach Ujazdowskich i nie przeszkadzał jej iść samej do pełnienia służby w szpitalu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Grabarzom Kołowiecka.

. . . .

Stare opuszczone grody
Już wam laur wasz nie odrośnie;
I wam też niegdyś wiek młody
Kwitnął podobny tej wiośnie.
Czemuż gdy jej oddech świeży
Wszędzie nowe budzi życie,
Wy same z waszych nadbrzeży
Tak smutnie na się patrzycie?
Zdajecie się pytać wzajem,
Co się z tą świetną spuścizną,
Co z szerokim Chrobrych krajem
Z Sarmacką stało ojczyzną?
Ten sam Wisły strumień płowy
Dotąd w pośród was przemija,
Ten sam odgłos polskiej mowy
Jeszcze się o was odbija!
Te same góry i skały
Otaczają was dokoła,
Samej tylko dawnej chwały
Nic wam powrócić nie zdoła...
Wzruszcie się prochy czcigodne!
Powstańcie stare pradziady
Spytajcie wnuki odrodne
W co poszły wasze przykłady!?
Spytajcie ich, jak bez sromu
Wasze cnoty poniechali,
Zapytajcie głosem gromu,
Gdzie dawną Polskę zadziali?

(„Parchatka" jenerała *Franciszka Morawskiego.*)

Złote myśli.

Ludzie epoki przeszłej, ludzie z duszą wyschłą i niezdolną do zapału, używają wszelkich sposobów, żeby zatrzymać tych, co postępują naprzód.

Restauracya
Zamku na Wawelu.

Dotychczasowy stan robót konserwatywnych i restauracyjnych na Zamku królewskim, dokonanych przez kierownictwo odnowienia Zamku za zgodą Wydziału krajowego w czasie od 7-go sierpnia do końca r. 1905, jest następujący:

Przeprowadzono naprawę i wyrównanie podwórz. Uporządkowano od zewnątrz całe wzgórze zamkowe, dla zabezpieczenia ogrodzono częściowo drutem i poumieszczano tamże tablice z napisem, wzbraniającym niszczenia stoków góry. Ponaprawiano ogrodzenia dróg dojazdowych i dodano brakujące słupy i baryery. Przeprowadzono niezbędne restauracye ubikacyi, przeznaczonych na biura, tudzież mieszkania kierownika, inspicyenta rest. i służby. Umieszczono automat pożarny w miejscu łatwo dostępnem, tudzież urządzono telefon. Ubezpieczono w krakowskiem Towarzystwie Ubezpieczeń dachy i części spalne Zamku. Ustawiono oszalowanie z desek przy wejściu na dziedziniec zamkowy i unormowano sposób zwiedzenia Zamku. Sporządzono planiki sytuacyjne z krótkiemi objaśnieniami pierwotnego przeznaczenia poszczególnych ubikacyi, które zwiedzający nabywać mogą przy wejściu. Porozbierano cały szereg ścian, postawionych przez wojskowość. Wymieniono zgniłe krokwie dachowe, ponaprawiano pokrycie dachówką, ponaprawiano kosze i rynny dachowe, wskutek czego zabezpieczono cały budynek przed zaciekaniem wody deszczowej. Podorabiano brakujące okna i ponaprawiano stare z dodaniem potrzebnych szyb. Wybudowano gromochron na baszcie Senatorskiej. — Poustawiano latarnie w celu ułatwienia strzeżenia Zamku w nocy. Przygotowano zapasy materyałów budowlanych do konserwacyi Zamku i dróg dojazdowych. Na podwórzu zamkowem wybudowano studnię wodociągową.

Równocześnie przeprowadza architekt p. Hendel, jako kierownik restauracyi, przedwstępne roboty, mające na celu badania murów i poszukiwania za zabytkami architektonicznemi, oraz wypracowanie planów restauracyi.

W tym celu uskutecznia się w całym Zamku odbijanie tynków; czynność ta przeprowadzona jest z nadzwyczajną ostrożnością i pod ustawicznym nadzorem.

Przy badaniach tych odkryto już w wielu miejscach pod warstwą tynku kamienne oddrzwia i obramienia okienne, częścią wskutek przebudowań lub czas zniszczone, częścią zaś zupełnie dobrze zachowane. Pochodzą one z różnych epok budownictwa, są między niemi gotyckie, przejściowe w renesans lub czysto renesansowe.

W sali poselskiej odkryto w ten sposób pod wierzchnią warstwą tynku fragmenta fryzu malowanego, a przedstawiającego prawdopodobnie sceny z turniejów.

W części Zamku, obejmującej Kurzą Stopkę, przeprowadzają się badania i odkopywania murów piwniczych, które mieszczą dawne więzienia i przypuszczalnie ujście ze stołpu.

Przy poszukiwaniach znaleziono części kamieni profilowanych, odłamki starych naczyń i kafli, oraz typy cegieł są z największą troskliwością zbierane.

Z polecenia Wydziału krajowego inżynier Vetulani przeprowadził pomiary niwelacyjne wzgórza zamkowego.

Biuro restauracyi zamku uskutecznia kopiowanie planów, zdjęcia i restauracyi zamku, sporządzonych przez architekta ś. p. Prylińskiego, a wypożyczonych obecnie z biblioteki cesarskiej.

W ostatnich dniach rozpoczęto stawianie rusztowań przy bramie wchodowej koło katedry, tudzież od strony ulicy Kanoniczej.

Roboty powyższe prowadzą pod kierownictwem architekta p. Hendla i kontrolą inspicyenta restauracyi, budowniczy p. Kozłowski i majster ciesielski p. Oraczewski, zatrudniając przy tem w ostatnich dniach około 120 robotników dziennie. *K. N. R.*

A po kawiarniach ubolewają filistry...

Jakto — więc rzeczywiście istnieli carowie, którzy w mrocznych komnatach Kremlu krwawemi oczami wpatrywali się w złocone ikony, prosząc o przebaczenie za popełnione zbrodnie, czy może o powodzenie dla tych, które dopiero mieli popełnić? Carowie krwią ludu swojego i rodzin swoich ociekający, nieubłagani, siejący przerażenie w domu i po za domem? Więc istniał synobójca, Iwan Groźny, który mógł dorównać Tyberyuszowi, gdyby posiadał kulturę rzymską?... Więc istniał Mikołaj I., który z balkonu zawołał do tłumu: „Na kolana!“ — i tłum padł na kolana? Istniał choćby Aleksander III., policzkujący oficerów?... Istniał wreszcie ów car zbiorowy, którego tak wspaniale opisał Mickiewicz?

Musieli istnieć, skoro mówi o nich historya, skoro ostatniego z nich pamiętają dobrze ludzie żyjący. I po nich przyszedł Mikołaj II., nad którym dzisiaj po kawiarniach ubolewają filistry, jakby nad pierwszym lepszym szlachcicem, wyrzuconym z folwarku! Co on właściwie dzisiaj znaczy, ten tytularny samodzierżca Rosyi? Opuściła go carowa-matka, owa kobieta ambitna, która manierami trzeciorzędnego dworu tak długo imponowała niemieckim baronom, w mundurach rosyjskich. Myślała, że płomień dziejowy zdmuchnąć można tak, jak świecę, stojącą przy łóżku. A carowa-małżonka? Nic o niej nie słyszymy. I może to jest jej zasługą, tej księżniczki niemieckiej, która zasiadając na tronie rosyjskim, obudziła zazdrość w sercach tylu „Grossherzogin,“ zapisanych w almanachu gotajskim. Nie pokaże mu drogi do ludu, ale może go nie pociągnie na ukryte schody wiodące do kamaryli. A rodzina dalsza? Czy owi stryjowie i wujowie, którzy opłacali groszem publicznym prywatne zachcianki, a teraz, jak zbankrutowani rezydenci, częstują cara ekonomskiemi grubiaństwami, czy oni mają swemu synowcowi służyć za przykład? Chyba za przykład odstraszający. A co mówić o takich Cyrylach i Aleksych, którzy prywatne rachunki z carem chcą załatwiać za pomocą rewolweru?

I ten car stoi teraz wobec ludu, który dla niego jest sfinksem. Co on wie o tym ludzie? On pamięta tylko, że „lud“ zamordował dziadka jego, a wykonał zamach na ojca, pamięta również, jak mu na dziesięć osób z jego otoczenia dziewięć mówiło, że lud to „kanalia.“ Zresztą widywał ten lud na ulicach i słyszał czasem okrzyki jego: „Hura!“ Czy zapytał się kiedy samego siebie, dlaczego ten lud zabił niedyś jego dziadka, potem zaś wykonał zamach na ojca? Prawdopodobnie zapytywał o to i samego siebie i swoich doradców. Gdyby nawet pojął, jakie krzywdy popchnęły lud do targnięcia się na carów, to w sercu syna i wnuka mógł jeszcze mimo to powstać żal, psychologicznie usprawiedliwiony. Żal do ludu, a może nienawiść do „morderców.“ Więc umysł jego na własne pytanie dał zapewne mglistą odpowiedź Hamleta. A doradcy? Ach — ci bez pytania odpowiedzieli mu po raz tysiączny, że to wszystko było dziełem... „kanalii.“

Niezaprzeczenie gdyby car miał wybitne zdolności, silną wolę i pewien polot, zdołałby w tym gąszczu wątpliwości utorować sobie drogę ostrzem krytycyzmu, jak sobie ostrzem siekiery toruje drogę osadnik w amerykańskich lasach dziewiczych pośród splotów lianów. Ale niestety zdolność wybitna, silna wola i polot nie często chodzą ra-

zem, a w tym wypadku nie ma widocznie żadnej z tych zalet mimowolny bohater tragedyi. W życiu prywatnem podobne braki są co najmniej niewygodne, w życiu publicznem zgubne, zwłaszcza w czasach nadzwyczajnych.

Człowiek, co we własnej rodzinie utrzymać nie umie w ryzie rozwydrzonych młokosów, stanął obecnie wobec alternatywy: albo jednem kopnięciem strącić we wspólny dół czeredę biurokracyi, albo lud-olbrzyma chwycić za kark i ugnąć. I znęca się nad nim po prostu ten, kto czegoś podobnego żąda od niego. I czy on winien temu, że takim jest właśnie? Szekspir mógłby godnie na to odpowiedzieć. Za grzechy silnych ojców płacą w dziejach słabi synowie. Jeżeli to jest sprawiedliwe, to sprawdza się z całą grozą przysłowie: „summum jus summa injuria.“ (najwyższe prawo, najwyższa obrona.)

A po kawiarniach ubolewają filistry nad mocarzem świata, nad potomkiem tych, którzy byli stróżami „świętego porządku,“ protektorami chwiejących się tronów. Ubolewają nad niedolą bezradnego cara.

— To niech sobie idzie — powiada wreszcie jeden z nich, rad z pomysłu.

— Ba, ale czy „oni“ mu pozwolą — odrzekł drugi tryumfująco.

I w tej uwadze naiwnej także jest wiele ukrytej prawdy: „oni“ mu na nic nie pozwalają.

H. Josse. „N. R.“

„Losowanie rekrutów“ i „Zdrada i kara.“

(Do illustracyi.)

Czem był Mickiewicz w poezyi, Szopen w muzyce, Matejko w malarstwie, tem był Grottger dla naszego narodu w utworach z pomocą ołówka i kredki dokonanych. Darmo się kusić o odzwiedciedlenie w słowie tych nadziemskich efektów i wrażeń, jakie sprawia każdy karton jego arcydzieł dla nas, gdy je choć w reprodukcyi wiernej oglądamy. Chcąc rysunkową poezyę Grottgera, pełną olbrzymiej wstrząsającej do głębi, a tak niezmiernie szlachetnej tragiki w słowach odmalować, trzebaby jak on być geniuszem i arcywładzcą słowa takim, jakim on był w rysunku. Wiekopomne arcydzieła grottgerowskie „Varsovia,“ „Polonia,“ „Lituania“ i nadziemska jakby kompozycya ostatnia, „Wojna“ obok boskiego natchnienia, którego Opatrzność nie poskąpiła wielkiemu twórcy, dwa cenne mają wspólne klejnoty, których urok każde, nawet prostacze oko w zachwyt wprawia, a temi klejnotami są miłość i prawda.

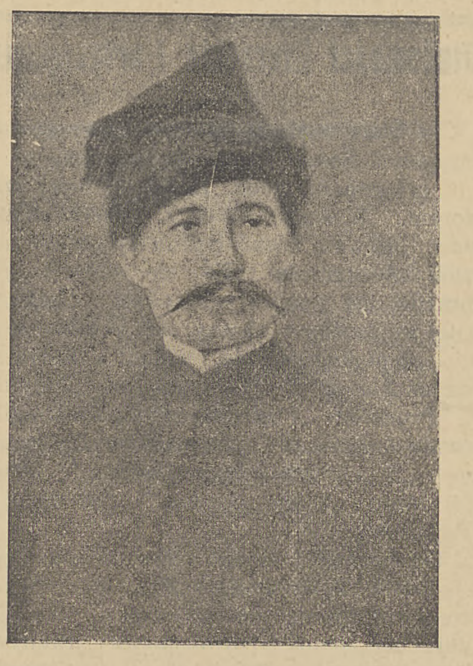
W przeciwieństwie do wielu arcydzieł sztuki, wymagających do zrozumienia szczegółowych objaśnień, mistrzowskie utwory naszego największego rysownika przemawiają od razu swą treścią całą, aby następnie szczegółami dostrzeganemi z kolei potęgować uczucie, jakiemu się na pierwszy rzut oka podlega.

Z cyklu utworów widzimy na illustracyi albumowej „Losowanie rekrutów“ przeznaczonych na pole walki, na trud, na rany, na śmierć może.... Stopniowo coraz potężniej wzruszają nas kartony następujące, a „Zdrada i kara,“ wstrętem nas napełnia do zaprzedańca sprzeniewierzającego się walczącym za uczciwą sprawę towarzyszom. *—ski.*

†

Sp. Andrzej Bobowski

dziecko kościańskie, ma za sobą skromny choć czynny żywot. Kipiała w nim szczera dusza i natura polska, kładąc



† **Śp. Andrzej Bobowski.**
(Klisza sporządzona według fotografii z lat młodzieńczych).

sprawę publiczną i narodową na pierwszym planie swego życia, nawet z zaniedbaniem własnego dobra. Z zawodu rzemieślnik miał w sobie od zarania swych dni żyłkę literacką, to też pisywał nie mało za dawniejszych czasów do „Gońca Wielk.“ oraz do innych jeszcze czasopism. Do „Postępu“ od dawna on pisywał, a styl jego był oryginalny, cięty, kryjący nie mało dowcipu i satyry i gdyby był ten swój talent w tym kierunku rozwijał, toby mógł był stać się uzdolnionym satyrykiem. Sprawę ludową miał zawsze na oku i stawał się jej gorącym zwolennikiem, a również był szermierzem antysemityzmu. Był on jakby urodzony na agitatora politycznego podczas wszelkich wyborów i zawsze chętnie spieszył z pracą podczas tychże. Przed trzema laty podczas wyborów parlamentarnych działał najwięcej na zagrożonych kresach, a nawet na Górnym Śląsku i od tego czasu, jak opowiadał, zarwał na zdrowiu, tak dalece, że oto rychła śmierć przecięła pasmo jego życia.

Nieboszczykowi groziły dwa prasowe procesy, które dla choroby musiano odroczyć. Nie przyszło jednak do zawyrokowania, a teraz po śmierci sam Bóg najlepiej osądzi o ile zawinił.

Podczas walki kulturnej, która zwłaszcza szalała w parafii kościańskiej z powodu znanego proboszcza rządowego Brenka, śp. Bobowski należał do tych parafian, którzy musieli odpokutować swą krewkość i żarliwość za dobrą sprawę we więzieniu i wtedy jeszcze jako człowiek młody zaprawił się najwięcej do sprawy publicznej.

Zmarły posiadał nie mało wrodzonego sprytu i dowcipu i informował się chętnie o wszystkiem. Niestety nie stąpał nieboszczyk po różach za swego życia i walczył ciężko o kawałek chleba. Nie zaznał szczęścia tutaj na ziemi, to oby dobry Bóg obdarował go szczęściem wiekuistem!

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Nasza ofiarność.

Złożyli do dnia 16-go b. m. włącznie:

Na Macierz Szkolną w Królestwie pp. Krause z Wrześni 1 mrk; Józef Wiśniewski z Wrześni 50 fen. w znaczkach.

Dotychczas złożono razem 267 mrk 90 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców

b) dla dziewcząt.

Dotychczas złożono razem dla dziewcząt 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe p. J. Degórski z Grudziądza 1 mrk.

Na „Straż“ p. J. Degórski z Grudziądza 2 mrk.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu

Na elementarze dla biednych dzieci pp. M. Wesołowska 1 mrk; M. Kanikowska 1 mrk; M. Dominiak 1 mrk; W. Andrzejewski 1 mrk; R. Piekarska 50 fen; A. Czyżewska 50 fen; F. Paulus 50 fen; M. Skryntna 50 fen; J. Krych 50 fen; A. Wąs 50 fen; A. Dolata 50 fen; A. Nowaczyńska 50 fen; F. Wesołowski 50 fen; J. Konopińska 50 fen; M. Dekarski 25 fen; A. Sroka 25 fen — wszyscy z Poznania — razem 10 mrk. 50 fen.

Na rodzinę Jana Wyciska p. J. Degórski z Grudziądza 2 mrk; ze Szubina pp. W. Felicka 2 mrk; Sporna 1 mrk; Sądowska

75 fen; Wieczorkiewicz 50 fen; L. Szybowicz 50 fen; Hojnacka 50 fen! Witucka 50 fen., razem po odtrąceniu 25 fen. na portoryum 5 mk. 50 fen.

Dotychczas wpłynęło 85 mrk 15 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go z. m. dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk 10 fen. 50.

Na Weteranów

z roku 1848-go

„ 1863-go

Razem wpłynęło dotychczas 72 mrk 77 fen.

Z tej sumy wysłaliśmy komu należy 48 mrk 20 fen; pozostaje mrk 17,85 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach pp. Michał Szudziński z Gliwic 3 mrk; A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1 mrk. Wpłynęło dotychczas razem 10 mrk.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie

Na głodnych w Królestwie pp. X. z U. 5 mrk; Michał Szudziński z Wągrówca 3. mrk. Razem wpłynęło dotychczas 18 mk.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów pp. Mieczysław Janiszewski 1,00 mrk: Weronika Wędzierska 1,00 mrk; S. B. 50 fen; S. Z. 1,00 mrk. W. T. 50 fen; W. S. 1.00 mrk; N. N. 1,00 mrk; Marcinowski 1,00 mrk p. W. 1,00 — wszyscy z Poznania — razem 8 mrk.

Jeszcze czas odnowić przedpłatę na

„PRACĘ"

na bieżący nowy kwartał, gdyż poczta dostarczyć musi na żądanie zaległe numera.

Numera okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak też w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 mrk. 25 fen.

Od Nowego Roku powiększyliśmy dział powieściowy „Pracy". Odtąd dawać będziemy, jak dawniej, osiem stron powieści.

Pod opaską wynosi prenumerata kwartalna na „Pracę":

w Niemczech oraz w Galicyi i Austro-Węgrzech

2 marki 50 fen.

we wszystkich innych krajach i w Ameryce

3 marki 50 fen.

Kto sobie życzy zaabonować „Pracę" pod opaską z powyżej wymienionych krajów i z Ameryki, niech nadeśle franko do naszej Administracyi powyżej wymienioną poszczególną sumę, a odbierać będzie regularnie od nas przez cały kwartał „Pracę" franko pod opaską.

Nekrologia.

† Ś. p. *dr. med. Kwiryn Michałek*, lekarz praktyczny, dnia 1-go b. m. w Lipsku.

† Ś. p. *Bogusław Krzyżanowski*, dnia 8-go b. m, w Poznaniu w 56-ym roku życia.

† Ś. p. *z Budziszewskich Jadwiga Panowicz*, dnia 8-go b. m w Poznaniu w 21-ym roku życia.

† Ś. p. *z Radeckich Aniela Kranzowa*, dnia 10-go b. m. w Poznaniu w 78-ym roku życia.

† Ś. p. *Wacław Przybylski*, dnia 9 go b. m. w Poznaniu w 25-ym roku życia.

† Ś. p. *Władysław Biegański*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 71-ym roku życia. Pogrzeb odbył się w Potulicach dnia 16-go b. m.

† Ś. p. *Walerya z Brzeskich Brodnicka*, dnia 12-go b. m. w Poznaniu w 63-im roku życia. Pogrzeb odbył się w Popowie kościelnem dnia 16-go b. m.

† Ś. p. *Joanna z Sibilskich Marcinkiewiczowa*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 70-ym roku życia.

† Ś. p. *Józefa Paczkowska*, dnia 4-go b. m. w Ludomach, przeżywszy lat 71. Pogrzeb odbył się dnia 8-go b. m. w Rogoźnie.

† Ś. p. *Józef Tobolski*, asystent i tłomacz sądowy, dnia 7-go b. m. w Międzychodzie, przeżywszy lat 42.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— **Stała wystawa obrazów** Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Bismarka ul. 1 I p. otwarta od godz. 10-tej do 6-tej wieczorem. Wystawa *dzieł J. Męciny-Krzesza* z Krakowa trwać będzie tylko do niedzieli 28 stycznia. Kto nie widział tych obrazów ma jeszcze czas pójść i obejrzeć. Dalej wystawione obrazy: *M. Wywiórskiego* przepiękne pastele, widoki z Księstwa Poznańskiego, *J. Wysockiego*: „Judyta", *T. Popiela*: „Pastuszkom anioł mówił," *Rozwadowskiego*: „Jarmark w Berdyczowie", „Z powinszowaniem Imienin," *Mielżyńskiego*: „Stary pawilon." *Skoczylasa*: „Pejsarze".

Od początku lutego wystawione będą w salonie Towarzystwa Prz. Szt. Piękn. dzieła następujących artystów: *Nałęcza* „pejsarze", *prof. Grocholskiego*: „Studya," *Wywiorskiego* „Pejsarze". *T. Lisiewicza*: „Wielkich rozmiarów tryptyk". *T. Popiela*: „Szkice i obrazki". *D. Mukułowskiej*: „Portrety". *K. Szmyta*: „Portrety i studya".

— **Pan Józef Graczyński** otworzył przy ulicy Rycerskiej 13 I piętro *wystawę obrazów*, składającą się wyłącznie z własnych prac. Wystawa otwarta codziennie od godziny 10 przed południem do 4-tej po południu. Wstępne 30 fen.

„Przeglądu Kupieckiego", organu Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu wyszedł nr. 2-gi i zawiera następującą treść: Zebranie miesięczne. — Stosunek pomocnika handlowego do ucznia. — O książkowości. (Ciąg dalszy.) — O wekslu. — Z dziedziny prawa handlowego. — Korespondencya z Wrocławia. — Powodzenie. — O napomnieniach (monitach). Wydział wskazywania posad. — Z wydziałów. — Dzieje handlu. — Nasze filie. — Wiece Młodzieży Kupieckiej. — Porada prawna. — Od Redakcyi. — Kalendarz Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej. — Ogłoszenia.

„Przegląd Kupiecki" wychodzi 15-go każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna dla niecłonków wynosi mrk 1 00 w Niemczech i w Austryi, w Królestwie Polskiem 2 rbl. 50 kop. rocznie. Redakcya i ekspedycya znajdują się przy placu Bernardyńskim 2, parter. Godziny biurowe ½8—½10 wieczorem.

— **„Przyjaciel czy wróg"?** Książeczka dla ludu polskiego, napisał ks. K. Niesiołowski, nakładem związku księży abstynentów (Pleszew 1905). Autor opierając się na najnowszych wynikach nauk, stara się w sposób popularny dać pogląd na istotę i szkodliwość napojów alkoholowych. Ponieważ dziełko jest przeznaczonem dla mniej oświeconych warstw ludu, które niechętnie biorą do ręki książki treści naukowej — przeto zamiast wstępu przytacza autor historyą z życia młodego człowieka, który pada ofiarą alkoholu. W dalszym ciągu unika autor, o ile to było możliwem, suchych wywodów naukowych, pragnąc zastosować się do sposobu myślenia naszego ludu. Wobec niezmiernej ciemnoty, jaka w tej kwestyi ogólnie panuje, należałoby się spodziewać, że nakład szybko zostanie wyczerpany, podobnie jak dziełko tegoż samego autora wyszłe przed dwoma laty p. t. „Czytajcie Matki." Dziełko jest do nabycia w księgarni A. Samulskiej w Pleszewie (A. Samulska, Pleschen). Cena pojedyńczego egz. 15 fen., 100 egzemplarzy 12 marek.

Dział szaradowy.

Kwadrat liczbowy do nagrody.

Poniżej zamieszczone w kwadracie 42 puste pola wypełnić liczbami od 8 do 49 w ten sposób, żeby suma każdego rzędu, tak pionowego poziomego jak też i przekątnych równała się 175.

						4
3						
	2					
		1				
			7			
				6		
					5	

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 26-go b. m.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 53-im „Pracy".

C	B	M	C	O	O	W	P	D	P	N
a	i	i	i	t	w	i	c	r	a	g
C	Z	Ę	S	T	O	C	H	O	W	A
k	o	t	s	o	c	e	ł	z	i	m
o	n	a	a	n	e	k	a	d	k	i

Częstochowa.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Michał Bakoś z Głowny, Helena Szafran z Poznania, Józefa Skotarek z Poznania, Konrad Oslirło z Szopienic.

Fabryka papierosów i tureckich tytuni

„Vulkan"

I. F. J. Komendziński w Dreźnie

zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnśnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natmiast ceny przystępniejsze, odstawia lepszy towar. 419

Dział rolniczo-ekonomiczny.

W jaki sposób sadownictwo nasze podnieść można?

Skreślił **Ludwik Radomski** z Śremu.

Dobry owoc, to lekarstwo czyszczące i pomnażające krew, to najlepszy środek zaradczy przeciw rozlicznym chorobom dziecięcym — im więcej i częściej ludzie owoc spożywać będą, tem prędzej i pewniej niejednych chorób i niedomagań unikną! Takie zdania wygłaszają najsławniejsi lekarze i profesorowie medycyny, konsul zaś Lade, jeden z najwytrawniejszych i największych hodowców owocu opowiada, że kto od dziesiątego roku życia codziennie spożyje na obiad talerzyk kompotu z jabłek, ten niezawodnie doczeka sześćdziesięciolecia, kto zaś oprócz tego przed udaniem się na spoczynek zje dobre jabłuszko, ten siedmdziesiątkę przeżyje. Nic dziwnego przeto, że wobec twierdzeń tak licznych powag zapotrzebowanie owocu ciągle wzrasta i to tak dalece, że go już Europa pokryć nie może i praktyczna w wszystkiem Ameryka sto tysięcy centnarów owocu umyślnie do transportu tegoż urządzonemi okrętami przeseła, zagarniając zań miliony marek.

Żeby nie dopuścić w przyszłości do zalania rynków niemieckich owocem amerykańskim — stawić czoło konkurencyi i zatrzymać miliony w kraju — zakładają Niemcy gdzie się tylko da stowarzyszenia chodowli owocu, zakładają sady na wielką skalę, sadzą nieraz kilkanaście tysięcy drzew od razu, przez urządzenie targów i wystaw owocu, agitują przez wysełanie wędrownych nauczycieli z odczytami i rozpowszechnianie tanich pism pomologicznych, aby pociągnąć także lud wiejski do racyonalnego zakładania sadów, umiejętniejszego pielęgnowania drzew i stósownego obchodzenia się z zerwanym owocem.

Nauczeni doświadczeniem, że nie każdy gatunek owocu wszędzie się udaje, wypracowali pomolodzy niemieccy spis tych gatunków grusz i jabłek, które w poszczególnych prowincyach przedewszystkiem i najlepiej się udają, najwięcej są poszukiwane i najkorzystniej spieniężyć się dadzą. Przeto ustaje powoli mania sadzenia setek gatunków bez wyboru, z których potem w mieszaninie ani połowa dobrze spieniężyć się nie da.

U nas, o ile mi wiadomo, nikt się na seryo takiem na dłuższem doświadczeniu opartem zestawieniem wypróbowanych dla Księstwa gatunków — któreby ewentualnie przy zakładaniu sadów na większą skalę za wskazówkę służyć mogły — dotąd nie zajął, dlatego też sadownictwo w Księstwie, pozostało za innemi prowincyami znacznie w tyle. Zawinili w tem także nie mało ojcowie nasi, którzy rzuciwszy się na sadzenie perek, grochu, ćwikły i tem podobnych okopowizn, poniszczyli i zaniedbali przez dziadów naszych pozakładane sady tak, że teraz wnuki od nowa zaczynać muszą.

Ogród owocowy założony umiejętnie, obsadzony do klimatu naszego zastósowanemi gatunkami rentuje się nie źle, gdyż ziemia nasza w przeważającej części jest przydatną nawet do hodowania pierwszorzędnych gatunków owocu, chodzi tylko o *stósowny* do klimatu i ziemi i położenia *wybór* gatunków i o rzetelne źródło, zkądby takowe nabyć można — a w tem sęk, gdyż mało jest takich szkółek, które to przyślą, co się zamówi. Jak sobie w tym przypadku poradziłem, wyłożę poniżej.

Doświadczonem jest, że tak drzewa owocowe jak i rośliny do swego rozwoju potrzebują oprócz wody, a) kwasu fosforowego, b) kali, c) azotu, d) wapna, które to chemikalia czyli składniki częściowo w ziemi częściowo w mierzwie, zasilającej ziemię — są zawarte. Oprócz powyższych zawiera ziemia jeszcze inne składniki jak żelazo, magnezyą, kwas krzemieniowy, glin, humus, a może jeszcze inne dotąd chemikom nieznane. Mimo naukowych badań w tym kierunku, nie udało się jeszcze dociec, których n. p. ten a ten gatunek jabłek lub grusz, z tych ostatnich składników w mniejszej lub większej ilości, dla należytego rozwoju i urodzajności *potrzebuje,* i ta nieświadomość jest słabą stroną przy zakładaniu sadów w większych rozmiarach. Wiadomą jest rzeczą, że niektóre gatunki owocu w ogrodzie obfitującym w wyśmienitą *pierwszoklasową* ziemię, się nie udają, gdy tymczasem te same gatunki sadzone w ziemi *drugo i trzecioklasowej* — a więc gorszej — znakomite tak pod względem ilości jak i jakości wydają owoce.

Jeśli przy zakładaniu sadów nie uwzględnimy tej właściwości gatunków owocu, to błędy rozczarowania i straty będą nieuniknione. Narzuca się więc pytanie jak najpraktyczniej przy wyborze gatunków postąpić należy, aby jak najmniej popełnić błędów i uniknąć strat? Co do mnie wybrałem do dojścia do zamierzonego celu, następującą, nie tanią wprawdzie i trochę zmudną, ale za to pewną i wedle zdania wielu jedynie racyonalną drogę — drogę próby. Zamówiwszy z renomowanej szkółki kilkanaście silnych drzewek, takich gatunków, jakie pomologiczne towarzystwo jako najlepsze do rozpowszechnienia zalecało, pozasadzałem takowe w dobrze poprzednio uprawioną mocną ziemię. Po trzech latach miałem już owoc rozmaitych gatunków — naturalnie jeden lepszy i piękniejszy, drugi gorszy, mniej smaczny lub mniej pokaźny. Na tej podstawie doświadczałem dalej, rozmnażając te gatunki, które w mym ogrodzie piękne i smaczne wydały owoce, przez uszlachetnienie na dziczkach, pigwach, ducynie i rajskiem jabłku —te zaś, które nie miały dobrego owocu, użyłem jako *drzewka doświadczalne,* do wyszukania pierwszorzędnych gatunków. Każde do doświadczeń przeznaczone drzewko miało w przecięciu ośm gałęzi, na każdą więc gałąź szczepiłem inny gatunek, tak, że na dziesięciu drzewkach możebnem było ośmdziesiąt wypróbować gatunków. Zrazki (gałązki do uszlachetnienia) wyszukiwałem częściowo sam po większych sadach, częściowo sprowadzałem z pierwszorzędnych szkółek. Po kilkuletniej pracy wypróbowałem i uszlachetniłem tyle gatunków, ile mi do założenia większego sadu było potrzeba. Był to koszt nie mały i praca nie lada, przy której cierpliwości nauczyć się było trzeba — gdyż niejedno drzewko padło ofiarą pod nożem ogrodniczem, ale i to rezultat jest świetny; udało mi się bowiem założyć sad z tak wybornych gatunków, jakie pewno w takiej ilości rzadko gdzie spotkać można. Mianowicie grusz, które się najlepiej opłacają — mam tak wielki dobór, jakich pewnie nie ma żadna szkółka i za lat kilka, skoro wszystkie zaczną rodzić, sam wystawę owoców będę mógł urządzić, — gdyż nie ma prawie kraju, któregoby najlepsze gatunki owocu w swym sadzie nie były reprezentowane.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Wiec kobiet w Tucholi.

Dwa wiece miały się w zaprzeszłą niedzielę odbyć w Tucholi w Prusach zachodnich, jeden z ramienia „Straży“ dla mężczyzn o 4-tej godzinie po obiedzie, drugi dla kobiet o 7-mej godzinie wieczorem. Jeszcze starosta „Straży“ p. dr. Karasiewicz wieca zagaić nie zdołał, a już powstał burmistrz i bez podania przyczyny, jak wiadomo, wiec rozwiązał. Rozdrażnienie wśród wiecowników było wielkie.

Więcej się poszczęściło kobietom wieczorem, których ze względu na to, co zaszło z wiecem dla mężczyzn, mało się stosunkowo zebrało. Wiec zagaił p. Pacer, przemawiał zaś o wychowaniu dzieci p. Jan Brejski z Torunia. Mówił mniej więcej tak: „Kto został ojcem, kto matką, powinien czuwać nad skarbem bo dziecko to skarb, jak większego być nie może. Ażeby dzieci dobrze wychować, należy zacząć od samych siebie. Kto pragnie mieć dzieci zdrowe, dobre i mądre, powinien przedewszystkiem kształcić samego siebie. Powinien unikać pokarmów i napojów, które zdrowie podkopują, a już nadewszystko trucizny alkoholu. Matki karmiące winne o tem pamiętać, że alkohol jest dla ciała i duszy dziecka zabójczym. Kto pragnie mieć zdrową dziatwę, powinien kształcić własny charakter, bo tylko wtedy zdoła także w dziecku urabiać należycie podkład pod zdrowy rozwój jego duszy. Dziecko powinno odsuwać się od wszelkich marności światowych, za to kształcić się w rzeczach wzniosłych, czytaniem książek i szlachetnemi rozmowami.

Pod względem fizycznym należy dziecko wcześnie hartować. Niech ono przebywa jak najwięcej na świeżem powietrzu, swoją drogą nie należy hartowania posuwać za daleko. We wszystkiem powinno być umiarkowanie. Jeszcze ważniejszem od fizycznego jest wychowanie duszy. Pod tym względem należy wcześnie zaczynać. Winno się przedewszystkiem kształcić jego serce i charakter. Kształcenie serca może je uchronić w życiu od wielu nieszczęść. Ważną jest rzeczą, ażeby w dziecku wcześnie już rozwijać przywiązanie do matki i do rodzeństwa. Należy starać się o to, ażeby dzieci nawzajem się nie oskarżały, bo wtedy rodzi się powoli w ich sercach do siebie wzajemna gorycz. Należy je więc upominać, ażeby się wzajemnie kochały, bo gdy się dzieci kochają, to coraz więcej będą się do siebie przywięzywały, a to przywiązanie pozostanie im na całe życie.

Niejedna matka popełnia grube błędy we wychowaniu, któremi osłabia miłość dziecka ku sobie. Nie należy dziecka nigdy ani zbytnio karcić, ani też nazbyt pieścić, należy więc okazywać we wszystkiem miarę i równowagę. Ileżto goryczy rodzi się naprzykład w dziecku przez okazywanie zbytniej surowości?

Jak urabiać charakter w dziecku? Przedewszystkiem dbać o to, ażeby dziecko prawdę ukochało, a w tym względzie powinno u rodziców widzieć najlepszy przykład. Nie powinno ono rodziców nigdy przydybać na kłamstwie. W dzieciach nie powinno się wzniecać uczucia, że się je okłamało. Co się im przyrzecze należy też dotrzymać. Gdy się dzieci w poczuciu wielkości prawdy wychowa, naonczas będą one prawdę przez całe życie miłowały. Gdy dziecko zawini, a do winy się przyzna, nie należy go karać, gdy bowiem karę otrzyma, nauczy się ze samego strachu kłamać i dziecko takie stanie się kiedyś zakałą swego społeczeństwa.

Wielką mądrość należy okazywać przy łamaniu uporu u dzieci. Upór nie jest jeszcze niecnotą u dzieci. Może on być zawiązkiem przyszłej siły woli a może jest też upadkiem po ojcu, który odznaczał się w życiu żelazną wolą. Jeżeli niema powodu, nie należy uporu karać, bo takie kary mają wprost przełomowe znaczenie dla dziecka. Przez kary w nieodpowiedniej chwili, wymierzane, łamie się w dziecku własną wolę. Takie dziecko będzie później ulegało lada wpływom. Jeżeli dziecko się więc upiera, lepiej więc będzie, gdy mu się dobrotliwie wytłómaczy że tego i owego czynić nie powinno. Perswazya lepsza od rózgi.

Umysł w dziecku należy wcześnie zająć. Należy je więc uczyć na elementarzu ale nie przeciążać, jego umysłu. Dręczenie umysłu mści się na dziecku również w późniejszem jego życiu. To właśnie zbyt wczesne przeciążenie jego umysłu sprawia, że ono pozostaje tępem.

Jeżeli dziecko wzrok od elementarza zwraca ku oknu,, ku towarzyszom i towarzyszkom, to niech się idzie bawić. Z większym to będzie dla niego pożytkiem, niż to, czego pod przymusem nauczyło się na elementarzu. Nauka powinna być dla dziecka ponętną, miłą, przyjemną. Jeżeli ojciec z kijem stanie nad dzieckiem, to ono elementarz znienawidzi, to znienawidzi w końcu własny język. My zaś powinniśmy starać się o to, ażeby dziecko język pokochało. My bowiem nie mamy wojska, urzędów, któreby napędzały do uczenia, my tylko przywiązaniem ku rodzicom coś zdziałać możemy.

O szkołę nie należy z dzieckiem toczyć wojny. Nie należy w oczach dziecka zohydzać nauczyciela, bo to mogłoby mieć zgubny wpływ na dalsze kształcenie dziecka. Jeżeli dziecko ma żal do szkoły i nauczyciela, to należy mu perwadować: „On jest Niemiec, on się na tem nie zna, ale my jako Polacy to a owo lepiej znamy z naszych polskich książek historycznych i t. d. Pewną łączność między szkołą a wychowaniem domowem musi być utrzymaną, za to w domu należy tem gorliwiej starać się dziecko przywiązać do rzeczy ojczystych i zaopatrywać je ciągle w nowe książeczki, ażeby miało wciąż coś nowego i tem więcej pokochało swój język i swą narodowość.“

Mówca kładł dalej rodzicom na serce, ażeby z podobną troskliwością opiekowali się dziećmi, gdy podrosną, bo wtedy grożą im większe jeszcze niebezpieczeństwa, i dla siebie samych i dla narodowości. Trzeba dzieci oddawać na służbę przedewszystkiem do polskich rodzin, unikać zaś o ile podobna stanu nauczycielskiego, bo nauczyciel Polak został w obecnych warunkach skazany na śmierć narodową. Mówca wskazał za przykład pewną matkę Polkę z Torunia, która w ciężkich warunkach wychowywała swe dzieci, ale gdy jej proponowano, ażeby syna kazała kształcić na nauczyciela oświadczyła, że go czyimś pachołkiem mieć nie chce, to jest pachołkiem systemu pruskiego, który dziatwę wynaradawia. Piękną swą mowę zakończył p. Brejski słowy poety naszego Krasińskiego: „Bo na ziemi być Polakiem, to żyć bosko i szlachetnie, i ten tylko więzy przetnie, kto namaszczon cnoty znakiem.“

Z kolei mówił p. Stefan Chociszewski, delegat „Straży“ z Poznania na temat „swój do swego,“ zaś p. Bona z „Gazety Grudziądzkiej“ wzywał do pielęgnowania modlitwy domowej. Pan dr. Karasiewicz zakończył wiec życzeniem, ażeby piękne z niego owoce spłynęły na domy polskie w Tucholi. Odśpiewano na końcu pieśń „W żłobie leży.“ ,

Wiec dozorował komisarz kryminalny z Torunia p. Weigt.

„Gazeta Gdańska.“

ROZMAITOŚCI.

Jak się poskramia dzikie zwierzęta? Hamburger, sławny pogromca lwów, zamieścił w jednym z dzienników londyńskich zajmujący opis dresury zwierząt. Myli się bardzo, kto sądzi, że trzeba do tego wielkiej siły. Zwierzęciu może człowiek zaimponować tylko swą przebiegłością, wytrwałością, rozumem, ale nigdy kijem, głodem lub tp. Najłatwiej oswajają się naturalnie młode zwierzęta, lecz i stare przy rozumnem i fachowem obejściu można doprowadzić bardzo daleko.

Dresurę rozpoczyna Hamburger od tego, że podczas snu lwa wsuwa do klatki zwyczajny drewniany stołek. Lew budzi się, widzi obcego przybysza, z wściekłością rzuca się na niego i druzgoce. Ta procedura powtarza się przez kilka lub kilkanaście dni z rzędu, zależy od pojętności zwierzęcia, tj. tak długo, póki nie zrozumie, że jego gniew na nic się nie przyda, gdyż stołek wraca i szkody mu nie robi. Nareszcie lew, przyzwyczajony do widoku stołka, mruczy, lecz zostawia go w spokoju. Wieczorem dostaje lew z jedzeniem proszek odurzający i zapada w głęboki sen narkotyczny. Pogromca zakłada mu wtedy na kark i łapy mocny łańcuch, przeprowadza przez kraty klatki i przymocowuje z zewnątrz do muru tak, ażeby go można z łatwością odpiąć i lwa uwolnić z kajdan, nie wchodząc do klatki. Poczem zakłada sobie pogromca na ramiona i piersi matę z długiej plecionej słomy jak pancerz, bierze w rękę tępe widły i tak uzbrojony siada na stołku i czeka przebudzenia się lwa. Zwierzę, spostrzegłszy obcego, chce się na niego rzucić, lecz łańcuch powstrzymuje jego ruchy. Pogromca bystro wpatruje się w lwa czas pewien, zwierz szarpie się, pogromca cofa się do drzwiczek klatki nie spuszczając ani na sekundę z oka swego przeciwnika, wychodzi, zostawiając kawał mięsa a równocześnie uwalnia dozorca lwa z kajdan. Dobry kąsek zaciera w pamięci jego wrażenie niemiłe bólu i trwogi. Pogromca powtarza swe wizyty tak długo, dopóki się zwierz do jego widoku nie przyzwyczai. Największą rolę odgrywa tu siła wzroku ludzkiego i głos. Gdy już lew jest tak dalece oswojony, że się nie rzuca na człowieka, będąc przywiązanym, odważa się tenże wejść po raz pierwszy do klatki, gdzie lew ma swobodę ruchów. Jeżeli się lew zbliża, uderza go pogromca zlekka widłami w nozdrza, najczulsze miejsce; lew wtedy przypomina sobie ból, jaki mu sprawiał łańcuch i siada zwykle spokojnie, za co dostaje podwójną porcyą mięsa. Reszta dresury nie sprawia wielkich trudności, lecz wymaga nadzwyczajnej cierpliwości i bystrości. Broń Boże, żeby się pogromca miał zapomnieć i wejść w stanie nietrzeźwym do klatki lub gniewem się unieść. Na jednę sekundę nie wolno pogromcy spuścić z oka swego przeciwnika. Najłatwiej uczą się lwy przeskakiwać przez obręcze lub inne zapory, najtrudniej przyzwyczaić je do widoku ognia, do huku itp. Lwice są bez porównania pojętniejsze niż lwy i bardzo wdzięczne. Bywało już nieraz, że lwica uratowała pogromcę od napaści swego męskiego towarzysza. *L. B.*

* * *

Trupy na balu. W wieczór sylwestrowy urządzili sobie krakowscy weterani wojskowi zabawę z muzyką i tańcami w sali strzeleckiej. W jednem ze stowarzyszeń robotniczych, znajdujących się w pobliżu, dowiedzieli się o tej zabawie obecni tam, udali się więc na bal o 3 godz. w nocy w pokaźnej liczbie niosąc tablicę z napisem „Cześć bohaterom rewolucyi rosyjskiej“ i dwa trupie manekiny, weszli do sali z okrzykiem „hańba!“ i wypłoszyli tańczące pary, darząc je niepochlebnymi epitetami. Demonstranci z „Czerwonym sztandarem“ na ustach opuścili salę podczas gdy nadbiegająca od dworca kolejowego policya miała ochotę „urzędować.“

* * *

47 razy ożeniony. W Nowym Iorku aresztowano liczącego 33 lata konduktora tramwajowego, Jakóba Schippego, pod zarzutem dwużeństwa. Aresztować kazała go żona jego, Hattie Paterlow, z którą wziął ślub zaledwie przed kilku miesiącami w świątyni metodystów, dowiedziała się bowiem, że Schippe ożenił się z nią pod fałszywem nazwiskiem i posiada drugą żonę, a z nią dwoje dzieci. Podczas badań sądowych wyszło na jaw, że Schippe ma jeszcze trzecią żonę w Chicago, czwartą w San Francisco, piątą w Waszyngtonie i t. d. Znalazły się na potwierdzenie owych wyników śledztwa dowody niezbite, wobec czego obwiniony oświadczył: „Wszystko mi już jedno, powiem zatem prawdę. Ożeniony jestem nie 7, ale 47 razy!“ Usłyszawszy takie wyznanie, obie żony Schippego, obecne podczas śledztwa, zemdlały, a osłupiały sędzia nie chciał wierzyć uszom swoim,w końcu jednak oprzytomniawszy, odesłał wielożeńcę do więzienia.

* * *

Zamach na ministra koreańskiego w Petersburgu. W hotelu Francuskim w Petersburgu wykonał świeżo niejaki Yi Yonk Iks zamach na bawiącego tam ministra wojny koreańskiego. Minister otrzymał 11 ran od kul i noża. Sprawcę zamachu aresztowano.

Frenzel & Co. Poznań.

Telefon 454. **Stary Rynek 56.** **Zał. 1854.**

Właściciel P. Kryszkiewicz.

Najstarsza i największa fabryka czekolady, kakao i cukrów

miasta Poznania i Księstwa.

Najtańsze i najlepsze źródło zakupu!

SPECYALNOSĆ: Kory czekoladowe, czekolady z śmietaną, karmelki na kaszel i owocowe.

Rozmaite biszkopty.

48

Humorystyka.

Karnawał.

W karnawale bywa *gwarno,*
Gdy chce żonka bal wyprawić,
Mąż ma wtedy twarz cmentarną
I narzeka, miast się bawić.
„Sługa musi, gdy pan każe,“
Mąż grosz daje, choć ze złości
I śle wszystkim djabłom w darze
Bal, muzykę, oraz... gości.

W karnawale bywa *głupio,*
Bal na marne wchodzi szlaki,
Gdy się panny w sali skupią,
A zaś palić umkną fraki.
Gdy źle biorą się do tanów
I we flircie jest stagnacya,
Ale w duszach modnych panów
Jeden wyraz brzmi: kolacya.

W karnawale bywa *kuso,*
Kiedy się wyczerpie kieszeń;
Choćbyś mądrym był jak Rousseau,
Braknie pewnie ci pocieszeń;
Wtedy zabaw nić się zrywa
I pierzchają sny, nadzieje,
Bo z pustego, jak to bywa,
Sam Salomon nie naleje.

W karnawale bywa *skoczno,*
Lecz dobrego stąd niewiele.
Gdy pod koniec skakać poczną
Najróżniejsi wierzyciele.
Choćbyś wtedy klął się święcie,
Po niewczasie wszystkie żale:
Pan komornik... sąd... zajęcie...
I tak bywa w karnawale.

Na lodzie.

— Dziś prześladowało mnie na ślizgawce nieszczęście....

— Cóż? upadłaś może?

— Pięć razy... a za każdym razem podnosił mię jakiś żonaty!...

Lekarze i pismo.

Do pewnego lekarza przychodzi jeden z jego pacyentów i podając mu kartkę papieru, zapytuje:

— Czy może pan to przeczytać?

— Nie, — odpowiada doktor. — Cóż to jest?

—Ordynacya, którą mi pan wczoraj przepisał.

— No, mój panie — mówi doktor — odczytywanie recept nie jest moją rzeczą, niech się nad tem męczy aptekarz.

Artysta z musu.

— O, rety! a ty co robisz, Wojtek?

— Nas pun zaprosił na polowanie na dziki kilku hrabiów — a dzików wca niema — to pun kazał paru wieprzoków pomalować na czarno!

Zawsze sportowiec.

Panna domu (w salonie). Jakże się panu podobała nasza gra na fortepianie na 4 ręce, panie poruczniku?

Porucznik. Znakomicie! Zupełnie jak na wyścigach! Zawsze jedna z pań była trochę *naprzód...*

Na wieczorku.

(Rozmowa w duchu).

On.

— Nie dekoltuj ty mi szyjki
Dekoltuj serduszko,
Bym mógł prosto tuż do niego
Swe przyłożyć uszko.

Bym mógł poznać: czyś zdradliwą
Tylko a ponętną,
Czy też dla mnie tam istotnie
Żywsze bije tętno?

Ona.

— Nie szepcz ty mi słodkich słówek,
Bo im nie dam wiary,
Jeno wyjaw prosto, szczerze:
Jakie masz zamiary?

Czy się tylko zadowolisz
Uczuć mych zapłatą?
Czy też myślisz o posagu,
Który da mi tato?

Konstytucyjna Rosya.

Ulgi dla żydów.

Prawitelstwiennyj Wiestnik, organ urzędowy petersburski ogłasza:

„Z mocy rozporządzenia ministra wojny, w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych Durnowem, izraelici, będący w wieku popisowym i obowiązani do służby wojskowej, którzy jednak przy ostatnich pogromach zostali albo na śmierć zabici, albo ciężko okaleczeni — zostają niniejszem uwolnieni od stawiennictwa przed komisyami poborowemi.“

Niech żyje konstytucya!

Z dyskursów małżeńskich.

Mąż. Moje drogie dziecko! Tego roku musimy oszczędnie żyć. Jeżeli się nie *ograniczymy,* nie *ręczę* za skutki...

Żona. Gdybym wiedziała wpierw, że ty uważasz małżeństwo za stowarzyszenie z *ograniczoną poręką,* nigdybym nie wyszła za ciebie....

Ostrożny.

Reisender (wchodzi do sklepu). Przepraszam bardzo, czy zastałem *stróża* pańskiego w domu?

Szef. Jest... abo co?

Reisender. O... to już kiedy indziej ośmielę się moją ofertę panu zrobić...

Szczera prawda.

Raz klęczałem u jej stópek,
Prosząc ją, ach! pół-przytomnie,
By mą żoną zostać chciała,
Należała wiecznie do mnie!

Dziś, gdy dzieje te wspominam,
Prawdę muszę wyznać szczerze,
Że i wielbłąd również klęka,
Gdy na grzbiet swój ciężar bierze!

Wytłomaczenie niektórych wyrazów.

Powietrze — jedyna niezaprzeczonawłasność wszystkich ludzi.

Etykieta na towarach — sposób, aby z podłego towaru zrobić dobry.

Omyłka — wypadek, do którego nikt nigdy nie chce się przyznać.

Mogiła — najwięcej milczące stworzenie rodzaju żeńskiego.

Żebro — najstarszy przodek wszystkich kobiet.

Atrament — najokropniejszy wojenny środek.

Sekret — przedmiot, który najtrudniej schować.

Zrozumiał.

-- Ty! dlaczego ten sztrajk nazywa się *generalny?*

— Nie wiesz, ośle? Od *generałów,* którzy też nic nie robią!